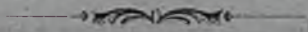


De. II. 1

Tóm CLXXXVI.

Zeszyt 557.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.



ROK CZTERDZIESTY SIÓDMY.

M A J.

1888.

W A R S Z A W A.

Adres Redakcyi: NOWY-ŚWIAT Nr. 41.

1888.

T R E Ś Ć .

	stron.
I. Ignacy Domeyko. Zarys biograficzno-naukowy. Skreślił Marian Dimmel.	177
II. Wybór poezji lirycznych Szyllera w przekładzie polskim. Przez A. A. K.	202
III. Wojna rzeczypospolitej polskiej z Szwecyą za panowania Zygmunta III-go, od roku 1621-go do 1629.(C. d.) Przez Konstantego Górskiego.	234
IV. Z dziedziny hypnotyzmu. Napisał Władysław dr. Chodecki. . . .	255
V. Przygody Stacha. Powieść. Przez Józefa Ignacego Kraszewskiego.	278
VI. Kronika naukowa Lwowska. — Towarzystwo politechniczne i prawnicze. — Odczyt prof. Balzera. — Towarzystwo Kopernika. — Odczyt dra Raciborskiego i Siemiradzkiego. — Towarzystwo historyczne.—Odczyty dr. Papéege, Horodyńskiego i Balzera. — Odczyty publiczne: dra Finkla, p. Syroczyńskiego, p. Starkla i ks. Załęskiego.—Książki: dra Hirscherberga „Hieronim Łaski“, p. Limanowskiego „Historia ruchu społecznego w XVIII stuleciu“.—Rocznica wyższej szkoły w Dublinach. Przez L. F-l.	288
VII. PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO.	
Nędza Galicyi w cyfrach i program energicznego rozwoju gospodarstwa krajowego. Napisał Stanisław Szczepanowski. We Lwowie, nakładem autora, drukiem Pillera i spółki, 1888, str. XXI, 2 nl., 218 i 4-to. Przez Tadeusza Pilata.	298
Wacław Nałkowski „Zarys geografii powszechniej (rozumowej)“. Warszawa, 1888, 8-o, str. VI i 598. Napisał Dr. Fr. Czerny.	312
VIII. Polemika między p. L. Jenike, tłumaczem „Fausta“, a p. R. Plenkiewiczem.	318
IX. Kronika miesięczna. — Ogólna sytuacja stosunków europejskich. — Manifestacja przesilenia kanclerskiego w Berlinie. — Groźny stan zdrowia cesarza Fryderyka III-go.—Widmo dyktatury plebiscytowej we Francyi.—Kwestya bułgarska.—Upadek gabinetu Bratiana i bunt chłopski w Rumunii.—Kłopoty parlamentarne gabinetu Taafse w Wiedniu.—Konwencya kanału suezkiego.—Grecya i Turcya. — Włochy: trudności w zawarciu traktatu handlowego z Francyą; szczęśliwy koniec wyprawy abissyńskiej.—Rosya.—Anglia.—Przesilenie ministeryalne w Serbii. — Spustoszenia, spowodowane wylewami wód w Niemczech, Węgrzech, Galicyi, Królestwie Polskiem i Poznaniu. —Tragiczność dynastyi Hohenzollerów.—Znaczenie polityczne agitatorów bulanżyzmu. — Dzieci polskie w Berlinie. — Sprawozdanie Towarzystwa pomocy naukowej imienia dr. K. Marcinkowskiego	

Do W. Pana Konstantego Stefanowicza w pokałerywianach.

Stając odbierając dotychczas promemoratę z I^{su}
półroczna s. b. Biblioteki Karol., którą W. Pan również
regularnie jak w roku resztym otrzymuje, mam zaszczyt
prosić o jak najprędzej nastąpienie tej samej treści
wraz z Deklaracją, czy J. W. Pan życzy sobie na następ-
ne półroczne otrzymywać w dotychczasowym do piśmie
obywatelskim, przynajmniej świadcząc o żywotności naszego
narodu — na polu nauki i literatury.

Ważność sprawy wśród najtrudniejszych warunków ży-
cia i literatury polskiej stać nam się spodziewać pomysłowa-
go skutku naszej uprzejmej prośby w czasie jak najprędzej.
& warunkiem (Stefanowicza). —



De. II. 1

IGNACY DOMEYKO.

ZARYS BIOGRAFICZNO-NAUKOWY.

SKREŚLIŁ

Maryan Dimmel.

Pomiędzy badaczami na polu nauk przyrodniczych, którzy przez osobistą działalność naukową roznieśli sławę imienia polskiego na drugą półkulę globu, najpierwsze niewątpliwie miejsce zajmuje Ignacy Domeyko.

Spółczeństwo nasze a nawet wykształcone jego warstwy, mało co wiedziały o tym dzielnym apostołe nauki, a to z powodu, że pole jego działalności tak daleko od nas się znajduje, że chyba przypadkowo tylko zwrócić mogło uwagę ogółu. Nie dziw więc, żeśmy bardzo długo nie mogli ani ocenić zasług serdecznego druha Adama Mickiewicza ani podziwiać piśmiennych prac jego, bo pierwszemu stała na przeszkodzie odległość, drugiemu język; musieliśmy zatem poprzestać na powtarzaniu cudzoziemskich głosów uznania. Dopiero powrót Domeyko do ojczyznoego kraju przed paru laty, obudził w nas chęć poznania nie tylko prac naukowych, jakeimi poza Oceanem zasłynął; ale i głównejszych kolei życia wychowawca uniwersytetu wileńskiego. Niektóre pisma nasze starały się wprawdzie ciekawość tę zaspokoić, ale uczyniły to w sposób niemal okolicznościowy tylko, tak, że nie wykazały zasług, które Domeyko jako nauczyciel na drugiej półkuli świata położył na polu postępu nauk przyrodniczych.

Ignacy czyli Żegota Domeyko urodził się 22 sierpnia r. 1801 na Litwie, w gubernii Grodzieńskiej, powiecie Nowogrodzkim, w dzie-

dzicznej tego rodzaju majątności, Niedźwiadce, położonej nad rzeczką Uszą, z ojca Hipolita, prezesa sądów ziemskich nowogrodzkich, i matki Karoliny z domu Ancutówniej. Początkowo uczył się w domu a w r. 1812 został oddany do trzeciej klasy szkoły podwydziałowej OO. Pijarów w Szczuczynie litewskim, gdzie pomiędzy nauczycielami znajdował się wówczas znany z historii owjej epoki ks. Lwowicz. Ukończywszy tę szkołę w r. 1816 ze świadectwem pochwalnym, wyjechał później do Wilna i zapisał się na wydział fizyczno-matematyczny tamtejszego uniwersytetu.

Czém był ówczesny uniwersytet wileński dla społecznego życia owjej części kraju naszego, i jaki wpływ wywierał na wychowanie naszej młodzieży, powszechnie jest wiadomem. W dziejach oświecenia naszego narodu, nie było nigdy tak znakomitego grona sił naukowych, jak w one czasy na katedrach uniwersytetu wileńskiego. Imiona takie, jak: Frank, Bojanus, Grodek, Jan i Jędrzej Śniadeccy, Jundziłł, Lelewel, Borowski, Gołuchowski, Niemczewski, Poliński i t. d. zapisane są chlubiście w historii oświaty naszej. Z czterech wydziałów uniwersytetu t. j. fizyczno-matematycznego, lekarskiego, wydziału nauk moralnych i literackiego, cieszył się największą przewagą wydział fizyczno-matematyczny, dzięki powadze i wpływowi obudwu Śniadeckich, którzy na przemian przez czas dłuższy sprawowali urząd rektorski.

Na ten wydział zapisał się Ignacy Domeyko, a czując pociąg do nauki chemii, oddał się jēj pod kierownictwem znakomitych na tém polu badaczy, jakimi byli: Jędrzej Śniadecki, Szymon Malewski i ks. Filip Golański, a przytém słuchał nauk pokrewnych tēj dziedzinie, wykładanych przez Jana Śniadeckiego, ks. Stanisława Jundziłła i innych.

Wyrobiona w szkołach zagranicznych krytyczność poglądów w wykładach Śniadeckich i innych przyrodników, a przytém piecza ojcowska i stosunek przyjacielski, jaki wiązał to grono uczonych profesorów z młodzieżą akademicką, uczyniły z uniwersytetu główne ognisko nowych myśli i zapatrywań, stających zrazu w przeciwieństwie z przekonaniem panującem w ówczesnej starszylacheckiej sferze społeczeństwa, i ze szkodliwemi naleciałościami cudzoziemskimi, które się tu i owdzie zagnieżdżać zaczęły. Okeliczność tę ujawniło niebawem wydawnictwo p. n.: „Wiadomości brukowe“ oraz założenie „Towarzystwa szubrawców“, które wzięło sobie za cel wyświecanie szpetności przywar i nałogów, szkodliwych społeczności polskiej. Było to jednak przed przybyciem Domeyki do Wilna.

Zapisany na wydział matematyczno-fizyczny, zetknął się Domeyko z inną garstką młodzieży, która wprawdzie nie stanowiła żadnego stowarzyszenia, ale wspólnością przekonań związała się ściśle z sobą dla wspólnych prac i wzajemnej wymiany myśli. Garstkę tę składała cała plejada ludzi młodych, której duszą był Tomasz Zan i Mickiewicz Adam. Mickiewicz jako stypendysta i kandydat

stanu nauczycielskiego, obowiązany był uczęszczać na wydział fizyczno-matematyczny. Wśród tej garstki przyjaciół powstała krótko przed przybyciem Domeyki do Wilna t. j. w r. 1817 myśl zawiązania towarzystwa „Filomatów“ mających na celu moralne odrodzenie narodu przez krzewienie oświaty, miłości dla kraju i braterstwa młodzieży. Prezesem tego Towarzystwa był Jeżowski a nowych członków przyjmowano dopiero po bardzo długich próbach i gruntowném poznaniu brata akademika. Domeyko został przyjęty od razu, ale prócz niego przyjęto w pierwszych dwóch latach istnienia tylko sześciu innych. Organizatorem Towarzystwa był Zan, który gromadził około siebie ściślej dobrane kółko członków filomackich. Należeli do niego Mickiewicz i Domeyko. W tém gronie stworzył Zan osobne kółko „Promienistych,“ w którym Domeyce dostał się zaszczytny urząd szambelana do roznoszenia tajemnych życzeń „Arcego“ (Zana) do członków grona ¹⁾.

Towarzystwo Filomatów wzrastało coraz bardziej. Młodzież wszystkich wydziałów pragnęła dostać się do jego szeregów. Filomaci nie mogli pozostać towarzystwem tajném. Zawiązano więc przy Filomatach, (którzy i nadal istnieć nie przestali w charakterze tajnego ściślejszego wydziału)—towarzystwo jawne z poważnym celem wspólnych prac naukowych: Towarzystwo Filaretów. Na zebraniach tego Towarzystwa miewali Filomaci wykłady naukowe, z których kurs geografii fizycznej obrał sobie Domeyko i wypracował według nowych przez Rittera zainaugurowanych poglądów ²⁾.

Nie tutaj miejsce powtarzać opisy dziejów tego Towarzystwa —znane są one powszechnie. Błękitna chorągiew, pod którą kupili się jego członkowie, stała się sztandarem ich życia;—wszyscy prawie, każdy w obrany sposób, w obranym zawodzie, w właściwej sferze, ziszczal przekonania i wcielał w życie te myśli i prawdy, jakie ożywiały umysły wileńskich filomatów i filaretów. Każdy z nich starał się zawsze i wszędzie o to, by hasło, pod którym poznał najwyższe cele żywota, przekazać innym, a sztandar czynu i prawdy utrzymać do grobu nieskalanym i niespożytym wśród wichrów życia. A jednym z najgodniejszych chorążych tego znaku stał się na szerokim bardzo świecie Ignacy Domeyko...

Po ukończeniu wydziału matematyczno-fizycznego i po otrzyma-

¹⁾ „J. Tretiak: Mickiewicz w Wilnie i Kownie.“—Drukowany w „Bibl. Warsz.“ w zeszytcie na mies. marzec r. b. artykuł p. T. Wierzbowskiego p. n. „Mickiewicz w Wilnie i Kownie 1815—1825“ podaje dokładną wiadomość o tych stosunkach, czerpaną po pierwszy raz ze źródeł autentycznych, bo z zeznań samych filomatów w obec komisji śledczej. Red.

²⁾ Karol Ritter wydał pierwszą swoją pracę w 2-óch tomach w Berlinie 1817 i 1818 r. p. „Die Erdkunde im Verhaeltnisse zur Natur und Geschichte des Menschen.“

niu w r. 1822 stopnia magistra filozofii, pozostał Domeyko w Wilnie i uczęszczał na wykłady filozofii Gołuchowskiego i historii Lelewela. Stosunki przyjaźni, które go coraz ściślej wiązały z Filomatami, wciągnęły go w wir pracy ku wzrostowi tego towarzystwa. I kto wie, jaki kierunek byłby wziął dalszy żywot Domeyki, gdyby nie chmury, co niespodziewanie zaciemniły widnokrąg prac naukowych młodzieży wileńskiej. Stowarzyszenia akademickie zostały rozwiązane, a Mickiewicza ¹⁾ i kilku innych wydalono z Wilna na czas nieoznaczony. Domeyce kazano zamieszkać na wsi, z zakazem wydalania się dokądkolwiek ²⁾.

Domeyko obrał sobie za siedzibę wieś Zapol w Zyburtowszczyźnie, w powiecie lidzkim, majątność stryja także Ignacego imieniem, niegdys sławnego mecenasa trybunału W. Księstwa Litewskiego, a przytém mineraloga znanego z czasów Komisji edukacyjnej. Tu poświęcił się nasz Ignacy całkowicie gospodarstwu, a wprowadziwszy nieznanne jeszcze wówczas na Litwie zmiany w systemie uprawy roli, pozyskał wkrótce sławę najlepszego w Litwie rolnika.

Nie zaniedbywał też Domeyko pożycia towarzyskiego. Szczególniej dom Wereszczaków w Tuhanowicach w powiecie nowogrodzkim, którego gospodynin była mu rodzoną ciotką, widywał go często w swych progach. Poznawszy tam wielbiciela wdzięków córki donu, Maryli, znanęj z życiorysu Adama Mickiewicza, zaprzyjaźnił się z nim ³⁾ wkrótce bliżej, a wciągając do trójki Odyńca, urządził wespół z nimi łowieckie i towarzyskie zabawy. O łowach tych opowiada Odyniec w swoich „Wspomnieniach z przeszłości” ⁴⁾ temi słowy:

1) W chwili wyjazdu z Wilna, napisał Mickiewicz znany wiersz do panny Ludwiki Mackiewiczównęj, narzeczonej Ignacego Chodźki, osobiście nieznanęj Adamowi, rozpoczynający się od słów:

„Nieznajomęj dalekiej, nieznanu daleki itd.

Oryginał tego wiersza, pisany ręką Mickiewicza, znajduje się pomiędzy autografami wileńskiej biblioteki publicznej, złożony tam przez samą panią z Mackiewiczów Chodźkową. Oprócz mniej ważnych wariantów z tekstem drukowanych poezyi Mickiewicza, wariantów, które mogliśmy wskazać w Bibliotece Warszawskiej z r. 1884-go T. I-szy str. 485, zasługuje na szczególniejsze zaznaczenie sam podpis tego wiersza, różniący się od brzmienia wszystkich dotychczasowych wydań pism Mickiewicza. Podpis ten brzmi w oryginale w tych słowach: „Dla Ludwiki przyszłej Chodźkowej pisałem w godzinę po otrzymanym rozkazie oddalenia się z Polski, Adam Mickiewicz. R. 1824. D. 22 Oktobra.“ *J. K. Plebański.*

2) Kaczkowski Karol, Wspomnienia... ułożył Tadeusz Oksza Orzechowski. Lwów 1876. I. str. 112.

3) W obec tego, co wyżej czytaliśmy, nie sądziłibyśmy, żeby D. dopiero w domu Wereszczaków poznał Mickiewicza. Zob. zresztą P. Chmielowskiego: Adam Mickiewicz. (Red.).

4) Kronika Rodzinna 1883. 106.

„O zmroku wracano do domu, gdzie już płonęły kominki i stoły zastawione czekały. Kłótnie bowiem „Assesora“ z „Rejentem“ o „Kusęgo i Sokoła“ z „Pana Tadeusza“ ponawiały się tu co chwila, z powodu tego lub owego ogara czy charta, a mianowicie każdego szaraka i lisa, który uszedł przed chartami i strzałami myśliwskimi. Pojedynawczą powagą nakształt „Pana Wojskiego“ bywał zwykle w tych razach Zegota (Domeyko), nie z wieku ani ze sławy myśliwskiej, ale wprost z wesołego humoru i prawdziwie staropolskiego dowcipu, który, jak niegdyś w gronach filareckich, tak i tu czynił go duszą przyjacielsko-myśliwskich rozmów, a bezstronnym rozjemcą sporów.” Owe łowy też natchnęły Adama Mickiewicza do wplecenia w „Panu Tadeuszu“ (ks. IV) opowieści „Wojskiego” o pojedynku pomiędzy „Domeyką a Dowejką.”

Uplýwał więc czas Domeyce na gospodarstwie, łowach i towarzyskich zebraniach dość przyjemnie, ale ten przymusowy pobyt na jednym miejscu, ciążył zmorą na jego życiu. Starał się przeto o przyjęcie do inżynierii rządowej, ale starania te pozostały bez skutku. Uciekał się też do protekcji Jana Śniadeckiego, prosząc go, aby mu raczył wyjednać uwolnienie od tej utraconej kary przymusowego pobytu w Zapolu; Śniadecki zaś udawał się znowu do dobrze zapisanego w kancelaryi W. X. Konstantego, generała Wincentego Krasińskiego ¹⁾.

Starania te pozostały jednak, mimo odbytej w tym celu podróży do Warszawy przez samego Domeykę, bez pożądanego skutku. Nadszedł rok 1830, w którym Domeyko ujrzał się na terytorjum pruskiem. Uwięziony przez władze pruskie, przebywa jakiś czas w Gerdanen, małym miasteczku obok Królewca, później w fortecy Pilawie, a wreszcie w Rastenburgu.

Uwolniony z fortecy, udaje się Domeyko do Drezna, gdzie zastał Adama Mickiewicza, Stefana Garczyńskiego i wielu innych rozbitek.

Zamieszkawszy tutaj, wszedł Domeyko nietylko do domu Klementyny z Tańskich Hoffmanowój, która wtedy przebywała w Dreźnie, ale i na salony opiekunki wszystkich naszych wygnañców Klauudy z Działyńskich Potockiej. Tu zetknął się Domeyko z Wincentym Polem, którego już pierwój poznał był w Rastenburgu, i zapoznał go ze swoimi druhami, a przedewszystkiem z Adamem Mickiewiczem. Poznanie to opisuje Ludwik hr. Dębicki według słów Odyńca ²⁾ temi słowy: „Dnia jednego raniutko Domeyko przyszedł do mnie z jakimś nieznanym młodzieńcem, ładnym, ożywionym, wesołym. Był to Wincenty Pol. Domeyko przedstawił mi go jako ucznia wileńskie-

¹⁾ Rękopisy Biblioteki uniwersytetu Jagiellońskiego Nr. 3131, — Listy Jana na Śniadeckiego, Wincentego Krasińskiego, Józefa Domeyki.

²⁾ „Kronika rodzinna“ 1881. str. 130.

go uniwersytetu, a więc przez powinowactwo kolegę i jako swego towarzysza w Rastenburgu. Wspomnienia wspólnych znajomych i okolic wileńskich, nadały rozmowom poetycki charakter, co właśnie było powodem Domeyce, że pierwszy zaczął mówić o tém, co już widać wprzód słyszał od Pola, to jest, że Pol znał i zostawił w Rastenburgu młodego poetę, niejakiego Janusza Nowinę, także ucznia wileńskiego uniwersytetu, którego wiele wierszy sam umie na pamięć i t. d." Tym Januszem Nowiną, jak się później okazało, był sam Pol, który przedstawiony Mickiewiczowi, potrafił go tak ująć, iż wszedł do kółka najbliższej drużyny Adama, złożonej z Odyńca, Domeyki i Garczyńskiego. Schodzono się codziennie na wspólne gawędy, na których Pol niekiedy improwizował. W początku kwietnia 1832 r. odbyto wspólną wycieczkę do saskiej Szwajcaryi i „wesoło i szczęśliwie przedpędzono następną zimą“¹⁾.

Ale nie długo trwały te dni braterskiego pożycia na Saskiej ziemi. Mimo powszechnej sympatyj i gościnności narodu saskiego, mimo wstawiania się deputacyi miasta Drezna do ministra Lindenaua, kazano Polakom opuścić w krótkim czasie Drezno. Domeyko wraz z Adamem udali się na Hof, Norymbergę do Paryża, gdzie przybyli w czerwcu r. 1832 i zamieszkali razem aż do r. 1833. Stara kompania pierwój tutaj przybyłych, odwiedzała ich wieczorami. Mickiewicz pracował, odczytując przed Domeyką świeżo napisane ustępy „Pana Tadeusza“ i pytając o rady i wskazówki, których Domeyko nie skąpił. Oprócz tego zajmował się Mickiewicz wydawnictwem prac Stefana Garczyńskiego i Stefana Witwickiego. Bohdan Zaleski przygotowywał z nimi pierwsze podwaliny do stowarzyszenia, do którego wprawdzie żaden z nich nie wszedł, ale które ożywione ich duchem, zasłynęło później pod imieniem „Zmartwychwstańców.“ Stefan Witwicki redagował „Melitelę“, do której namawiał na współpracownika „Domeykasa,“ ale obawiał się, by jego nauki nie były dla czytelników „Meliteli“ za poważne.

Z własnej chęci napisał wówczas Domeyko broszurę w francuzkim języku pod tytułem: „De l'emigration des allemands en Russie“ (par J. D. refuge polonais, Paris 1832)— w której z sarkazmem bolesnym sztydząc z rządu saskiego, nawołuje rządy innych państw niemieckich do zastanowienia się nad skutkami gromadnej emigracyi Niemców do południowych prowincyi Chersonu. Jest to pierwsza publikacya Ignacego Domeyki.

Bawiąc w Paryżu, wrócił Domeyko do dalszych prac naukowych, które przerwał z musu w uniwersytecie wileńskim. Zapisał się do „l'Ecole des mines,“ gdzie poznany bliżej przez swych nauczycieli, uczonych takich, jak Thenard, Dumas, Dulong, Pouillet, Beudant, Elie de Beaumont, Dufrenoy, Berthier, Combes—zażywał powszech-

¹⁾ Korespondencya Ad. Mickiewicza. Paryż, I. 82.

nego szacunku i doznawał rad i pomocy w swych cierpkich zapasach o kawałek chleba. Przyjaźń z Adamem Mickiewiczem, zawiązana w kole filomatów, ściętniła się w Paryżu jeszcze bardziej. W r. 1834 wzywa go Mickiewicz do druźbowania wraz z Zanem, przy swym ślubie z Celiną Szymanowską—a to w ten sposób: ¹⁾

„Panie Ignacy! Jutro mój ślub. Masz tedy ubrać się pięknie we frak i przyjść o pół do 9-tój do Zana, a z nim przed 9-tą do Wołowskich, skąd udamy się na ceremonię. Nie mów nic o tēm nikomu i pamiętaj nie spóźnić się.

Dziś w Poniedziałek 21-go, Jutro Wtorek 22-go. Adam.“

Wezwanie to w swoim lakoniźmie nader charakterystyczne nie tylko ze względu na osobę Mickiewicza, ale i na ścisłość stosunku między nim a Domeyką.

Zdawszy w r. 1837 egzamina w akademii górniczej, udał się Domeyko do Alzacy, gdzie otrzymał korzystne wezwanie do zakładu fabrycznego braci Koechlin w Bonne Fontaine, jako analizator rud żelazistych. Pisze o tēm wówczas Mickiewicz do Odyńca: „Żegota całe życie w laboratoryach chemicznych praży, smaży, egzamina zdaje, wyszedł na sławnego metalurga i pojechał do Alzacy, wezwany do szukania min.“ Ale uciążliwa służba w Bonne Fontaine nie odpowiadała zamiarom Domeyki, gdyż nie pozwalała mu pracować naukowo dla siebie. Porzuca więc zajmowaną posadę i wraca do Paryża na wezwanie Mickiewicza, który mu donosi co następuje:

„Miły Żegoto! Cieszę się, żeś wynalazł wreszcie Twoją rudę. Wiesz wprawdzie, że podług moich zasad politycznych wolałbym, żebyś wykopał dobrą sztukę złota rodzimego, ale na teraz rad jestem i z żelaza. Zresztą, może zdobędziesz się na lepsze kruszce?.. Był u mnie właśnie dzisiaj polak Jastrzębski, który widział francuza Dufresnoy. Kto jest ten Dufresnoy — nie wiem. Owóz on powiada, że jest dla Ciebie miejsce w Chili. Masz być profesorem chemii i metalurgii. Dadzą Ci pieniądze na drogę i trzy tysiące dolarów, i t. d.“

Wezwanie to wyszło od profesora akademii górniczej Dufresnoy'a, do którego pełnomocnik rządu chilijskiego Carlos Lambert, uczeń paryżkiej szkoły politechnicznej i najbogatszy wówczas posiadacz kopalń w Chili, udał się z prośbą o wskazanie mu osoby, która by była zdolna i godna do utworzenia i objęcia posady profesora chemii w nowo założonym instytucie w Coquimbo. Dufresnoy wskazał mu Domeykę, który na tak zaszczytne wezwanie nie wahał się z przyjęciem. W unowie, jaką z rządem chilijskim zawarł, zobowiązał się Domeyko pełnić obowiązki profesora w Coquimbo przez lat sześć, udzielać tygodniowo trzy godziny nauki przez 9 miesięcy w roku, założyć laboratorium chemiczne i usposobić pewną ilość młodzieży do poznania zakładów naukowych Europy. Płaca roczna, jaką mu rząd chilijski na razie ofiarował, wynosiła 6000 franków.

¹⁾ Korespondencya Ad. Mickiewicza. I, str. 102.

Żegnany z żalem przez drużynę przyjaciół, a przedewszystkiem przez rodzinę Adama Mickiewicza, z którą żył się w ciągu swego pobytu tak, jakby do niej należał, wybrał się Domeyko bez zwłoki wraz z p. Lambertem dnia 2-go lutego 1837 roku w podróż na Falmouth, Londyn, Madeirę, Teneryffę, Bahiã, Rio di Janeiro, Monte Video, Buenos Ayres—zktąd 300 milowã podróż odbywał konno do Mendozy i do Seveny. Zwiedzając po drodze Funchal, stolicę Madeiry, Santa Cruz, stolicę Teneryffy i wszystkie inne miejsca, do których okręt zawijał, badał o ile mógł przyrodę krajów i mieszkańców i zestawiał swe spostrzeżenia w dzienniku podróży, który później przesłał Mickiewiczowi do Paryża. Zapisy te, nazwane przez Domeykę: „Notatkami szlachcica polskiego,“ wyszły drukiem dopiero w roku 1857 w dodatku miesięcznym do „Czasu.“

Coquimbo.

Po dłużej podróży, pełnej wrażeń najrozmaitszych, stanął Domeyko w ostatnich dniach maja r. 1837 na ziemi chilijskiej, która miała stać się dlań drugą ojczyznã i urodzajnã rolã szczęśliwej uprawy naukowej.

Kraina chilijska—prawdziwa ustronń świata—nie zawiodła nadziei badacza, żadnego wiedzy i pola do pracy w zakresie przyrodnictwym. Kraj to bowiem ze wszech miar ciekawy.

Pomiędzy Oceanem a liniã rozdziału wód, na grzbietach Andów od wschodu, rozłożył się kraj zajmujący przeszło 450 mil szerokości, a zaledwie 30 mil długości geograficznej. Wznosząc się od brzegów Oceanu coraz wyżej nad poziom morza, tworzy w nieznacznej swjej długości terasy, przerżnięte dwoma łańcuchami gór, zwanych Kordylierã nadmorskã (Cordillera de la Costa) i dosięga w wschodniej gigantycznej granicy Andów, swego najwyższego wzniesienia pionowego. Sterczące w północnej części kraju do 7000 metrów szczyty granitowe Andów, zniżają się łagodnie ku południowi, a spadając tu i owdzie do poziomu Oceanu, tkają na dnie morza dalej swoję liniã grzbietowã i wystrzelają nad poziom wody, jako wyspy i wysepki z niepożytego granitu — aż w porcie Głodu nurzają się wraz z całym kontynentem amerykańskim w morzu.

Zewnętrzna szata i przyroda Andów, także bardzo urozmaiconą. Ozienione u spodu wãzkã wstęgã cyprysów, które swym smętnym widokiem przypominają pasma jodeł na Alpach i Pirenejach, siwieją szczyty tych gór u wierzchołków wiecznie leżącym śniegiem, poprzerywanym ostremi żebrami i iglicami różnobarwnych granitów, co ciągnã się nieprzerwanemi wstãżkami w ich łonie. Spokój tych śnieżnych regionów przerywają wybuchy przeszło dwudziestu wulkanów, resztek starodawniej burzliwej przeszłości, trzęsienie ziemi o dwójakięj postaci (terremotos i temblores) i zjadliwe wyziewy solfatar i fumaroli.

Wybrzeża kraju podziergane mnóstwem wrębów i zatok, wnoszą do morza przeszło 150 rzek i strumieni, które w północnej części kraju wysychają często, lub sączą się tylko, a w południowej natomiast zawsze pełne wody, pędzą ku pasmom Kordyliery nadmorskiej, walczą z zaporą jej skał, przeryniają je lub wzbierają i rozlewają się w liczne i obfite jeziora. Wzdłuż rzek i strumieni ciągną się kotliny i doliny nieprzerwanym tokiem jedna po drugiej, wyścielone żyzną ziemią, zaslaną bogactwem przeróżnej zieleni.

I klimat i przyroda tej krainy, są dziwnie rozmaite. Północna część kraju całkiem a całkiem różna od południowej. Wielkie różnice szerokości geograficznej, prądy równikowe, zwrotnikowe i biegunowe, prądy morskie, wały gór, wstrzymujące wiatry stepowe, właściwe wschodniej części kontynentu południowo amerykańskiego, sprawiają, iż podczas gdy na północy nieraz panuje posucha, na południu prawie nieustanny deszcz pada; oprócz tego podczas, gdy na północy na niektórych obszarach ani źdźbło trawy nie wzrośnie, na południu olbrzymie lasy dziewicze obsiadły niezmierzone przestrzenie ziemi.

Na samej północy lśni się prawie wieczysty szafir nieba, nigdy nie zamącony obłokiem, jasny, gorący, suchy. Rosa prawie nigdy nie zrasza spragnionych, acz skąpych okazów Flory, co zmuszone do tulenia się nad brzegami sączących się leniwo ruczajów, zaledwie tylko trochę ptactwa u guanowych brzegów morza zwabić zdoła ku sobie. Miasto kwiatu, stokrotki lub jaskra, rodzą się na obszernych równinach wykwitły saletry, soli, ulexitu, gipsu i t. p. Niby pustynia skalista, żwirowa, głucha i sucha, ciągnie się ten najbardziej na północ wysunięty płat kraju aż do owiej strefy, która swym zasobem bogactw kopalnych wyróżnia się od przyrody innych części krainy chilijskiej. W tej drugiej strefie spoczywają w łonie ziemi złoto, srebro, miedź, turkusy, rtęć i inne kopaliny. Andy dosięgają tu maximum wysokości. W ziemie padają rzadkie, ale obfite deszcze, to też na pociechę wędrowca, co z poprzedniej, skrajno-północnej strefy przybywa, znika z wolna i stopniowo charakter pustyni, ukazują się potoki w wodę obfitsze, roślinność żywsza, gdzieniegdzie drzewa i krzewy, z rozpadlin górskich strzelają kaktusy, które swym czerwonym dziwacznym kwiatem, nęcą ku sobie oczy. Idąc tak coraz dalej na południe, wstępujemy z wolna w coraz gościnniejszą ziemię, wchodzimy w strefę trzecią. Spotykamy lamy i wikunie i guanaki, co skaczą po złomach skał, szukając pożywienia, a za nimi znowu gonią sępy ogromnej mocy i puny kociego rodu. Tu i owdzie ukazują się uprawne pola, które ku południowi przechodzą z wolna w nieprzejrzone łąki żyznej ziemi, na której len i konopie, pszenica, kukurydza i tytoń się złożą, a melony, dynie i pataty i mnóstwo innych jarzyn, bawni oko siłą swój zieleni i form przepychem. Klimat staje się łagodniejszy; ochładzany częstymi w tej strefie deszczami, nie dochodzi podczas największych nawet upałów wyżej 27 stopni, a wysuszoną podczas dziennej pory ziemię, zwilża w nocy obfita rosa. Po stokach

wzgórz nadbrzeżnych, pełnych przyrodzonych zasieków, ścielą się uprawne winnice, bujają wawrzyny i mirty, a gaje pomarańcz i palmi przeróżnych ocieniają rzeki. Łąki jak bukiety cudowne, ułożone z śnieżnego kwiatu bielunów, purpurowej samienty, szafirowej galeoty i różnobarwnej fuchsyi kołyszącej swe kielichy w upojeniu woni rozlewanej przez olbrzymie fiołki.

Na łąkach rozlega się ryk tucznego bydła i rżenie koni, co w niezliczonych stadach bujają wolno i dziko, zachowując typ swego szlachetnego andaluzyjskiego rodu. Ale też źrebie, co zbłądzi drogę i w zarośla mokre wejdzie niebacznie, może tu już łącno przejść granicę swój rajskiej strefy i stać się pastwą oceleta lub jaguara, co skrajno południową część kraju obrał sobie za siedzibę. Tu bowiem, na południowym krańcu kraju chilijskiego, zaległy ziemię lasy dziewicze, przetkane tu i owdzie stepami pampasu, a lasy tak gęste i poplątane paszytném wijącym się zielskiem, iż ni drogi nie znajdziesz, ni jój sobie nie utworzysz przez nieprzebyte gąszcze. One to wstrzymały niegdyś zdobywce Inkasów pochody.

Buki osobliwego rodzaju (*fagus obliqua*), roble i rauli o okazałości naszych dębów nad brzegami Dniepru, figi, drzewa mydlane, culemy, palmy, purpurowe alerzale, peumo, woniejąca *escallonia* o różowej korze a białym kwiecie, leszczyna, drzewo cynamonowe, pachnące wawrzyny — rosną tu w zgodzie i spokoju. Pod protekcyą buków udaje się *canela* (*eloinus chilensis*) z dostojnej rodziny magnolii, i *avellano* (*guevina avellano*) o pstrych orzeszkowatych owocach. Jakoby podszyciem lasów są mirty, blade wrzosa, *arrayeny*, murty, lumy, *tenruco* — wszystko pyszne kwiatem i wonią. U samego spodu gęste dzikie ziemniaki i truskawki. A cały ten gąszcz drzew i krzewów pokojarzony, powiązany i poplątany powojem lianem, mocną *copiqua* o purpurowych kwiatach (*chusquea colen*), wiotką *quilą*, *chuponem* (*bromelia sphaecelata*), i giętkimi *boques* trzcinowatej *colligiies* i *quite*. Gdzieniegdzie tylko, na małych polankach lasów, strzela ku niebu wolno i swobodnie wspaniała a tkliwa *araucaria* (*araucaria imbricata*) — zwana chlebem Indyan.

Gąszcze tych borów i lasów ciągną się aż do najskrajniejszych wybrzeży południa, ku Chiloe, i zalegają nawet wiele wysepek, rozsianych po zatokach, tworząc z nich niby oazy i przystanie dla niezliczonych stad fok i żółwi przeróżnego rodzaju. Wężów jadowitych nie ma w tych lasach, jak w całej krainie chilijskiej; zaledwo kilka wielkich rodzajów pajaków może przerazić wędrowca swym nieswojskim widokiem. Przeważnym mieszkańcem boru jest lis trójbarwny, bóbr i czynczyla.

Cała ta odmienność charakterów pojedynczych stref kraju chilijskiego, ma swe stopniowanie nietylko w kierunku od północy ku południowi, lecz także i w kierunku od zachodu ku wschodowi, albowiem morze, kordyliera nadmorska, step i Andy, jako pasy ustroju

geograficznój długości kraju chilijskiego, dając różne warunki rozwoju Florze i Faunie — różne pośród nawet mniej więcej jednolitego charakteru zoologicznego i botanicznego pewnej okolicy, wytwarzają pasy. Ztąd też cała ta kraina, jaką geografia mianem rzeczypospolitej chilijskiej obejmuje, jest jakoby jednym barwnym kobiercem wytworów klimatu i ustroju ziemi, ztąd to bogactwo płodów natury nie do porównania z żadnym inném, ztąd powab, jaki ten kraj ma dla każdego badacza przyrody, co radby ujrzeć na własne oczy ów raj stworzenia, i własnym rozumem wdzierzgnąć w tajemniczą grę dziwnie zestrzelonych sił natury.

Za rozkładem stref i za podawanymi przez nie warunkami pobytu, poszedł i pierwotny rozkład osad ludzkich w Chili. Pierwotny mieszkaniec zachodniego wybrzeża południowój Ameryki, Indyanin, zamieszkał przedewszystkiem te okolice, które bogactwem swych płodów roślinnych uwalniały go od troski o jutro, i — nie zmuszały do pracy. Wprawdzie walki z plemionami środkowój Ameryki, i czasowe wędrowki koczownicze zapędzały Indyan chilijskich i na północne pustynie Atacama, i ku obecnie Boliwijskim obszarom, ale właściwą siedzibą ich były przeważnie owe południowe strefy kraju, na których stoi dzisiaj Valdivia, i pozostały nią do dzisiaj.

Najeźdźcy europejsey, conquistadorzy żądni walk i zdobyczy, nie zostawili Indyan w spokoju, lecz czyniąc z zamieszkiwanych przez nich obszarów zwykłym sobie trybem pole rozlewu krwi, wyparli ich z najpiękniejszych stref kraju, które sami zajęli, a tubylców zapędzono w południowe ustronia leśne i stepy.

Nie było to dziełem łatwém, owszem, obrona ojczystej ziemi przez Indyan, ich waleczność i pogarda życia okryła sławą ich imię po wsze czasy, a Hiszpanów zmuszała nieraz do cofania się z najechanego kraju. Ale po długich walkach musieli Indyanie wreszcie uleść przemocy i chytrności najeźdźców. Wyparto ich do zakątków borów dziewiczych, a obszary najpiękniejszej ziemi zajęli obcy przybysze z Hiszpanii i innych krajów, tworząc posiadłość rządu hiszpańskiego.

Jednakowoż ten kraj przemocą zdobyty, obfitujący we wszystkie bogactwa przyrody, nie cieszył się długim spokojem. Stan wewnętrzny społeczności zamieszkującej go był długie czasy przeciwnym wszelkiemu swobodnemu rozwojowi. Ucisk rządu najeźdźczego, co stał wszelkiemu postępowi zaporą, odgraniczenie od ognisk cywilizacyjnych świata skutkiem oddalenia i braku łączności, utrzymywały stosunki wewnętrzne tej krainy w ciągle wzmagającym się rozstroju, aż wreszcie rozprzął się organizm społeczny do tego stopnia, iż błogosławiony ten kraj stał się widownią anarchii wraz ze wszystkimi jej następstwami. Ciemność coraz większa zalegała nad krajem, przemysł, handel, praca wszelka ustały całkowicie. Gniebiony uciskiem naród osiadły nie mógł nosić dłużej takiego stanu. Obudziła się w nim godność człowiecza, us্পiona czasowo zbytkiem wygody lub

żądzą zysku, ocknęło się pragnienie szlachetniejszego bytu—chwycano za broń do walki za niepodległość swoją. Walczono czas długi, i trudno przewidzieć, jakby się był ten rozlew krwi skończył, i jak długo byłby się ciągnął, gdyby nie zjawił się był mąż wielkiej odwagi i wielkiego serca, Don Diego Portales, który ujawszy w silną dłoń przywództwo pragnących niepodległości i swobody, doprowadził szybkim tętmem walkę do końca, kraj do samodzielności a ustrój społeczny do formy konstytucyjnej.

Stało się to właśnie niedługo przed przybyciem Domeyki do Chili.

Rzecz jasna, iż stosunki jakie Domeyko zastał w tym kraju, nie były jeszcze ze wszystkim uregulowane. Skutki długiego nierządu i walki domowej ujawniały się na każdym kroku. Niby po długiej chorobie przychodził naród do zdrowia i odradzał się zwolna do nowego bytu

Jedną z pierwszych prac, podjętych przez wybranych głosem narodu do reformy stosunków społeczności chilijskiej, była sprawa oświecenia publicznego, sprawa zakładania szkół i instytutów naukowych wyższych. Najzarliwszym obrońcą tej sprawy był intendent prowincji Coquimbo, generał z walki o niepodległość, Don José Santiago Aldunate. Jego to staraniem postanowiono kolegium Coquimbijskie zreformować i postawić na stanowisku wymagań społecznych; jego też sprawą było polecenie dane p. Lambertowi wyszukania w Europie odpowiedniego uczonego, któremu by to zadanie powierzyć można było. Jak p. Lambert wywiązał się z tego polecenia—rzecz wiadoma

Domeyko osiadł tedy w Coquimbo czyli Serenie, nazwanéj tak oddawna od nazwiska jednego z generałów zasłużonych, który je założył. Miasto to położone w drugiej północéj strefie kraju, nad morzem, o klimacie zdrowym, rządzone było w pierwszej linii przez wyżéj wspomnianego intendanta Aldunate, a bezpośrednio rządzącą miasta był Don Jorje Edwards. Obaj ci dostojnicy wraz z uwiadomionym o przybyciu Domeyki ministrem oświecenia publicznego, Don Mariano de Egaña, przyjęli Domeykę z wszystkimi honorami, winnymi godności europejskiego uczonego, a gdy wieść ta o przyjeździe reformatora górnictwa rozeszła się po kraju, drukiem i czynem urządzano rodakowi naszemu owacy różnego rodzaju. Wszyscy oczekiwali od nowo przybyłego wszelkiéj mądrości. Nie miano wprawdzie należytego pojęcia o nauce chemii i metalurgii, ale rozumiano, iż nieznaną u nich dotąd umiejętność doprowadzi do łatwiejszego i obfitszego wydobywania złota i srebra z łona gór w kruszce tak obfitych, i przysporzy powszechnéj korzyści.

Domeyko, widząc tyle pokładanéj w sobie nadziei, a chcąc ją ziszcic copredéj, jął się zaraz za przybyciem pracy i zatopił się w nią całkowicie. Z pomocą ministra Egaña i intendanta Aldunate, zakłada Domeyko laboratorium chemiczne i sprowadza doń z Europy

potrzebne przyrządy. Urządza początkowo dwa kursa wykładów—kurs chemii i kurs fizyki,—które później rozszerza do granic odpowiednich. Przedewszystkiem przysposabia słuchaczy swoich do chemicznego rozbioru minerałów. Dla braku miejsca w budynku kolegialnem, otrzymuje za sprawą powyższych dostojników, którzy we wszystkim szli mu na rękę, fundusze na budowę nowego laboratorium, którego urządzeniem sam się gorliwie zajmuje.

Nie widząc w nauczaniu kolegialnem żadnej metody, któraby do celu prowadziła, układa Domeyko cały plan nauki i przedstawia go w obszernym memoryale ministrowi oświaty do zatwierdzenia. W memoryale pomienionym rozwija szczegółowo metodę nauki, czas jej trwania i rozmiary wykładu przedmiotów. Zamiast tedy powierzonych sobie wykładów chemii z własnej chęci organizuje Domeyko odrazu cały plan nauki kolegialnej i wprowadza umiejętną podstawę w jej dziedzinę ogólną. Memoryał ten został w sierpniu 1839 r., chlubnie ocenionym przez kongres narodowy—i odtąd datuje się nauka w kolegium według planu Domeyki, który pracował niezmqordowanie nad ciągłym ulepszeniem i postępem oświaty w kraju.

Spełniając obowiązek swój jako profesor i organizator fakultetu górniczego, nie zapomina Domeyko i o pracy na polu umiejętności powszechniej.

Zachwycony bogactwem nieznanych tworów przyrody tak różnej od przyrody stariej Europy, ulega jej wrażeniom jak każdy człowiek tknięty świętym uczuciem miłości wiedzy, bada nasuwające mu się zjawiska okiem szukającego prawdy, zgłębia co niezgłębione dotąd, każdą chwilę wolną od zajęć obowiązkowych wypełnia jakąś głębszą umiejętną pracą. Zawiazuje stałą naukową korespondencją z ogniskiem nauki t. j. z Paryżem, i po przedzeniu pierwszych wakacyi, które w Chili przypadają w lutym, na naukowęj wycieczce w Kordylierę Coquimbijską, zestawia swe umiejętne spostrzeżenia w formę rozpraw i posęła je za pośrednictwem Adama Mickiewicza do czasopisma „Annales des mines“¹⁾.

Wieści o rozbiore minerałów i korzyściach z rozbioru rud płynących, o rozbiore, dokonywanym w laboratorium Domeyki a wskazującym górnikom prostą drogę w poszukiwaniach, wieści o wykładach Domeyki z dziedziny chemii, metalurgii i fizyki, poczęły się rozchodzić po kraju, siać zrozumienie nauki, krzewić żądzę wiedzy, szacunek dla niej, dla instytutu i młodego profesora. Rzecz prosta, iż

1) Dokładny „Spis bibliograficzny“ studyów Domeyki podajemy niżej w dalszym ciągu pracy niniejszej w porządku chronologicznym, gdzie badacz nauk przyrodzonych znajdzie też dosłowny tytuł każdej pracy Domeyki. Dla uniknienia zaś powtarzania czynimy w tekście tylko krótkie treściwe wzmianki o dziełach Domeyki — lub też odsyłamy czytelnika do samego „Spisu bibliograficznego“ pod odpowiednim N-rem bieżącym.

rozgłos ten przysparzał Domeyce także ciągle świeżego zajęcia. Nieustannie domagał się odeń analizy świeżo wynalezionych kopalni, analizy bezwzględnej, bo niecierpliwie wyczekiwaną, bo jej wynik miał rozstrzygnąć o losie odkrycia, zniszczyć lub zwiększyć gorączkę zysku. Koszt rozbioru nie odgrywał przytém żadnej roli, ofiarowywano Domeyce znaczne sumy, by prędzej od innych dowiedzieć się o swym losie. Ale Domeyko nie łaknął pieniędzy. Szlachetny uczony badał bezinteresownie, bo pracował z miłości wiedzy. Tém bardziej przeto garnęli się doń ludzie, tém więcej czci zdobywał sobie w szerokich kołach, tém więcej nabierał znaczenia w kraju, co mu gościnnie otworzył swe wrota.

Ale wśród tego uznania zdobywanego gorliwą pracą dla dobra drugich, wśród pomyślności, ścielącej mu się u progu nowego życia, nie znajdował Domeyko zadowolenia całkowitego. Myśl swoją słał ciągle poza lądy i oceany, na wschód ku owym niwom i borom, gdzie się rozlegał głos polskiej mowy, głos matki i rodzeństwa ukochanego. Często gonił wspomnieniem ku niedawnym owym czasom pożycia w Paryżu z druhami swoimi -- a kojąc tęsknotę za ojczyzną, pisywał do rodziny i przyjaciół na obczyźnie. Szczególniej z Adamem Mickiewiczem żywą prowadził wymianę myśli. Stosunku jaki ich złączył w Wilnie i Paryżu nie osłabiły ni oceany, ni czasów i losów zmienne koleje. Jeden tęsknił za drugim i radby go mieć obok siebie. Otrzymawszy więc posadę profesora w Lausanne, myśli zaraz Mickiewicz o tém, czyby nie była tam i dla Domeyki posada, a gdy rzeczywiście posada nauczyciela chemii się otworzyła, czyni starania o nadanie jej Domeyce i pisze do niego ¹⁾:

„Robilibyśmy razem eksperymenta chemiczne, bo do chemii zawsze mam jak wiesz niemały pociąg... Gdybym miał pieniędzy więcej, puściłbym się odwiedzić ciebie. Postawię na loteryą wie-deńską na tę intencyą. Zresztą upatrz dla mnie miejsce w Coquimbo, a ja ruszę nawet z całą gromadką.“

Czy Adam miał zamiar podróży do Coquimbo rzeczywiście?— trudno orzec. Z tonu listu wnosićby należało, iż to tylko żart przyjacielski.

Każdy list Mickiewicza do druha swojego za oceanem, obciążony był sownie płodem pióra polskiego, tak świeżo wydanymi pracami Adama, jak i innych przyjaciół wieszczych. Domeyko, nie słysząc nigdy słowa polskiego, wyczekiwał tęsknie każdej takiej przesyłki, by pod jej wpływem, przenieść się w ukochany mu kraj ojczyzny. A gdy przesyłka nie nadeszła, do czytania nic polskiego nie było, brał w rękę coś hiszpańskiego i przekładał na język macierzysty. Z owiej epoki datuje się też przekład „Medytacyi Św. Teresy nad „Ojczyznę naszą,“ o którym wspomina w liście do Mickie-

¹⁾ Koresp. Mick, I, 144.

wicza ¹⁾ przesyłając mu do Paryża, to tłómaczenie dotychczas niedrukowane.

W r. 1840 ukończył Domeyko swój pierwszy kurs wykładów na założonym przez się wydziale chemii górniczej. Egzamina wypadły świetnie. Wszystkie powagi kraju wraz z publicznością wyścigały się w oznakach uznania dla pracy Domeyki i jego zasług około podniesienia nauki kolegialnej. Ówczesny intendent prowincyi Coquimbo, Don Juan Melgereo wyraża się w doniesieniu swém do rządu:

...„se ha hecho acreedor a una especial distincion del Gobierno” (zasłużył na szczególne uznanie rządu) — a nowy minister oświecenia Don Manuel Montt, to uznanie i podziękowanie stwierdza Domeyce osobnym dekretem.

Niby w szlachetne wet za wet, ogłasza Domeyko w czasopiśmie: „Araucano” memoriał zatytułowany:

„Clase de quimica, fisica i mineralojia unidas en el colejio de Coquimbo,“ i poleca go rządowi do uwzględnienia. W memoryale tym podaje Domeyko po raz pierwszy nowy plan organizacyi wykładów i projekt założenia gabinetów fizycznych i przyrodniczych oraz biblioteki przy kolegium, któremu na takich zbiorach zbywało dotąd zupełnie; uzasadnił potrzebę takich gabinetów a wreszcie zażądał i uzasadnił konieczność wysłania dwóch lub trzech najlepszych uczniów swoich do Europy celem głębszego wykształcenia ich w zawodzie chemii i metalurgii, podał dokładny plan studyów, jakiego trzymać się mają w europejskich zakładach, wskazał przepisy, które ci wysłańcy wśród studyów i w życiu prywatném zachowywać są obowiązani i jak nadzorowani być mają, — i po trzecie, żądał zaprowadzenia w rzeczypospolitej analizatorów górniczych i określenia ich praw i obowiązków.

Projekt został bez zmiany przyjęty przez kongres narodowy z nowém uznaniem dla polskiego profesora, a jak wyczerpujące i gruntowne są jego podstawy, może posłużyć za dowód między innymi i ta okoliczność, że nietylko ówczesny minister oświecenia Montt, ale i jego następcy, Antonio Varas i Salváador Sanfuéntes, trzymali się podanych przez Domeykę wskazówek bez najmniejszej zmiany.

W wykonaniu tego projektu wyznaczył rząd do dyspozycyi Domeyki fundusz na zakupno potrzebnych przyrządów naukowych do gabinetów, polecił mu wybór dwóch kandydatów mających być wysłanymi do Europy, przy zarekomendowaniu ich profesorom w Paryżu. Równocześnie mianował go rząd generalnym górnistrzem i najwyższym sądowym rozjemcą w sprawach górnictwa w całej rzeczypospolitej (ensayador general o. Perito facultativo de minas en toda la Republica).

¹⁾ Dod. do „Czasu” 1857, 12.

Nie miał więc Domeyko powodu do uskarżania się na brak pracy. Rozrywany przez górników i właścicieli kopalń i hut, nie przerywa swych prac w laboratorium, lecz znajduje jeszcze czas na zakładanie gabinetów, a głównie gabinetów przyrodniczych, którym, przy ofercie własnych zbiorów, daje początek. W chwilach wolnych odbywa nowe wycieczki i podróże, a co zwiedził i zbadał, rzuca na papier i ogłasza w umiejętnych czasopismach Europy. Drugie z rzędu ferye przepędził Domeyko na badaniu pokładów mineralogicznych Kordyliery w okolicach Hñasco i Copiapo. Ubrany zwyczajem, zapożyczonym od gauchów, w ponczo, chilipali i kapeluszu guajaquillski, zwiedzał kopalnie poopuszczane bez powodu, stepy i travesiasy północnej części kraju, i gdzie tylko sposobność się nadarzała, szukał nowych skarbów dla nauki i przemysłu. W jednej z prac, ogłoszonych po tej podróży ¹⁾, przedstawił nowo odkryty przez siebie w Arqueros minerał, który przy rozbiórce okazał się wcale nieznanym rodzimym amalgamem srebra o składzie chemicznym $Ag_6 Hg$. Praca ta została przedrukowaną w Paryżu w „Comptes rendus“ Akademii umiejętności a nieco później w „Erdmanns Journal für praktische Chemie.“ Członkowie Akademii umiejętności w Paryżu, wyznaczeni do oceny tej pracy, p. Berthier, Elie de Beaumont i Dufresnoy, nazwali ten nowy przez Domeykę wykryty minerał arqueritem, a umieściwszy w swém sprawozdaniu chlubne świadectwo o zasługach naszego badacza, zaliczyli prace jego do zbioru „Recueil des Savants étrangers.“

Tak zeszedł Domeyce już trzeci rok pobytu w gościnnej krainie, trzeci rok pracy dla narodu miłego, życzliwego i uznającego z wdzięcznością ponoszoną dlań ofiarę cudzoziemca. Wedle przyjętego zobowiązania na lat sześć, pozostawało jeszcze Domeyce trzy lat pracy poza oceanem. Domeyko godził się z tą myślą, w zasadzie, czasami tylko, gdy bolesna tęsknota nadto szarpała sercem, gdy pisząc do serdecznych przyjaciół swoich przenosił się myślą w ich grono i ożywał duchem, co w tém gronie wzniosłych serc panował, oskrzydłany geniuszem Mickiewicza, puszczał wodze chwilowemu smutkowi a pragnąc powrotu, kreślił w gorących słowach tęsknotę swoją.

A przyjaciele rozumieli ten głos tęsknoty, bo sami niecierpiwili się długą nieobecnością Domeyki. Mickiewicz pisze też z Lausanne ²⁾.

„Kiedyż się obaczymy? Już i mnie tęskno do ciebie. Bo widzę, że tylko z dawnymi przyjaciółmi całkiem duszą można zrozumieć się. Możebyś ty znalazł sposób rozstać się już z nowym światem, spodziewam się, że już mi szkołę postawiłeś na nogach. Wra-

¹⁾ Zob. w dalszym ciągu „Spis bibliograficzny“ Nr. 3, 4, 5.

²⁾ Koresp. Mick. I.

caj do nas. Osiadłszy gdzie razem, cieszylibyśmy jakoś będzie. Wracaj, chociażby bez złota i bez kolibryków...“¹⁾).

A w inném miejscu donosząc mu o stosunkach rodzinnych, pisze: „Misia (córka Adama) już duża dziewczyna i szczerze dopytuje się, kiedy pójdzie za mąż za Domeykę...“

W liście z 7 maja 1841 pisze znów Mickiewicz:

„Powiedz mi dla czego myślisz jeszcze tam trzy lata siedzieć, czy cię z kontraktu nie zwolnią? bo to już za bardzo długo trzy lata usiedzieć. Chyba się zakochasz, czy złoto znajdziesz, w takim razie pozwalam ci jeszcze lat cztery...“

Tęsknili więc przyjaciele i druhy po myśli za sobą, ale poczucie obowiązku ze strony Domeyki nie pozwalało na wykonanie zamysłów powrotu. Pisywano do siebie coraz więcej i coraz obszerniej, kojąco cierpienie rozłąki jak było można, a praca przytłumiała myśli co, gwałtem rwała się z duszy i biegły na przeciwne krańce świata.

Nie poprzestając na reformie nauki i biegnąc w kolegium Sereny, zapragnął niezmiernie umysł Domeyki czegoś więcej. Przypatrując się zaniedbania Oświaty i wychowania publicznego, dostrzegł Domeyko trudności, które zdrowemu rozwojowi oświaty narodu stały w drodze, a mając na myśli świetny stan oświecenia publicznego za swych szkolnych czasów w ojczyźnie, opracował z własnej inicjatywy gruntowny plan poprawy systemu wychowania młodzieży w Rzeczypospolitej. Uwzględniając właściwości narodu, przeszczepił Domeyko organizacją uniwersytetu wileńskiego z jego szkołami parafialnymi, podwydziałowemi, i wydziałowemi, zależnemi bezpośrednio od uniwersytetu — na grunt chilijski. Pracę tę ogłosił w czasopiśmie: „Semenario de Santiago“²⁾.

Ówczesny rektor uniwersytetu narodowego, jeden z najznakomitszych mężów Rzeczypospolitej, rozebrał w tymże samym czasopiśmie pracę Domeyki i gorąco ją rządowi do uwzględnienia polecił. Główną zasadą, na której Domeyko oparł swój plan wychowania młodzieży, było udoskonalenie moralne człowieka. Wykazując więc, iż fałszywe jest pojmowanie tych, co uczą się matematyki na to, aby umieć rachować, co uczą się chemii tylko na to, aby umieć analizować kruszce, co uczą się literatury i estetyki dla tego, bo tak każe

¹⁾ Ostatnio to zdanie wyjaśniają nam wspomnienia p. Maryi Góreckiej („Kronika rodzinna“ 1874, str. 360):

„Pamiętam jak za mgłą jaką wyjazd do Chili przyjaciela ojca, p. Ignacego Domeyki, o którym często wówczas i potem była mowa. Z niecierpliwością wyglądałam powrotu pana Domeyki, którego przez ojca prosiłam o przywiezienie mi trzech rzeczy: szalu tureckiego, brylantów i żywego kolibryka, nie upatrując zapewne nie świetniejszego na świecie nad ten dobór prezentów. Tymczasem z wielkiem zajęciem słuchałam listów podróżnego, które ojciec, widząc moją ciekawość, głośno mi czytał.“

²⁾ Zob. Spis bibliogr. nr. 8

przepis, zaleca obyczaj lub moda, wskazywał Domeyko jako na nie-równie wyższy cel nad wszystkie te cele uboczne, jakim te różne nauki służą,—na miłość nauki, jako na drogi szlachetnego rozwoju zdolności intelektualnych, rozwoju charakteru i poczucia godności człowieka, dowodząc, iż pojmowanie nauki tylko jako środka do osiągnięcia chleba, jest jej zapoznaniem, wykazując, iż każdy człowiek kształcić się ciągle i ciągle powinien i że nie należy mu się ograniczać tylko do tego, co mu do jego osobnego zawodu przydać się może, lecz że każdy powinien widnokrąg swych wiadomości rozszerzać poza zasklepiiony obręb fachowego studium. W tym duchu podał Domeyko plan wykształcenia, które każdy człowiek posiadać winien, bez względu na zawód przyszły, żądał prócz tego ustanowienia organów, nadzorujących szkoły, urządzenia szkoły kandydatów nauczycielskich, szkół malarstwa i muzyki.

Naskutek tego memoriału, ocenionego chlubnie przez rektora Instytutu narodowego, dekretem ministeryalnym został Domeyko wezwany do Rady, pracującej nad organizacją Instytutu w Santiago.

Popierając czynem pomysły swego memoriału, wypracował Domeyko cztery podręczniki nauk dla młodzieży kolejalnej, na których dotąd w kraju zbywało i przedstawił je ministerstwu do zatwierdzenia i wprowadzenia ich do szkół.

Ministerstwo poleciło natychmiast wydrukować każde z tych dzieł w 600 egzemplarzach na koszt rządu, pozostawiając po 300 egzemplarzy do rozporządzenia autora.

W przedmowie do „Traktatu probierczego“ wykazuje Domeyko potrzebę i sposoby analizowania minerałów nie mniej i korzyści, jakie ztąd nauka górnictwa odnosi. Kończy zaś taką apostrofą:

„Przez dzieło to chcę okazać nam wdzięczność i dać dowód miłości kraju, w którym znalazłem wytchnienie i pociechę

Wstęp do „Podręcznika mineralogicznego“ jest wzniosłem wezwaniem młodzieży do pracy w dziedzinie, która w krainie chilijskiej tak obfitęm cieszy się bogactwem przedmiotu. Nie będzie od rzeczy, gdy przedmowę tę przytoczymy tutaj w wyjątku:

„Młodzież chilijska upojona widokiem majestatycznych Andów, żywi wybitną skłonność do nauki, która ją zaznajamia z ziemią rodzimą i przyrodą jej skał rozlicznych. We wnętrzu tej ziemi kryją się najrozmaitsze twory, nad których wyszukiwaniem trudzi się nieznużony górnik; tak samo jak botanik nie zadawała się znajomością roślin najpożyteczniejszych w rolnictwie i sztuce lekarskiej, lecz stara się rozszerzać zasób swoich zdobyczy naukowych na cały świat roślinny, tak mineralog powinien starać się obejmować swoją nauką całe państwo minerałów, począwszy od dyamentu aż do ziem najpospolitszych, od złota aż do torfu. Mineralogia przynosi nam korzyść podwójną: po pierwsze, jako sztuka poznawania ciał pożytecznych i ich siedliska, ma zastosowanie w górnictwie, po drugie, jako umiejętność, która nam daje poznać skład ziemi, przez nas

zamieszkałej, przychodzi z wielką pomocą naukom przyrodniczym, a zwłaszcza najpiękniejszej i najśłodziej z nich, nauce geologii, a wreszcie jest częścią tego nieprzebranego skarbu wiedzy pozytywnej, która oświecając człowieka, potęguje w nim ducha.“

„Podręcznik geologiczny“ i „Podręcznik miernictwa górniczego“ nie wyszły z druku z tej przyczyny, iż Domeyko udzielił tych rękopisów geologowi Amado Pissis, opracowującemu geologiczne dzieło o „Chili“.

Nie jedyne to jednak dzieła z owego okresu. Z niezmierną pilnością wypracował Domeyko nowy memoriał o założeniu kolegium górnictwa i o urzędowaniu sędziów górniczych, który ogłosił w „Gaceta de los Tribunales i de la Instruccion publica.“ Memoriał ten równie aprobowano i wprowadzono w życie.

Trzymiesięczne ferie r. 1841 poświęcił Domeyko badaniom kopalń w departamentach Ovalle, Combarbalá, Aconcagua, Santiago aż do San Pedro Nolasco. Owocem tej wycieczki były korzyści praktyczne nie tylko dla górnictwa, lecz ważne spostrzeżenia naukowe. W pracach tych, ogłoszonych w „Annales des Mines“, podał Domeyko dokładne analizy minerałów, znalezionych na tym obszarze Kordyliarów, z załączoną wiadomością o dotychczas nie znanym arsenianie miedzi, któremu sławny wiedeński mineralog Haidinger nadał nazwę „Domeykit.“

Rok następny poświęcił Domeyko zwiedzeniu Kordyliarów San Jose, Compañía i Cauquenes, wezwany do tego przez grono górników, którzy spodziewali się w tej okolicy obfitego poławu. Domeyko nie zawiódł też ich nadziei, odkrył bowiem w Cordillera de la Compañía bogate łóża miedzianych rud w metamorficznych porfirach, a w Cauquenes bogate pokłady złota.

Obfitość rud kruszcowych wszelkiego rodzaju w okolicy Copiapo skłoniły ministerstwo do tego, że poleciło Domeyce dokładne zbadanie pokładów geologicznych tego obszaru kraju. Wywiązując się z tego zadania, ogłosił Domeyko wyniki długich swych badań w dzienniku „Araucano“ a później w osobnym dziełku ¹⁾. Praca ta rzuciła całkiem nowe światło na geologię kraju chilijskiego i była podstawą późniejszych prac Domeyki nad wyczerpującym obrazem geologii tego obszaru kuli ziemskiej.

W uznaniu za tę pracę minister oświecenia mianował Domeykę w końcu r. 1843, członkiem-założycielem nowo organizowanego uniwersyteckiego wydziału nauk matematyczno-fizycznych, a niedługo potem i członkiem-sekretarzem tego wydziału.

Doznawał więc Domeyko zaszczytów nie mało w nagrodę swych nieustannych prac dla nauki i dobra kraju, rozwijającego się pomyślnie pod rządem ludzi światłych i szczerze dobra ojczyzny

¹⁾ Bibliogr. nr. 13.

swojej pragnących. Ale Domeykę nie zadawała to powódzenie. W duszy jego tkwiła ciągle myśl o kraju własnym, chęć pracy dla dobra swojej ojczyzny. Snuł więc plany powrotu do Europy, skoro upłynie terminu, do którego się zobowiązał; przemyślał nad tē, jakby wyzyskać jak najskrzętniej podróż powrotną i osiąść bliżej swoich w Europie.

Pisał więc do Adama Mickiewicza:

„Aż strach, że czas tak marnie schodzi, daleko od swoich i nie mogąc im być w niczēn użytecznym, staram się przynajmniej i pracuję wszystkimi mojami siłami, żeby zachować całą prostotę wiary naszej domowej i być takim, jakim byłem z maleństwa mego, pod okiem rodziców, plebana i domowych, kiedy ani piędź człowiek nie miał pokusy być większym nad to, czēn był i czēn mniemał pozostać na zawsze...”

A w innēn miejscu (Listy J. Domeyki do Ad. Mickiewicza, Dcd. do „Czasu,” 1857) pisał:

„Gdy będę wolnym, ruszę ku Boliwii i Peru, potēn z Callao popłynę jeśli Bóg pozwoli do Guajaquil, zkąd ładem radbym się dostać do Quito, Santa Fe, do którego z portów drugiego Oceanu, zwiedzić ciekawszą część Meksyku i powrócić przez Zjednoczone Stany.— Homo proponit, Deus disponit — tyle morzów i krajów do przebycia a człowiek tak wąty jak bańka. Chciałbym uzbierać kolekcją minerałów amerykańskich, jakiej dotąd nikt nie miał i wydać mineralogią Kordylierów... chciałbym... i sam z siebie się śmieję, nie wiedząc, co jutro będzie...”

Ostatnie zamysły swoje doprowadził Domeyko z chlubą do skutku, ale co do powrotu, pisał słusznie: Homo proponit, Deus disponit...

W grudniu tegoż roku, w którym ten list wysłał do Mickiewicza, nawiedzone zostało Chili wielkiēn trzęsieniem ziemi. Było to jedno z owych rzadko zdarzających się silnych trzęsień, zwanych w Chili: terremotos (temblores). Domy waliły się niby budki karciane, sztraszliwa ciemność zalegała świat Boży, ludzie nie mogli utrzymać się na nogach, włóścianie tarzali się po ziemi, bydło wrywało się ze stajen i pędząc po ulicach wstrząsało swym przeraźliwym rykiem powietrze. Domeyko— jak prawdziwy uczony, zapomniał o dobytku swoim, zamknął się w pracowni, i robiąc spostrzeżenia nad tēn straszniēn zjawiskiem, zdał z niego dokładną sprawę w historyi przyrody.

Wakacye r. 1844 przepędził Domeyko wraz z czterema uczniami swymi w Cordillera de Coquimbo po raz drugi; a rok 1845 poświęcił zwiedzeniu ziem, zamieszkałych przez osławione szczepy indyan Araukańskich, co wypierani podbojami conquistadorów osiedli leśne ustronia południowe kraju chilijskiego.

Owoce tēj podróży, jest dzieło, którego rozgłos rozniósł nazwisko Domeyki daleko poza granice Chili i granice Ameryki. Dzie-

ło to: „Araukania i jój mieszkańcy“ ¹⁾ przedstawia: Geografią fizyczną południowych obszarów Rzeczypospolitej chiliskiej; Opis stanu moralnego i fizycznego ludu Araukańskiego, oraz Dociekanie środków ucywilizowania jego.

Dzieło to Domeyki, to najpiękniejszy dowód wielkiego serca, jakim obdarzyła go szczodra Opatrzność. Z całym zapalem chrześcijańskiej miłości ujął się tu Domeyko za ludem gnębnym, poniewieranym i wyzyskiwanym, ludem godnym lepszego losu, pełnym pięknych i wzniosłych zalet charakteru i tych cnót, co zdobią męża i bohatera. Całą siłą wymowy i całą potęgą uczucia wezwał w nim Domeyko do ocknięcia się, do pracy nad podniesieniem tego narodu, nad zbliżeniem go do wiary Chrystusa, do cywilizacji, nad wcieleieniem go w grono niepodległych obywateli Rzeczypospolitej. Wykreśliwszy jasno drogę, jakiej w tej wzniosłej pracy trzymać się należy, ostrzega zarazem mądrze przed wszelkimi fałszywymi środkami, które łatwo mogą zwichnąć to cne dzieło i z prostej sprowadzić ścieżki. Przedewszystkiem ujął się Domeyko za zachowaniem narodowości Araukanów, piętnując każdy zamiar wynaradawienia ich jakkolwiek drogą, jako niegodny charakteru wykształconego chrześcjanina, ostrzegał przed środkami nasuwanymi przez egoizm, fałsz, hipokryzją polityki — t. j. przez zasady, które z sobą przynosi tak powszechnie każąca serca ludzkie teoria „walki o byt.“ Wszelkie budzenie w Araukanach zamięłowania zbytku i wygod, któreby ich czyniły zniewieściałymi, pochlebianie ich miłości własnej, sianie niezgody, szczucie jednych na drugich, wyzwanie z posiadłości pod osłoną handlu, zachowywanie ich przesądów a usypianie energii i starodawniej waleczności — środki wskazywane i zastosowywane tak często przez politykę wyższą, piętnuje Domeyko jako niecne i niegodne. Owszem, z całą mocą głębokiego przekonania, jak prawy rzecznik słuszności, przemawia Domeyko za uszanowaniem starodawnych zwyczajów i obyczajów araukańskich, a obstaje tylko za zbiciem przesądów drogą oświaty i za pomocą tych pojęć, które nauka chrześcijańska podaje, a przedewszystkiem przemawia za podniesieniem w tych inteligentnych ludziach poczucia godności człowieczeństwa. „Dałby Bóg, kończy Domeyko, by żadna chmurka hipokryzji politycznej nie zaciemniła tej zielonej krainy, uwieńczonej kwiatami i owianej balsamicznym tchnieniem łąk i lasów niezliczonych.

Skutek tego dzieła był olbrzymi. Przemawiając z serca trafił do serca. Nie tylko rząd i ludzie uczeni, ale cała społeczność amerykańska zawtórowała Domeyce echem uznania i podziękii za szczytne rozwiązanie kwestyi, co powszechnie zmorą ciążyła na duszy. Jęto się tej sprawy z całą energią, z wszelką przez Domeykę wskazaną rozważą i z uwzględnieniem szczegółowych wskazówek jego. Często gorliwie pracować nad tem dziełem ucywilizowania biednego

¹⁾ Zob. nr. 17.

narodu i—pracują aż dotąd, a błogie owoce, jakie już niejednokrotnie zbierała tutaj ludność chilijska, są ziszczeniem prawdy, tkwiącęg w słowach polskiego uczonego.

Jak wielkiego powodzenia doznało to dzieło, dowodem, iż w przeciągu jednego roku wyczerpały się dwa nakłady. Znakomity redaktor dziennika „Araucano“ i rektor uniwersytetu umieścił w łamach swego pisma wyciąg z dzieła Domeyki a zagajając przedruk, pisze:

„Nie zamierzamy wcale chwalić tego dzieła, ani ono, ani jego autor nie potrzebują naszych biednych pochwał celem polecenia go uwadze chilijszczyków i całego literackiego świata“ — a o stylu Domeyki wyraża się w ten sposób były minister oświecenia Don Miguel Luis Amunategui: „Styl tég pracy jest w całości swojej poetyczny i malowniczy, podobny licznym opisom Humboldta. Domeyko zdołał tu równie jak w innych swych dziełach, wyrazić myśli naukowe w sposób bardzo barwny, wykazując przez to, iż można z wielką korzyścią połączyć przymioty uczonego z przymiotami literata.“

Rozgłos tego dzieła nie ginął w granicach Ameryki. Rok późniég przedrukowano je w Rzeczypospolitég Plata i wcielono do biblioteki „del Comercio del Mundo,“ a niedługo potém przetłómaczono je na język francuzki, angielski, niemiecki i polski (Leonard Rettel).

Redaktor francuzkiego dziennika „Politique nouvelle“ umieścił w feletonie swego pisma streszczenie tego dzieła pod tytułeni: „Les Sauvages de l'Araucanie,“ a znany orientalista Sedillot, sekretarz francuzkiego Towarzystwa geograficznego, umieścił je w „Bulletin de la société de Geographie.“

Hiszpańskie wydanie tegoż dzieła opatrzone jest wstępem pióra jednego z znakomych literatów p. Antonio Garcia Réyes. Przytaczamy go, jako ilustracją ówczesnych zapatrywań społeczeństwa chilijskiego na działalność Domeyki: „Ofiarujemy publiczności nowe dzieło naszego znakomitego gościa, p. I. Domeyki, któremu Rzeczypospolita zawdzięcza tyle prac pożytecznych i zajmujących. P. Domeyko ma prawdziwy dar podejmowania kwestyi najpożyteczniejszych dla naszego społeczeństwa i talent wyjaśniania ich ku wielkiemu pożytkowi i cywilizacyi kraju. Jego rzecz o wychowaniu literackiém w Chili, posunęła naprzód rozbiór tég ważnéj sprawy i wywołała radykalną reformę systemu nauk w kolegiach publicznych...“ Wyliczywszy szczegółowe prace Domeyki mówi dalej: „Religijne namaszczenie Domeyki w pracach naukowych i jego szlachetne poświęcenie się sprawom publicznym zniewoliło go wreszcie do zwiedzenia plemion tubylców, plemion niepodległych, które wśród naszego kraju od wieków mieszkają. Badając charakter zamieszkujących go ludów dzikich i śledząc zręcznie ich ustrój społeczny, dał Domeyko dowód że prawdziwie ukochał ludzkość.“

Przypadek zrządził, iż podczas podróży Domeyki po Arauka-

nii, wszczął się ogień w laboratorium kolegiálném Sereny, i zniszczył nie tylko cały budynek, w którym mieszkał i pracował polski uczoney, ale też wszystkie zbiory i rękopisy stały się pastwą płomieni. Cios ten dotknął Domeykę bardzo boleśnie, i stał się w następstwach swoich ważnym o tyle, iż odwiódł Domeykę stanowczo od zamiaru porzucenia Chili.

„Jak opuścić ten kraj — pisze do Mickiewicza — nie pozostawwszy po sobie żadnej pamiątki, żadnego śladu pracy mojej, byłoby ciężko dla duszy, więc z gotowością wezmę się do odbudowania wszystkiego, co ogień zniszczył i czekać będę na powrót uczniów moich z Europy.“

Porzuciwszy tedy myśl powrotu, jał się Domeyko nowej pracy. Występuje z pomysłami i projektami na polu — ekonomii politycznej. Pracę tę, ogłoszoną w dzienniku „Araucano“ ¹⁾, poświęcił Domeyko rozbirowi trzech bardzo żywotnych kwestyi ekonomicznych. W pierwszej z nich mówi o zniesieniu cła, nałożonego na węgiel angielski, dowodząc, jakie niekorzystne ztąd dla hutnictwa wynikają skutki i jakim wyniszczeniem lasów taka gospodarka skończyć się musi. W drugiej pracy wykazuje Domeyko potrzebę budowy pieców do wytapiania kruszców według nowoczesnych wymagań metalurgii, broni wolności wywozu kruszców, i podaje wyniki swych badań nad pokładami węgla na wybrzeżach prowincyi Valdivii.

Wnioski, postawione przez Domeykę, zostały przez kongres narodowy ozdobione powagą prawa, a autorowi wypowiedział ówczesny prezydent Rzeczypospolitej, Don José Joaquin Pérez, — serdeczne podziękowanie w imieniu kraju. Dla wskazania, jakie skarby kopalne leżały wówczas w Chili odłogiem, i dla zaznaczenia tego faktu, że trzeba było dopiero Domeyki, ażeby ożywić przedsiębiorców do wyzyskiwania nasuwających się samych przez się darów przyrody, wystarczy powiedzieć, że wskazane wówczas przez Domeykę pokłady węgla, przynoszą dzisiaj około 20,000 tonn rocznie i z czasem wyprą z targu całkowicie węgiel zagraniczny.

Rok 1846 poświęcił Domeyko odbudowaniu i urządzeniu laboratorium, gabinetów; zakłada tedy muzeum etnograficzne dla historii Araukanów, Patagończyków i innych szczepów Indyjskich, i — zestawia wyniki swych dotychczasowych spostrzeżeń nad geologiczną budową kraju w rozprawach, umieszczonych w „Annales des Mines“ a przełożonych potem w „Lüdde, Zeitschrift für Erdkunde, Tro-riep, Notizen, i Leonhard und Bronn: „Neues Jahrbuch für Mineralogie r. 1850.“

Prace te przyniosły umiejętności nieocenioną korzyść. Dawniejsze prace Darwina, Poepfiga, Soverby'ego i i., z których nauka

¹⁾ — Zob. bibliogr. nr. 21

geologii czerpała swoje dane o składzie geologicznym chilijskiej krainy, zawierały tylko materiał luźny, dorywczy — wcale nie wyczerpujący. Zestawienie tej całej mnogości odosobnionych spostrzeżeń w całość jednolitą geologicznego ustroju tego ze wszechmiar ciekawego obszaru kuli ziemskiej, jest wyłączną Domeyki zasługą. Znajdujemy w tej pracy nie tylko obraz budowy systemu gór Andyjskich i obszarów do nich przylegających z zachodniej strony, ale co ważniejsza, wykazuje w nich Domeyko poraz pierwszy ważny ze względów geologicznych stosunek, jaki zachodzi między łożami kruszcowymi a macierzystym ustrojem gór, w których są ukryte, ujawnia związki wulkanicznych zjawisk z przyrodą petrograficzną i strukturą geologiczną skorupy i wiele innych dla umiejętnej geologii nader ważnych faktów. Sławny ekonomista francuzki Michel Chevalier, ogłaszając wyjątki z tych dzieł w „Revue des deux Mondes“ (1846) pod tyt.: „Des Mines d'argent et d'or du Nouveau Monde“ wyraża się o Domeyce z nadzwyczajnym uznaniem zasługi, którą przez to dzieło położył dla nauki i przemysłu światowego ten dzielny uczonej polski.

Przez ogłoszenie tych dzieł postawił Domeyko rząd i dostojnych przyjaciół swoich, oceniających poświęcenie cudzoziemca na rzecz publicznego dobra, w kłopotliwym położeniu. Wykształciwszy dostatecznie dwóch słuchaczy swoich w dziedzinie chemii i metalurgii, zaproponował Domeyko bez żadnego zresztą innego powodu prócz względu na dobro zakładu naukowego Sereny, by placę, jaką sam za naukę pobiera, rozdzielić na obydwu tych ukończonych słuchaczy i polecić im wykład przedmiotów, uczonych dotąd przez Domeykę — w zwiększonych rozmiarach.

Propozycja ta wywołała powszechne zdumienie. Takiego poświęcenia się nie umiano pojąć w tym kraju, a gdy mimo namów i odwodzeń, Domeyko uparcie przy swojej propozycji obstawał, — rząd, nie mając żadnego punktu wyjścia, uległ żądaniu Domeyki na razie, ale w przykrym był kłopot, jak się Domeyce za tę ofiarę wywdzięczyc. Myślano z początku o posadzie profesora chemii w Instytucie narodowym; ale ta posada była chwilowo zajęta przez francuza Leona Crosnier. Pozostawiono więc urzeczywistnienie tej myśli na później, a tymczasem, po długich naradach w łonie ministerstwa, postanowiono powołać Domeykę do stolicy, podwyższyć mu pobieraną dotąd placę z 1,200 do 2,000 pesów i dekretem ministra spraw wewnętrznych Manuela Camilo Vial, polecono mu zbadanie wód słodkich i mineralnych kraju.

Po osmioletnim pobycie w Coquimbo, opuścił więc Domeyko zajmowaną w tém mieście posadę. Ludność Sereny, której przychylność pozyskał sobie w takiej mierze, jak żaden z dostojników tego miasta, urządziła mu na wyjeździe świetną owacną, podczas której słowem i łzami starano się uprosić go, by nie opuszczał

jój na długo. Towarzystwo dobroczynności Sereny, którego rozwój jest w przeważnej mierze dziełem Domeyki, pisze w akcie pożegnalnym wówczas mu wręczonym:

„Nuestra bella institucion lamenta en la separacion de Ud. la pérdida de uno de sus mas infatigables e ilustrados fundadores...”

Tak żegnano na drugiej półkuli świata filomatę polskiego, co sercem swém, pracą dla dobra drugich i poświęceniem dla nauki i ludzkości, zdobywał sobie miłość ludzi obcych, ludzi innego pokroju i innych przekonań.

(dok. nast.).

W Y B Ó R
POEZJI LIRYCZNYCH SZYLLERA

W przekładzie polskim.

PRZEZ

A. A. K. *)

X. IBIKOWE ŻÓRAWIE.

Na wyścig wozów, popis pieśni,
W Koryntu międzymorskiej cieśni,
Gdzie się mórz boga dni święciły,
Podązał IbiK bogom miły.
Bo czarem pieśni go od młodu
Darzył Apollo nań łaskawy;
Więc z rodzinnego Regium grodu
Ochoczo szedł po wieniec sławy.

Blizka dlań chwila upragniona:
Już Akrokorynt zdala zoczył,
I w gaj sosnowy Posejdona
Z pobożnym dreszczem pielgrzym wkroczył.
Cisza tam była; tylko stado
Żórawi ujrzał w górze mknące,
Co porzuciwszy północ bladą,
Płynęło w strefy gdzieś gorące.

*) Dokończenie: patrz zes. za m. kwiecień r. b.

„Witajcie mi przyjazne ptaki,
Już z morskiej znane mi podróży!
Wasz lot pomyslność dla mnie wróży,
W udziale mamy los jednaki.
I ja z dalekiej idę strony;
Przytułku jestem dziś spragniony;
Obym też gdzie w gościnnym domu
Przybysz, uchronił się od sromu,”

I dalej, przyspieszając kroku,
Gdy w głębię leśnej wszedł kotliny,
Na wązkim przejściu wśród gęstwiny
Dwaj zbójcy nań wypadli z boku.
Daremnie od nich się obrania!
Opadły ręce wnet zmęczone,
Do strun nawykłe potrącania,
Do miecza, łuku, nie wdrożone.

O pomoc błaga bogów, ludzi;
Lecz próżno tylko głos swój trudzi;
Nikogo on tu nie poruszy;
Niemasz dokoła żywej duszy!
„Więc mam umierać opuszczony,
Zdaleka od rodzinnej ziemi!
Paść pod ciosami zbrodniczymi.
Nieopłakany, niepomszczony!”

I ciężko wnet raniony pada;
W oczach ściemniało; tylko słyszy
Szum skrzydeł żórawiego stada,
I wrzaski lotnych towarzyszy:
„Przed wami, jęknął, ptacy w górze,
Gdy nikt mnie inny nie wysłucha,
Niech skargę na ten mord wynurzę!”
Po słowach tych wyzionął ducha.

Podjęto trupa; w nagiem ciele,
Chociaż ranami poszarpane,
Zaraz korynccy przyjaciele
Poznali rysy ukochane.
„Więc pogrzeb mamy sprawić tobie!
Więc tak nam iszczą się nadzieje,
Że na twój skroni, w tej tu dobie
Sosnowy wieniec zajaśnieje!

I wszyscy goście zasmuceni,
Na cześć Neptuna zgromadzeni;

Wszystką Helladę ból dotyka;
 Każdemu sercu żal Ibika.
 I rzesza zbiegła się wrzaskliwa,
 Wołając groźnie na pryтана,
 By zbrodnia była ukarana,
 Bo cień poety pomsty wzywa.

Lecz pośród ludów pstrój gromady,
 Żądnych świątecznej tu uciechy,
 Jak na zbrodniarzy trafić ślady?
 Przez jakie ich wyróżnić cechy?
 Czy to zwyczajni zbójcy byli,
 Czy jaki wróg zazdrosny może?
 Ty chyba wiesz, słoneczny boże,
 Co wglądasz wszędy każdej chwili!

Kto wie, czy zbrodniarz nie przebywa
 Zuchwale tutaj, między nami,
 I gdy go kara szuka mściwa,
 Cieszy się zbrodni owocami.
 Może gdzie do świątyni śpieszy,
 Urągać bogom chcąc umyślnie,
 Albo wmieszany wśród tej rzeszy,
 Wraz z nią się do teatru ciśnie?

W teatrze tłok już; wszystkie ławy
 Zapelniał szczerlnie tłum ciekawy
 Przybyłych zblizka i zdaleka,
 I widowiska cheiwie czeka.
 A szumiąc jak wezbrane wody,
 Gmach niby rósł od ludu mnóstwa,
 I w coraz szersze wzwyz obwody,
 W niebo się piał ku progom bóstwa.

Któż zliczy ludy, nazwie rody,
 Co się tu zbiegły na te gody!
 Z Tezeja grodu i z Aulidy,
 Z kraju Spartanów i z Focydy,
 I azyatyckich miast wysłańce,
 I tylicznych wysp mieszkańce!
 Wszyscy na scenę patrzą; chóry
 Już rozpoczęły śpiew ponury.

Jak zawsze w grozy majestacie
 Straszne zjawiają się postacie,

Zwolna mierzone stawiać kroki,
 Obchodzą scenę w krąg szeroki.
 To być nie mogą córki ziemi!
 Takie z śmiertelnych się nie rodzą!
 Ich ciała kształty olbrzymiemi
 Ludzkości miarę wszak przechodzą!

A pod czarnemi opończami
 Wstrząsają ręce ich kościste
 Rozżarzonemi pochodniami;
 Twarze ich blade i bezkrwiste;
 Tam zaś gdzie wdzięcznie włos się wije
 W pierścienie czoło nam zdobiące,
 Jaszczurki wiją się i żmije
 Śmiertelnym jadem tryskające.

Mrowiem korowód ich przejmuję,
 A hymn posępny tak czaruje,
 Tak się do głębi serca wraża,
 Iż obezwładnia wnet zbrodniarza;
 Zmysły mu durzy, mózg rozrywa;
 A nawet i niewinna dusza
 Do gruntu się tym śpiewem wzrusza,
 Przy którym lira niemą bywa.

„Szczęśliwy, kto bez winy żyje!
 Szczęśliwy, czyste serce czyje!
 Ciosy go nasze tknąć nie mogą;
 Idzie bez troski życia drogą.
 Lecz biada temu, kto się skrycie
 Na czyjekolwiek targnął życie!
 Taki nie ujdzie naszej mocy;
 Zgnębimy go, my córki Nocy!

„Próżnoby od nas chciał się chronić
 Jesteśmy lotne; będziemy gonić,
 Narzucać petłę mu na nogi,
 Ażeby padał pośród drogi;
 Nie damy skruchą się przebłagać;
 Ścigać go będziemy bez wytchnienia,
 I pod Tartaru aż sklepienia,
 I jeszcze tam okrutnie smagać!”

Tak brzmiały straszne Furyi słowa;
 A w cyrku cisza jak grobowa

Nad ludzkim legła rojowiskiem:
 Rzekłbyś, że bóstwo było blizkim.
 Jak zawsze w grozy majestacie,
 Zwolna mierzone stawiając kroki,
 Obeszły scenę w krąg szeroki,
 I znikły w głębi te postacie.

Pod mocą prawdy czy złudzenia
 Drżą wszystkie piersi ze wzruszenia,
 Ze czci dla siły tej straszliwej,
 W ukryciu czujnej, sprawiedliwej,
 Co niedostępna dla badania,
 Kolejne losów płacze zmienne,
 Czującym sercom się odsłania,
 Lecz nie chce wyjść na światło dzienne.

Nagle z najwyższych siedzeń koła
 Donośnie jakiś głos zawoła:
 „Patrz, Tymoteusz! Toż to owe
 Zórawie lecą Ibikowe!”
 I w rzeczy niebo pociemniało:
 Bo po nad samym cyrkiem, górą,
 Ogromną szarową chmurą
 Zórawi mnóstwo przeleciało.

Ach Ibikowe! Dźwięk imienia
 Drogiego, ból znów w sercach nieci;
 Jak w morzu fala falę zmienia,
 Tak imię to z ust do ust leci.
 Ibik, ten świeżo opłakany,
 Co pod morderców legł ciosami!
 Lecz zkądże wykrzyk niespodziany?
 I jaka styczność z zórawiami?

Coraz to głośniejsz każdy pyta;
 Ale przecucie w oka mgnieniu
 Każdemu szepcze: „w tém zdarzeniu
 Tkwi Eumenid moc ukryta.
 Toż się złoczyńca sam ogłasza;
 Schwytny go na słowie świeżem,
 A wraz tamtego z nim zabierzem;
 Pomszczona będzie boleść nasza!”

O pragnął lot, by w chwilę ową
 Przepadło gdzieś to zgubne słowo!

Lecz próżno: bo pobladle lice
 Wydaje zbrodni tajemnicę.
 I słuca sędzia oskarżenia;
 W trybunał scena się zamienia;
 Przyznali winę swą zbrodniarze,
 I słusznój wnet ulegli karze.

XI. HERA I LEANDER.

Widzicie dwa zamki stare,
 Co naprzeciw siebie, szare,
 W słońca blasku świecą tam,
 Gdzie Hellespont nurty swoje
 Z hukiem toczy przez podwoje
 Dardanelskich skalnych bram?
 Słyszycie jak o ich stopy
 Szumna fala się rozprasza?
 Azyą rwie od Europy,
 Lecz miłości nie przestrasza!

Leandra serce i Hory
 Tknął kochania zapal szczery,
 Tknął je Amor grotem swym;
 Ta Hebie równa wdziękami,
 Ten pomiędzy góralami
 Dzielny łowiec trzyma prym.
 Ale ojców gniewne swary,
 Rozłączyły parę tę,
 I miłości słodkie dary
 Nad przepaścią chwiałę się.

Z wieży na Sestosu górze,
 W której kamienne podnóże
 Hellespontu wody prą,
 Dziewica oczy stęsknione
 Ku Abydos zwraca, w stronę,
 Gdzie jest ten, co kocha ją.
 Żadnym mostem się nie łączą
 Rozzerwane brzegi dwa!
 Żadna łódź tu nie przybija!
 Jedna miłość drogę zna!

I z labiryntów zawitych
 Umie wywieść swoich miłych,

I w tępego rozum tchnie,
 I srogie poskramia dziki,
 I ziejące ogniem byki
 Wprost do pługa wprzegać śmie.
 Nie powstrzyma jój odwagi
 I Styks, w dziewięć kół rozlany;
 Plutona ciemnej dziedzinie
 Wydrze przedmiot ukochany.

Ona ogniem żądry młodej
 Mimo Pontu zdradne wody,
 Swą w Leandrze nieci moc:
 Skoro tylko się ściemniało,
 Dzielny pływak skacze śmiało
 W przepaścistej głębi noc;
 Silnym porze prąd ramieniem,
 W ową wieżę zapatrzony,
 Gdzie pochodnia swym płomieniem
 Cel mu znaczy upragniony.

A gdy dopłynie szczęśliwy,
 Przywita go uścisk tkliwy,
 I rozgrzeje z zimna wód;
 I nagroda go tam słodka
 W miękkich wnet objęciach spotka
 Za przebyty ciężki trud.
 Aż nazajutrz mu jutrzienka
 Przerwie pasmo złotych snów,
 I z rozkoszy łoża prosto
 W chłodne fale wpędzi znów.

Już ubiegło dni trzydzieści,
 Jak Leandra Hera pieści
 W potajemnych schadzkach tych,
 Poślubnej pełnych radości,
 Jakich i bóstwo zazdrości:
 Młodość wiosny była w nich.
 Ten szczęścia iście nie zaznał,
 Kto tej niebiańskiej jagody
 Przebojem zerwać nie zdołał
 Nad piekielną brzegiem wody

Raz wraz mija wieczór, ranek;
 Lecz kochanka i kochanek
 Nie zważają, że już z drzew
 Poopadał liść żółkniały,

I że chłody już powiały
 Od północnych mroźnych stref.
 Niebaczni cieszą się nawet
 Z malejących coraz dni:
 Dłuższa noc, to dłuższe szczęście!
 Ach Jowiszu, dzięki Ci!

Niebieskiemi się Wagami
 Wyrównały noce z dniami,
 I na wieżę wszedłszy swą,
 Znów tęskna patrzy dziewczyna,
 Jak rumaki Apollina
 Ku krańcowi nieba mkną.
 Morze ciche, równe, gładkie,
 Jak zwierciadło błyszczący wdal;
 Ani wietrzyk by najlżejszy
 Kryształowych nie tknie fal.

Tam delfinów zwinnych trzody
 W przezroczystém łonie wody
 Wyprawiają harce swe;
 Tam znów z głębi na wierzch płyną
 Czarniawo-szarą drużyną
 Tethysowe dzieci pstre.
 O miłosnym związku tajnym
 Mogą świadczyć one jedne;
 Lecz odjęła im Hekate
 Mowę; milczeń muszą biedne.

Herę widok wód zachwycą;
 Olśniona morzem dziewica
 Słodkim głosem mówi doń:
 „Bóstwo! czyż jest w tobie zdrada?
 Nie! ten kłamie, kto powiada,
 Że nas zwodzi twoja toń!
 Fałszywém jest ludzkie plemię;
 Okrutną jest ojca dusza;
 Lecz tyś dobre i pocziwe,
 Ciebie ból miłości wzrusza!

„Miałam zdaleka od świata
 Młode me przetęsknić lata,
 Miałam więdnąć w murach tych;
 A ty niesiesz mi laskawie,
 Nie po moście ani w nawie,
 Oblubieńca do stóp mych.

Okropne głębie są twoje,
I straszliwe burze twe,
Lecz ubłaga ciebie miłość,
A heroizm zwalcza cię.

„I ty przecie władzco toni,
Uległeś Erosa broni,
Gdy ów baran złoty niósł
Helle przecudnej urody
Wraz z jej bratem przez te wody,
I do Kolchów kraju wiózł.
Ujęty Helli wdziękami
Zrazu pokochałeś ją,
I porwawszy z tryka grzbietu
Pociągnąłeś na swe dno.

„Dziś obok ciebie, bogini,
W podwodnej mieszka jaskini;
Nieśmiertelność dałeś jej;
Miłości prześladowanej
Współczująca, rozhukaniej
Cichnąć każe fali twój.
Hello piękna, ubóstwiona
I szczęśliwa. uczyn to,
By Leandr i dziś pomyślnie
Przebył zwykłą drogę swą!“

Nocny cień się rozpościera;
Zapala pochodnię Hera,
Aby ta płomieniem swym,
Szląc blaski w puste przestworze,
Gdy kochanek zwalcza morze,
Podniecała siły w nim.
Lecz coś groźnie huczy zdala;
Zaćmił gwiazdy gęsty mrok,
I ciemna wełni się fala;
Słychać burzy grzmotny krok.

Szerokie Pontu przestrzenie
Noc zaległa; wód strumienie
Z ciężkich się polały chmur;
Raz wraz świecą błyskawice;
Rozpętane nawałnice
Ryczą wśród rozpadlin gór.
Olbrzymie nurty w niezmierniej
Wód topieli ciągle wrą;

Chwilami, jak otchłań piekła,
Morskie się odsłania dno.

„Biadaż mi! Cóż się z nim stanie!
Bogi, miejcie zlitowanie!
Woła dziewczę.—*Blagannas!*
Poradzicie wy ach temu,
Gdy on morzu się zradnemu
Sam powierzył w taki czas!
Morskie ptactwo wystraszone
Na łąd pędzi co ma sił,
A i żeglarz doświadczony
Już się gdzieś w zatoce skrył.

„Przecież mężny w tém zawinił,
Co już tylekroć uczynił;
Mocy bóstwa uległ on!
Przed rozstaniem kłął się luby
Na miłości święte śluby;
Od nich zwalnia tylko zgon!
Nieszczęsny walczy w téj chwili
Z nielitosną falą tą,
Której nurty rozszalałe
W swoje go głębiny rwą.

„Ach twa cisza, Poncie zradny,
To tylko pozór układny!
Tyś zwierciadła gładkość miał,
I lśniłeś, bożku fałszywy,
Aby twój spokój kłamliwy
Snadniej go w twą bezdeń pchał!
I gdy w środku twego prądu
Niemożliwy odwrót już,
Więc na zdradzonego miotasz
Całą wściekłość twoich burz!“

Grzmi tymczasem huk ponury,
I morze piętrzy się w góry,
I w skaliste ściany prze;
Nawet i okręt wspaniała
Wnetby strzaskał o te skały
Z dębu zbite żebra swe.
W tém zagasił wiatr pochodnię;
Nie przyświeca nic już ztąd;
Straszliwą jest otchłań wodna,
Straszny téż u brzegu łąd.

Hera w niebo oczy wznosi,
 Afrodyty teraz prosi:
 „Ukój, słodka, burzę tę!“
 I przyrzeka wiatrom srogim
 Rykiem za to złotorogim
 Jutro wnet odwrócić się.
 Boginie błaga podziemne,
 Bogi błaga z górnych stref,
 Ażeby oliwę lejąc,
 Złagodziły morza gniew.

Jeszcze nie traci nadziei,
 Wzywa boskiej Leukotei:
 „Wynijdź z twych zielonych grot!
 Wszak twe skinienie łaskawe
 Nie jedną zbawiło nawę
 Wśród burzliwych morskich słot!
 Podaj mu swój welon święty!
 Niech z tkaniny cudnej tej,
 Co tonących z fal wynosi,
 Znijdzie nań moc łaski twój!“

Zcichła w chwili nawałnica,
 I Jutrzenka jasnolica
 Rannym blaskiem krasi wschód;
 Morze brzegów nie rozpiera,
 Czyste niebo się przeziiera
 W gładkiem znów zwierciadle wód.
 Leniwie pluska tam fala
 U nadbrzeżnej skały stóp;
 Na niej lekko się kołysząc,
 Dotknął łądu—młody trup.

Wnet poznała nieszczęśliwa:
 „To on! Choć martwy, przybywa,
 By przysięgę spełnić swą!“
 Ale oczy jej nie płaczą;
 Z zimną już tylko rozpaczą,
 Nieruchome, przed się tkwią.
 Czy je morska nęci głębia,
 Czy jasności dzienny czar?
 Nagle bladą twarz okraślił
 Szlachetnego ognia żar.

„Czuję was, potęgi święte;
 Wy straszliwe, nieugięte;

Słyszę wasz potężny głos!
 Krótkie było życie moje,
 Lecz wypiałam szczęścia zdroje;
 Wypadł mi przepiękny los.
 O Wenus, wielka królowo!
 Wiernie czciłam bóstwo twe,
 Jak kapłanka w twój świątyni!
 Przyjm w ofierze życie me.“

To rzekłszy, rzuca się z wieży,
 W powłóczystej swój odzieży,
 W fale u Sestosu stóp.
 Zwłoki obojga bóg morza
 Niesie przez mokre przestworza,
 I sam służy im za grób.
 I kontent z takiej zdobyczy,
 Rozpościera żywioł swój,
 Z nieprzebraną lejąc urny
 Wiekuisty wód swych zdroj.

XII. HRABIA HABSBURSKI.

Akwisgran się cieszy dniem upragnionym;
 Stary ratusz w godowej szacie;
 Król Rudolf do uczty koronnej w święconym,
 Cesarским siadł majestacie.
 Więc Renu Palatyn, jak obrzęd mieć chciał,
 Niósł jadła, a Czeski Król wina mu lał,
 I jak w słońcu siedmiu planet grono,
 Tak Elektorów siedmiu orszak lśnił
 Przed władzcą wybranym, i korny mu był,
 Pilnie pełniąc godność wyznaczoną.

Dokoła nad salą tam tłumem radośnym
 Krużganek napełnił się cały,
 A z dźwiękiem puzonów i kotłów donośnym
 Vivaty się huczne mieszały.
 Bo po długim zniszczeniu i rozlewie krwi
 Zakończyły się straszne bezkrólewia dni;
 Zasiadł znowu sędzia na ziemi;
 Nie broi miecz ślepo, gdy czuwa ten stróż;
 Spokojni i słabi przestaną być już
 Potężnych łupami łatwemi.

Wtém Cesarz ujawszy w dłoń puchar złocisty,
 Łaskawie się ozwie do rzeszy:

„Wspaniała to ucztą! Ten dzień uroczysty,
 Iście serce królewskie me cieszy!
 Lecz śpiewaka brakuje, coby serce to,
 Pięknych dźwięków pragnące, wzruszał pieśnią swą,
 I szczytnemi myślami porywał!
 To moje rozkosze od młodych aż lat!
 Bez tego czemu rycerz przez życie był rad,
 Jakżeby się cesarz obywał!

Jak na to się zjawia w świetném ksiąząt kole,
 Śpiewak w długą ubrany sutanę;
 Srebrzyste mu włosy bieleją na czole,
 A oblicze latami zorane.

„Wdzięczne tony drzemią w strunach arfy tej!
 Opiewają miłość i zachwyty jój;
 Wielbią wzniosłe życia ideały;
 Czego serce pragnie, czém dusza chce żyć
 Lecz jakże Was godnie Cesarzu mam czić
 W najwspanialszym dniu Waszój chwały?“

„Śpiewakom rozkazy wydawać daremnie!“ —
 Odpowie monarcha z uśmiechem;
 „To sładzy mocarza więszego odemnie;
 Oni wyższych głosów są echem!
 Jako w powietrzu niewiadomo zkąd
 Zerwie się wichru szalonego prąd,
 Jako zdroje z głębi ziemi bijące,
 Tak i wieszca pieśń z jego wnętrza tchnie,
 I rozbudza potężną uczucia, na dnie
 Serc ludzkich cudownie drzemiące!“

Więc śpiewak ujęty mądremi tak słowy,
 Zaczął, w struny uderzając żywo:
 „Pan jeden szlachetny wyjechał na łowy,
 Upolować sarnę płochliwą.
 Za nim konny też giermek myśliwską wiózł broń,
 A gdy z góry zstępując na niewielką błoń,
 Niósł rycerza jego rumak dzielny,
 Zdaleka głos dzwonka rozległ się drząc:
 To z Panem Jezusem wiejski spieszył ksiądz;
 Przodem kroczył sługa kościelny.

Hrabia głowę odkrywszy, z pokorą całą,
 Zatrzymał się pochyłony,
 By uczić jak duszy pobożnej przystało,
 To przez co świat jest zbawiony.

Ale strumyczek po łące tój mknął,
 A deszczu niedawną ulewą się wzdał;
 Czyniło to pieszym przeszkodę;
 Więc słudze Sakrament potrzymać ksiądz dał,
 I z nóg swych obuwie zdejmować już miał,
 Zeby wbród się przepawić przez wodę.

—A cóż to chcesz czynić księżu plebanie!
 Woła hrabia z uczuciem obawy.—

—Do chorego mi pilno, wielmożny panie,
 Co boskiej łaknie tam strawy.
 Dawniej tędy po kładce wygodnie się szło,
 Ale deszcze wczorajsze gdzieś uniosły ją;
 Niema czasu mostów budować!
 Muszę tak się przedostać, żeby biedak ów,
 Choć go zmoże choroba, na duszy był zdrów,
 A szkoda obuwia marnować.

—To bierz mego konia!—i skoczył z strzemia,
 Księdza ręką podsadził swą pańską,
 Ażeby się nie spóźnił z Chlebem Zbawienia,
 I posługę mógł spełnić kapłańską.
 A dosiadłszy wraz konia co pod giermkim biegł,
 W góry dalej się puścił, gdzie nie jeden legł
 Zwierz, jego rażony grotem;
 Ksiądz tymczasem nazajutrz u zamkowych bram
 Stał, konia za cugle prowadząc, a sam
 Pieszo drogę przebywszy z powrotem.

—O! tego, rzekł hrabia nigdy nie zrobię,
 Bym do wypraw na zwierza lub wroga,
 Używać miał konia, co niósł na sobie
 Stwórcę mojego i Boga!
 Nie chcesz li na własny użytek go brać,
 Więc musi do służby kościelnej się zdać;
 Gdyż go Temu w ofierze składam,
 Od kogo cześć wszystką i dostatki me,
 Ciało, krew i życie i duszę tę,
 Jako lenność doczesną posiadam!“

—„To niechże Bóg wielki, Opiekun wszech rzeczy
 Słyszący moje modły w tój chwili,
 Tu i tam Was wywyższy w świętój swój pieczy,
 Jak wyście go teraz uczcili!
 Możnym hrabią jesteście, i z rycerskich cnót
 W Szwajcaryi słyniecie, i dawny wasz ród;

Sześć córek nadobnych wam kwitnie;
 Niechże one—tu księdza głos wyżej się wzniosł—
 Sześć koron posiadą, aby dom wasz rósł,
 I jaśniał przez wieki zaszczytnie!“

Słucha Cesarz w zadumie, i jakby marzy,
 Jakby gonił przeszłości wspomnienia;
 Lecz gdy bacniej się przyjrzał śpiewaka twarzy,
 Żywcem wskrzesły lat dawnych zdarzenia.
 Poznał starca:—to właśnie ten sam pleban był!
 I lży trysły mu z oczu, lecz spiesznie je skrył
 Purpurą zasłaniając lice;
 Wnet odgadli téż wszyscy, kto był hrabia ów,
 I wielbili w milczeniu rzewniejszém od słów
 Zrządzeń boskich tajemnice.

XIII. ZLECENIE DO HUTY.

Frydolin był pacholek wierny,
 W bojaźni bożej chowany,
 Całkiem władczyni swój oddany,
 Pani hrabinie z Sawerny;
 Łagodnej, dobrotliwej pani;
 Lecz choćby się jój zbytków chciało,
 To onby wszystko duszą całą,
 Przez miłość boską spełniał dla niej.

Bo od pierwszego brzasku dnia
 Aż po nieszporne dzwony,
 W głowie mu tylko pilność ta,
 I był w niej niestrudzony.
 Gdy pani rzekła—„spocznij ty“
 To w oczach mu stawały lży:
 Gdyż bał się jakby przewinienia,
 Pełnić powinność bez zmęczenia.

To téż nad wszystkich w służbie swój
 Ceniła go hrabina;
 Raz po raz piękne usta jój
 Chwały Frydolina.
 Już nie widziała sługi w nim,
 Przestając jak z rodzonym swym,
 I oczy jój nie jedną chwilę
 Na paziu spoczywały mile.

Pilność i łaski, wszystko to
 Roberta strzelca bodło;
 Jad złości zdawna trawił go,
 Duszę w nim burzył podłą.
 Więc w serce Pana, w zdatny czas,
 Gdy z łowów powracali raz,
 (Pan prędki, łatwy do zwiedzenia),
 Jął ciskać ziarna podejrzenia.

„Bodajto, mówił, pański los!
 Ot jak Wielmożność Wasza:
 Zazdrości Wam zgrzytliwy głos
 Złotego snu nie spłasz! —
 Pani hrabina niewiast wzór!
 Małżeńskiej wiary mocny mur
 Jój sromu strzeże; tam się Panie
 Zaden kusiciel nie dostanie!“

— Co ty mi bajesz, błaznie sam!
 Rzekł hrabia, brwi zmarszczywszy:
 — Niewieściej wierze ufać mam,
 Od wodnych fal ruchliwszój!
 Łada pochlebca zmać ją;
 Twardszy grunt wspiera ufność mą:
 Jam pan Sawerny: to wystarcza;
 To żony mój od pokus, tarcza! —

A Robert znowu: „Święcie tak!
 „Pan hrabia drwić też może
 Z tego że jakiś głupi żak
 Na jego czycha łożę;
 Sam sługa, i ku pani śmie
 Obracać sprosne żądze swe.“
 Tu hrabia doń, już z gniewu drżący:
 — Więc taki mówisz jest? żyjący?

„Ach czyżby to, co każdy wie,
 Wam miało być nieznanem!
 Lecz skoro tak pan hrabia chce,
 Niech będzie pochowane!“
 — Ha łotrzel! — głos hrabiego grzmiał:
 Śmierć twoja, jeśliś kłamać śmiał!
 Mów, kto spogląda ku hrabinie! —
 „Mówilem wszak... o tym blondynie!

„Chłopak przystojny, niema co!“
 Chytrze dorzuca jeszcze.

Hrabia to płonie, to znów go
 Zimne przechodzą dreszcze.
 „I któryżby nie dostrzegł mąż,
 Jak w panią oczy wlepia wciąż?
 Przy stole pana nie chce znać,
 Rad u jej krzesła wiecznie stać!

I wiersze pisał: wyznał w nich
 Miłosne swe zapamiętały.“
 — Wyznał? — „A tak, i wzajem ich
 Śmiały żądać chłop zuchwały.
 Pani, przez dobre swe serce,
 Przez litość, skryła głupstwa te;
 I niema nad czém się rozwodzić:
 Cóż to hrabiego ma obchodzić!“

W tém nagle pan do blizkich hut
 Zawrócił zły, ponury;
 Kędy żelaznych jego rud
 Topniały codzień góry.
 Tam straszną w piecach ognia moc
 Podsyczał węgiel dzień i noc,
 A miechy dąć nie przestawały,
 Aż oczy żar olśniewał biały.

Tam sojusz dwóch potężnych sił,
 Ognia i wody, czynny był;
 Koła potoku prądem pchane
 Szumiały wciąż, ciskając pianę;
 I w dzienny tam i w nocny czas
 Walily młoty w takt raz wraz;
 Pod niemi kruszec uporczywy
 Miękki się stawał i ciągliwy.

Pan przybył, skinął; wnet co tchu
 Przybiegli dwaj parobcy:
 — Kto pierwszy, rzekł im, przyjdzie tu,
 I was zapyta chłopcy: —
 Czy spełnion rozkaz dany wam: —
 Rzucicie go w to piekło tam!
 Niechaj się w niem spopieli cały,
 By go me oczy nie widziały! —

I ucieszyło drabów tych
 Zlecenie srogie pana;
 Zdżiczałe były serca ich,

Twarde jak stal kowana;
 Katowską chuć poczuli krwawą;
 Skoczyli więc do miechów żwawo,
 I rozżarzali piec zawzięcie,
 Ofiarze blizkięj na przyjęcie.

Cieszył się Robert zbrodzień też;
 Do pazia szedł skwapliwie:
 „Hrabia cię woła, mówił, spiesz,
 Bo czeka niecierpliwie.“
 Frydolin skoczył: — Słuchajno —
 Rzekł hrabia: pójdziesz rano
 Do hut, i dowiesz się, czy to,
 Com zlecił wykonano. —

— Podług rozkazu sprawię się —
 Paż na to uniżenie;
 A wnet pomyślał: może mnie
 I pani jakie da zlecenie.
 Trzeba się jęj zapytać wprzód.
 Poszedł i mówi. — Mam do hut
 Iść jutro: spytać się poważę,
 Czy pani czego nie rozkaże.

„Dziękuję“ — słodkim głosem swym
 Odrzekła mu hrabina:
 „Na mszy być jutro chciałabym,
 Lecz chora mi dziecina.
 Więc o to jedno proszę cię:
 Wstąp do kościoła; pomódl się
 Za mnie i synka mego szczerze;
 Pewno nam ulżą twe pacierze.“

Frydolin z pierwszym brzaskiem dnia
 Wyruszył w drogę żwawy,
 Kontent, że coś wypełnić ma
 Dla pani swęj laskawęj.
 Nie doszedł jeszcze końca wsi,
 Już dzwon kościelny dźwięcznie brzmi,
 I rozlegając się dokoła,
 Na nabożeństwo wiernych woła.

Gdy Pan i Bóg twój spotka cię,
 Nie uchodź mu z twęj drogi!
 Pamiętał paż przestrogę tę,
 I wszedł w święcone progi.

W kościele pusto: był czas żniw;
 Więc w polu zwijał się kto żyw;
 Każdy tą pracą był zajęty,
 Ze zbrakło sługi do mszy świętej.

Pomyślał paż: usłużę ja!
 I do zakrystyi bieży:
 Nie będzie zdrożną zwłoka ta,
 Gdy Bogu się należy.
 Na księdza zręcznie albę wdział,
 I ornat haftowany,
 Ampułki nalał, poniósł mszał,
 Sam w komżę też przybrany.

Ministranturę umiał tak,
 Jak pacierz doskonale;
 Rozumiał księdza każdy znak,
 Niby sam czytał w mszale;
 Kłękał na lewo i na prawo,
 Dzwonkiem gdzie trzeba trząsał żwawo,
 A kiedy „Sanctus“ się ozwało
 Machnął nim trzykroć z siłą całą.

Gdy potém kornie ksiądz schylony
 Podnosił hostyą świętą,
 I Boga co w niej utajony
 Przemianą niepojętą,
 Ministrant wówczas szybko dzwonił,
 By każdy kłękł i głowę skłonił,
 I w piersi się przed Zbawcą bił,
 Co grzech nasz pierworodny zmył.

Niezmiennie tak przez całą mszę
 Uważny był i pilny,
 Mając pobożną służbę tę
 W pamięci swój niemylnęj,
 I póty nią zajętą głowę,
 Aż „Ite missa est“ końcowe
 Ksiądz rzekł, do wiernych obrócony,
 I obrzęd został dopełniony.

Frydolin po mszy prędko już
 W zakrystyi się uwinął;
 Z kościoła wybiegł,—droga tuż,
 I zaraz wioskę minął.
 Nie ustał jeszcze ranny chłód,

Ochoczo śpieszył więc do hut;
 By sobie zaś czas drogi skrócić,
 Godzinki jął półgłosem nucić.

Aż ujrzał pieców rząd dymiących;
 Do miejsca wkrótce doszedł sam,
 I spytał ludzi tuż stojących:
 „Czy spełnion rozkaz dany wam?“
 Z nich jeden złośnie krzywiąc twarz,
 Na czeluść pieca wskazał: — Masz!
 Właśnieśmy go ukołysali!
 Pan hrabia sługi swe pochwali. —

Frydolin z odpowiedzią tą
 Do zamku zaraz bieży;
 Tam groźny pan ujrawszy go,
 Swym oczom ledwo wierzy.
 „Nędzniku — krzyknie: — gdzieś był? mów!“
 — Ja w hutach byłem — „Zartuj zdrow!
 Lub chybaś dużo spóźnił się?“
 — Ach Panie tak: o całą mszę.

Gdym dostał rozkaz iść do hut,
 Pan hrabia mi nie zgani,
 Zem wierny służbie poszedł wprzód
 Zapytać się méj pani;
 Kazała mi wysłuchać mszy;
 Tom spełnił, i koronki trzy
 Zmówiłem w ciągu téj godziny
 Za szczęście pańskie i hrabiny. —

Zdumiony hrabia nie wie sam
 Co myśleć; pyta znów młodziana:
 „No jakaż ci więc w hutach tam
 Odpowiedź była dana?“
 — Coby znaczyła, trudno rzec:
 Zaśmiał się któryś, wskazał piec:
 Tuśmy go, rzekł, ukołysali!
 Pan hrabia sługi swe pochwali! —

„A Robert?“ woła Pan, i chłód
 Po ciele uczuł całém;
 „Czyś go nie spotkał? w stronę hut,
 Do lasu go posłałem.“
 — Nigdzie Robert, z żadnej strony
 Nie dojrzał, Jasny Panie. —

„Ha,—westchnął hrabia pognębiony:
Widoczne bozkie w tém skaraniu!”

Tu podał słudze rękę swą
Z dobrocią niebyszącą,
I do hrabiny powiódł go,
Zdziwionęj co się stało.
„Anielska czystość w chłopcu tym;
Więc go polecam łaskom twym;
Bardzo ja źle uczynić chciał,
Lecz Bóg po jego stronie stał.”

XIV. PIEŚŃ O DZWONIE.

Vivos voco, mortuos plango, fulgura frango.

Z téj oto modły glinianęj,
W ziemię wmurowanęj szczelnie,
Ma być dzisiaj dzwon odlany;
Więc bracia bierzmy się dzielnie!
Musi pot gorący
Czoła oblać schylone,
By dzieło było chwalone,
A błogosławił Bóg Wszechmogący.

Przed tak poważną, jak ta tu sprawą
To i poważnie przemówić się godzi;
Bo i robota idzie też żwawo,
Kiedy jéj dobre słowo przewodzi.
Nasamprzód pilnie zważyć należy,
Co zdoła sprawić siła choć mała;
Lichemu człeku nikt nie zawierzy,
Który na oślepiej jedynie działa.
Toć głównie ludzką istotę zdobi,
I przez to ona rozumną bywa,
Ze nim co swemi rękoma robi,
To w głębi duszy swéj wprzód wykrywa.

Paliwa chłopcy nie szczędzić!
Żeby tylko suche było;
By mógł gęsty płomień pędzić
W szyję pieca z całą siłą.
Niechaj gąszcz miedzi wre;
Dorzucajcie doń cyny
Aby nam z téj mięszaniny
Spiż nadzwonny wylał się.

Co sztuką naszą będzie tu po chwili,
 I siłą ognia, w tym dole zdziałane,
 Usłyszym potem w górze, bracia mili,
 Z dzwonnicy codziem głośno zaświadczone.
 I potrwa dzieło nasze wieki całe;
 Ma ono licznym pokoleniom służyć,
 Jęczeć za serca zbolale,
 I pieniom bogochwalnym wtóżyć.
 Cokolwiek zmienny ludziom los przynosi,
 Jak tylko dźwięczny ten kruszec poruszy,
 Szeroko zaraz o tém on rozgłosi
 Ku zbudowaniu wszelkiej dobrej duszy.

Te białe bomble, widzicie,
 Znaczą że massa topnieje;
 Sypcie też potaż obficie;
 Prędzej się sztuka odleje.
 A szumowiny zmiatajcie precz!
 Musi być czystą spiżowa ciecz;
 Z czystego kruszczu jedynie
 Czysty i pełny dźwięk płynie,
 A jego radosne brzmienia
 Witają lubą dziecięcą,
 Ledwie ocknioną z uśpiania
 W pierwszej żywota godzinie.
 Ten poranek życia złoty
 Matka pielęgnuje tkliwa,
 Gdy przeszłość jeszcze ukrywa
 Swe radości i zgryzoty.

Lecz lecą lata pędem strzały;
 Rzuca dziewczynę młodzian śmiały,
 By skoczyć w świata prąd burzliwy;
 Przebiega kraje wrażeń chciwy,
 I gdy do własnej wróci ziemi,
 Obcym się czuje między swemi.
 W tém wzrok i duszę mu zachwyca
 Postać jak z nieba objawiona:
 Rumieńcem wdzięcznym zapłoniona
 W pełni młodości kwiat-dziewica.
 I niewymowna ach tęsknota
 Młodzieńca sercem odtąd miota;
 Od rówieńników on już stroni,
 Samotny wdycha i łyzy roni;
 Już za nią tylko się ugania,
 Szczęśliwy tylko z jej spotkania;

A najpiękniejsze zbiera kwiaty,
 Niby miłości swojej szaty.
 Błoga tęsknoto, słodkie nadzieje!
 Pierwszej miłości dobo szczęśliwa!
 Gdy do kochanka niebo się śmieje
 Serce w błogości mu się rozplywa.
 Czemuż to wiecznie kwitnąć nie może
 Rajska miłości pora, o Boże!

Powierzchnia blizka zczernienia;
 Zanurzymy sztabkę wraz:
 Jeśli da wygląd oszklenia,
 To znaczy, że już lania czas.
 No żywo, chłopcy kochanel
 Stop wypróbujcie dokładnie:
 Czy twarde z miękkim zmieszane
 Po myśli naszej wypadnie.
 Kiedy się z dobrocią siła,
 Z tkliwością tęgość złączyła,
 Piękny dźwięk stop taki ma;
 Bacz więc, wiążąc się na życie,
 Czy jest zgodnem serc dwóch bicie:
 Krótko szał, żal długo trwa!
 W dziewiczym wianku oblubienica
 Urokiem swoim jakże zachwyca!
 I właśnie dzwony kościelne
 Gody zwiastują weselne.
 Ach najpiękniejsze w życiu święto
 Kończy niestety życia wiosnę;
 Gdy już przepaskę i welon zdjęto,
 Uludy nikną miłosne!
 Lecz miłość trwa, choć szał przechodzi;
 Kwiat wędnie, owoc się rodzi.
 Mąż tymczasem z życiem twardem
 Stawać musi do boju,
 I odpierać i napierać,
 I nie zaznać spokoju;
 Musi walczyć i tworzyć,
 Musi szczepić i mnożyć,
 I odważać się, śmiało,
 By mu szczęście sprzyjało.
 Aż się dostatek spory zbierze;
 Aż się napełnią nim spichlerze,
 I dom się coraz rozprzestrzenia.
 A w domu tym, na straży mienia,
 Obyczajna gospodyni

Matka dzieci, ład wszędzie czyni,
 O wszystkim pamięta;
 Rządząc roztropnie w domowym kole,
 Uczy dziewczęta,
 Chłopców poskramia swawole,
 Wszystkich do pracy wdraża,
 Sama na wartkie wrzecziono
 Przędę nawija skręconą,
 Zasobu ciągle przysparza;
 A przybytkowi każdemu rada,
 W szafach przestronnych
 Wełnę bieluchną, len śnieżny składa;
 Wszelkie dobro domowe upiększy, umili,
 A nie spocznie ani chwili.

Gospodarz rześki, wesoły
 Z ganku wysokiego patrzy
 Na brogi i na stodoły,
 Licząc że coraz bogatszy.
 Każdy spichlerz ma napchany,
 A bujnym kłosem falują łany.
 Więc dumnie w głowie swój roi:
 „O jak ta ziemia niewzruszona,
 Fortuna moja dziś utrwalona.“
 Żadnych już przygód się nie boi.
 Ach! nikt nie zwiąże potęgi losu,
 Nic nie odeprze nieszczęścia ciosu!

No, mamy już spław gotowy,
 I piękny rozłam kruszcowy.
 Lecz zanim war ten wyleci,
 Pomódlcie się chwilkę dzieci.
 Wypchnijcie teraz czop!
 Strzeż nas Boże Wszchemogący!
 Oto wytryska dymiący
 Rozżarzonej massy sноп!

O dobroczynną jest ognia potęga,
 Kiedy ją człowiek w swoje jarzmo wprzęga!
 Cokolwiek tworzy, po cokolwiek sięga,
 We wszystkim służy mu ognia potęga.
 Lecz jak jest straszną ta sama potęga,
 Jeśli się z jarzma ludzkiego wyprzęga!
 Jeśli przyrody swawolne to dziecię
 Własnym się pędem w przestrzeni rozmieciel!
 Biada, gdy płomień wyzwolony

Buja samopas na swobodzie;
Gdy w zaludnionym gęsto grodzie
Bieg swój rozpuści szalony!
Tak od ślepych sił natury
Wciąż grozi ludzkim dziełom zagłada:
Raz oto z chmury
Ciepły deszczyk spada,
I pracy rolnika płuży;
To znowu z chmury, piastunki burzy,
Piorun uderzy.
Słyszycie te jęki z wieży?
One głoszą nawałnicę;
Niebo zaszło krwi barwą czerwoną;
Ach to nie dzieńne upały zioną!
Tłum i zgiełk napęlnia ulicę;
Dym gęsty po niej zalega;
Aż oto z trzaskiem słup ognia wybiega!
Wzdłuż domów szeregu bieży;
Z szybkością wiatru się szerzy;
Powietrze jak pieca żarem ziejące;
Słychać dokoła belek trzaskanie,
Padanie słupów, okna pękające,
Krzyk dzieci, matek wołanie,
I zwierząt ryk i skomlanie
Pod budynków zwaliskami!
Z mienia swojego resztkami
Biegną ludzie w różne strony;
Noc jakby w dzień się zamienia
Od straszego oświetlenia.
A z tamtej strony ustawiony
Ratujących łańcuch długi:
Gdzie wiadra z rąk do rąk biegną koleją,
I z sikawek wody strugi
Łukami w ogień się leją.
Lecz oto hucząc nadciąga burza!
Ona płomieni pożąda;
W składy drzewa, w ciasne podwórza
Z trzaskiem zniszczenia zagłada,
I jakby w swem rozbestwieniu
Unieść chciała mury miasta,
Zrywa się, i w oka mgnieniu
Pod niebo aż gdzieś wyrasta,
Olbrzym szalony!
A człowiek zgnębniony
Pzed wyższą siłą biernie się chyli,
Z podziwem patrząc, jak w krótkiej chwili

Ogrom dzieł jego został zniszczony.
 Oto i pogorzelisko,
 Wściekłych zawieruch łożysko!
 Przez próżne okien otwory
 Smutne pustkowie przeziera;
 Nad zgliszczami się z wysoka
 Ciąg obłoków rozpościera.

A pogorzelec, westchnąwszy sobie
 Na swojego mienia grobie,
 Za kij wędrowny chwyta wesolo:
 Bo chociaż klęską dotknięty srogą,
 Ma wszakże jedną pociechę błogą:
 Oto przeliczył najdroższych swych koło:
 Nie brak nikogo.

Już w ziemię spiż wylany;
 Wypełniła się dobrze modła:
 Lecz sztuka czy się powiodła?
 Czy nasz trud nie zuarnowany?
 A nuż w odlewie co chybiło?
 Albo też modła pękła gdzie?
 Gdy najpomysłniej się tuszyło,
 Może już wtedy spadło złe.

W tę oto świętą ziemię czarną
 Kładziemy rąk naszych dzieło,
 Jak siewca kładzie w nią ziarno,
 Ażeby się w niej przyjęło,
 I płon dało najbujniejszy.
 Ach, siew nierównie cenniejszy
 Składamy w ziemię zasmuceni,
 Nadzieją tylko pocieszeni,
 Ze z grobów wskrześnie świat piękniejszy!

Dzwony katedry posępnie dźwięczą,
 I piersi ludzkie żałośnie jęczą:
 To są ostatnie odprowadziny
 Wędrowca do wiecznej krainy.

I któż to taki? ach małżonka droga,
 Matka swych dzieci troskliwa,
 Którą ponury władzca ciemności
 Z mężowskich objęć wrywa,
 Z pośród dziatwy drobnej grona,
 Którą wydała była na świat młodo,

Która szczęśliwa u jęj łona,
 Kwitnęła zdrowiem i urodą.
 Najśłodszy węzeł rodzinny
 Potargała śmierci siłą,
 Zamieszkuje już kraj inny
 Ta co matką domu była.
 Już w nim nie czuwa baczne jęj oko,
 Już nie pracuje ręka jęj skrętna,
 A miejsce przez nią opuszczone
 Nuż inna zajmie i obojętna!

Musi się odlew ostudzić;
 Nie mamy się już co trudzić.
 Wolno wam teraz jak w lesie ptaszki,
 Spoczynku zażyć, albo igraszki.
 W wieczornęj porze
 Chłopiec wolny od roboty
 Baraszkować sobie może!
 Majster zawdy ma kłopoty.

Raźnie o późnym zmroku,
 Leśną drożyną przyśpiesza kroku
 Stęskniony za swą chatą wędrowiec.
 Z pola do wsi trzody owiec
 Powoli ciągną beczące,
 I o łbach szerokich woły,
 Z rykiem do obór wracające.
 Ciężko, chwiejnie do stodoły
 Wóz się wtacza,
 Snopami naładowany;
 Na nich barwny wieniec leży,
 A zgraja wiejskiej młodzieży,
 Zeńców, żniwiarek puszcza się w tany.

Ze zgrzytem miejska zamyka się brama;
 Ciszęj na rynku i na ulicy;
 Przy towarzyskim płomieniu
 Zbierają się domownicy.
 Czarna osłona
 Ziemię pokrywa;
 Ale spokojnych ludzi nie przeraża
 Ciemna noc,
 Co nieraz strasznie budzi zbrodniarza:
 Bo ich ochrania prawa moc.

Święty porządku, zrodzony w niebiol
 Ty dobroczyńco! Ty w szyki zgodno

Łączysz tak snadnie co jednorodne,
 I grody nasze kwitną przez ciebie!
 Tyś koczowników odludnych
 Do społeczeństwa przywodził;
 W siedziby ludzkie wejrzawszy,
 Tyś obyczaje łagodził;
 A co najzacniej ludzi zgarnęło —
 Miłość ojczyzny, twoje to dzieło!

Tu tysiące rąk ochoczych
 Wspólna praca połączyła,
 I w tych wyścigach roboczych
 Wszelka się wyteża siła.
 Pilny majster, pilna czeladź;
 Każdy kontent z swojej doli,
 Pod wolności świętą tarczą,
 Gardzić sobą nie dozwoli.
 Wszak pracę się zaleca lud;
 Dostatek celem pracy téj;
 Ma zaszczyt król z godności swéj.
 Nas własnych rąk zaszczyca trud.

Oby nam w błogim pokoju i zgodzie,
 Dni upływały w rodzinnym grodzie!
 Oby nam nigdy dzwony nie były
 Strasznej godziny,
 W którejby najazd wojennej siły
 Pośród téj cichéj huczał doliny!
 Kiedyby niebo, co w takich ślicznych
 Barwach wieczorem się rumieni,
 Miało odbijać straszny blask płomieni
 Niszczonych wiosek i miast okolicznych!

Niepotrzebna nam już modła:
 Drugi dzwon się w nią nie wtłoczy;
 Gdy robota się powiodła,
 Cieszmy nią serce i oczy!
 Więc walcie młotami dzieci!
 By się dzwon okazał pięknie:
 Niech forma gliniana pęknie,
 I w kawały się rozleci!
 Majster formę kruszyć może
 Według potrzeby i woli;
 Lecz biada, gdy się broń Boże,
 Sam roztop z formy wyzwoli;
 Gdy szalejący z hukami gromu

Rozsadzi ściany swojego domu,
 I jakby z piekła otwartych czeluści
 Strugi ogniste rozpuści!
 Ach tam, gdzie ślepe zapanują siły,
 Zadne się kształty nie wytworzą;
 Gdzie tłumy same wolność zdobyły,
 Pospolitego dobra nie przysporzą.

Jakaż dla grodów klęska straszliwa,
 Gdy się w nich palny żywioł nagromadzi;
 Gdy lud okowy władzy pozrywa,
 I po swojemu dziko sobie radzi!
 Gdy rokosz targa dzwonu sznury,
 Aby wydawał ryk ponury,
 I miasto pokojowi służyć
 Był hasłem gwałtów i nadużyć!

„Wolność i Równość! — w koło się rozlega;
 Za oręż chwyta mieszczaństwo spokojne;
 Tłum na ulice i place wybiega;
 Morderców bandy snują się już zbrojne.
 Niewiasty stają się tam hyenami,
 Z męczarni ludzkich bezwstydnie szydzące,
 Z piersi swych ofiar serca rwą drgające,
 I krwiożerczemi szarpią je zębami!
 Nic już świętego! Bo się społeczeństwo
 Wyzuło z karbów sumienia i cnoty;
 Bo łotr przed zacnym zyskuje pierwszeństwo,
 I górą wszelkie brzydoty.

Strasznym jest lew podrażniony;
 Strasznym tygrys kłami swemi,
 Ale nad wszystkie bestye téj ziemi
 Straszniejszy człowiek szalony!
 Próżno tkniętemu wieczném oślepieniem
 Pochodnię boskiej podawać światłości;
 Niczém dlań blask jój; ale jój płomieniem
 Popali miasta i włości.

Dał nam Bóg radość, i nie na krótko!
 Patrzcie niby gwiazda złota,
 Ze swój powłoki równo, gładziutko
 Nasza odsłania się robotą!
 Od wieńca do obwodu cały
 Lśni się w słońcu dzwon wspañiały,
 A herbów odlew tak czysty
 Zaświadcza biegłość artysty.

Niech wszystka czeladź stanie tu
 Dokoła; naszych trudów dziecie,
 Ten dzwon, potrzeba ochrzcić przecie:
 Imię Concordia damy mu:
 Niech zgodę ludziom wydzwania,
 Do miłości i jedności skłania!
 Na to też został przeznaczony,
 Na to przez mistrza uczyniony,
 By nad poziomym ludzkim żywotem,
 Tam, pod błękitnym nieba namiotem
 Zawisł, gdzie gromów siedlisko,
 I skąd do gwiazd krainy blisko;
 Aby przemawiał stamtąd codziennie,
 Jako te światel niebieskich roje,
 Co chwaląc Pana przez drogi swoje,
 Obrót coroczny pełnią niezmiennie.
 O sprawach zacnych i wiecznych jedynie
 Niechaj ustami głosi kruszcowemi;
 Niech go potrąca o każdej godzinie
 Czas szybkołotny skrzydłami swojemi;
 Niechaj zrzędzenia losu wyraża,
 Sam bez litości, żalu, nadziei,
 Niechaj wzlotami swemi przywtarza
 Zmiennęj ludzkiego życia kolei.
 Choć najdonośniej dzwon zabrzmie, to przecie
 Nie długą chwilę w uszach się odbija:
 A stąd nauka, że wszystko przemija,
 I nic trwałego niema na tym świecie

Teraz chwytajcie za sznury!
 Dzwon z jamy wydobyć trzeba,
 I wyciągnąć go do góry,
 W sferę dźwięków, w błękit nieba.
 Raźnie! wyężajcie siły!
 Już się ruszył! Już się wznosił!
 Niechże będzie miastu miły!
 Niech mu zawdy pokój głosił!

XV. B I T W A.

Ocieżała i ponura,
 Niby brzemienna piorunem chmura,
 Ciągnie moc zbrojna przez pole zielone,
 Jak wzrok sięga rozłożyste;

Ciągnie na dzikie gody ogniste.
 Wszystkie spojrzenia na dół zwrócone,
 I wszystkie twarze bladością okryte;
 A męzkie serca w żebra kołaczą.
 Aż major na koniu front cwałem przebiega;
 Stój! — komenda się rozlega,
 I stają szyki jak wryte;
 Front ani drgnie.

Jakże tam pysznie w porannej mgle
 Coś świeci wśród górskich rozłogów!
 Widzicie wy chorągwie wrogów?
 Widzimy je!
 Nad żoną dziećmi boską opieką!
 A teraz różne słycać śpiewanie,
 I bębnów bicie i piszczałek pianie,
 Na wskroś przejmujące człowieka.
 To mi kapela, piękna i dzika,
 Co aż do szpiku kości przenika!

Według boskiego zrządzenia,
 Na tamtym świecie, bracia, do widzenia!

A ha, błysnęło z zadymką białą;
 Po krótkiej chwili głucho zagrzmiało;
 Mrugnęły oczy; z bukiem tu trzasło!
 Po obu stronach rozbrzmiewa hasło.
 Niechże rozbrzmiewa! No! w imie, boże!
 Lżej już pierś teraz odetchnąć może.

Śmierć rozpełtana! walka wre;
 Z paszcz żelaznych raz wraz ogień zionie;
 Wrogie zastępy już zwarły się;
 „Cel, pal!” mierzy pluton po plutonie.
 Pierwszy szereg tu strzela klęczący;
 Iluż wstanie ich żywych i zdrowych!
 Rzędy kartacz rozerwał świszczący!
 Skaczą tylni przez ciała przodowych.
 W prawo i w lewo bój zieje zagładą;
 Pod kosą śmierci szeregi się kładą.

Słońce zagasło. Bitwa wciąż zażarta;
 Już nad wojskami noc rozpostarta.
 Według boskiego zrządzenia,
 Na tamtym świecie, bracia, do widzenia!

Krew strugami z tysięcznych ran płynie;
Tu trup, tu żywy. Potyka się noga
O leżącego. „Franciszek? Dla Boga!“
— Żegnaj mój drogi! Pozdrów tam Marynię —
A tu w około śmierć hula i hula.
„Dobrze, pozdrowię.“ — O, czy uważacie,
Jak tam działowa podskakuje kula! —
„Pozdrowię twoją Marynię, mój bracie.
Śpijże spokojnie! zostałem sam!
Gdzie najgoręcej rzucę się tam!“

Jeszcze się walka toczy szeroko,
Pod coraz gęstszą nocą powłoką.
Według boskiego zrządzenia,
Na tamtym świecie, bracia, do widzenia!“

Słyszycie tętę pędzących koni?
O, adjutanci! O, i dragoni!
O już tam wpadli! Wściekła nawała!
Umilkły wrogów przeklęte działa,
I wyczerpało się już ich męztwo!
Zaczęli zmykać. Bracia, zwycięstwo!

Więc wreszcie ciężka bitwa wygrana!
Weselęj słońce zaświeci zrana.
Bębny, piszczałki teraz nam palną
Na chlubę naszą pieśń tryumfalną.
Wy co jęć słyszeć już nie możecie,
Do zobaczenia, bracia, w lepszym świecie!

WOJNA RZECZYPOSPOLITÉJ POLSKIEJ Z SZWECYĄ ZA PANOWANIA ZYGMUNTA III-go,

od roku 1621-go do 1629-go *).

przez

Konstantego Górskiego.

Pierwszym czynem po wyzdrowieniu króla szwedzkiego, a zarazem i ostatnim kampanii 1627 roku było: wyparcie Polaków z Ornety. Orneta był to zamek niewielki, i zdało się niewart zachodu; ale Gustaw był niezmiernie czuły na miejscowości, leżące blisko jego związków strategicznych. Wziąwszy tedy część wojska i armaty,

*) Ciąg dalszy — patrz zeszyt za m. kwiecień r. b. — W ustępie artykułu niniejszego „Wojna Rptéj ze Szwedami za Zygmunta III-go,“ drukowanym w Zeszycie kwietniowym wkradły się niepostrzeżenie pewne omyłki, które niniejszem w myśl Sz. Autora prostujemy: Str. 72. w. 36: wyraz Moczarski kończy peryod, poczem rozpoczyna się nowe zdanie: Z drugiej strony od lasu, za gościńcem pomorskim itd.

Str. 74. w. 17 po wyrazie: uciekli — dodać: ale i tą razą przedsięwzięcie się nie udało. Wrangiel dowiedziawszy się...

Str. 76. w. 10, wyrzucić wyraz: zwłaszcza.

„ w. 18, po wyrazach: korpusowi Potockiego — dodać: skąd się okazuje, jak czuły był (G. A.) na swoje związki i jaki efekt wywołałoby energiczniejsze w tym kierunku działanie.

Str. 79. w. 10, zamiast: w pół mili od Gdańska — należy czytać: w pół mili od niego (Tczewa).

Str. 80. w. 15, zamiast: wprowadzających na błonia Motławy itd. — należy czytać: błonia Motławy przerzynających i rozwijać stopniowo czoło, stając w szyku bojowym.

w rodzaju tych, które mu pułkownik służby austriackiej, Wurmbrandt, proponował, skórczanami zwanych i podstąpił pod Ornetę. Skutek jednak tych działań okazał się za słaby w obec murów zamkowych. A że wieść niosła, że Polacy spieszą na odsiecz, podszedli Szwedzi pod północn-owschodnią wieżę zamku minę, o czém dowiedziawszy się załoga, z 1000 Niemców i 300 kozaków złożona, dowodzona przez Lipnickiego i Szlachtowskiego, poddała się 19 października, wyżebrawszy sobie wolne wyjście ¹⁾).

W tymże czasie pułkownik Nooth zdobył Gutstadt, w którym monarcha szwedzki 200 muszkieterów z trochą jazdy jako załogę postawił.

Konieczpolski, dowiedziawszy się o niebezpieczeństwie Ornety, poprowadził żołnierzy swych do Pelplina, potem do Gniewu, gdzie przenocowawszy po przebyciu Wisły, dążył dalej na Starze i Kryszbork (Christburg); dokąd doszedłszy odebrał wiadomość o poddaniu Ornety. Zawrócił więc do Wisły i stanął pod Suszem (Rosenberg), miastem ks. pruskiego, z kąd się wojsko nazajutrz na kwatery rozeszło ²⁾).

To poruszenie Polaków nabawiło Gustawa trwogi, dla tego posłał rozkaz Wranglowi, aby się jak najprędzej z nim połączył; z czego wnosić trzeba, że gdyby Konieczpolski był się pospieszył, to Gustaw byłby niezawodnie od oblężenia odstąpił ³⁾).

Polacy się atoli spóźnili, a Orneta się poddała. Obecność Konieczpolskiego na prawej stronie Wisły niepokoiła jednak Gustawa, i chciał się go wszelkimi sposobami ztamtąd pozbyć, czego hetman nasz nie rozumiał, bo uparcie dążył do utrzymania swego „*Sedes belli*“ na lewej stronie rzeki.

Sposób zapatrywania się Gustawa Adolfa na położenie swoje w Prusach, najlepiej się maluje w liście Salwiusza do kanclerza Oksenstierny z 10/20 października, w którym czytamy:

„Wojska Feldmarszałka (Wrangla) są tu (w Ornecie) w obecnej chwili zbyteczne; ponieważ Orneta już się poddała. JKr. M. życzy sobie, ażeby WM. go odwołał, z nadmienieniem, że feldmar-

Str. 80. w. 18. zamiast: żeby każda chorągiew i t. d. do wyrazu przeprawę — należy czytać: nim każda chorągiew, zwinąwszy się nie wciągnęła w ciąsinę i nie zdążyła wykonać przeprawy.

Str. 80. w. 27. zamiast warunkami położenia itd. — należy czytać: na posługiwanie się terenem i obracanie jego własności na swoją korzyść, równie jak na użycie odpowiedniego rodzaju broni.

Str. 81. w. 55. zamiast: ostrzeliwała — czytaj: odstrzelała.

Autor.

¹⁾ Pamiętnik 37, Lettres 44, Lengnich 210. ²⁾ Pamiętnik 37. ³⁾ „Ce-
pendant si l'ennemi tarde encore quelques jours à arriver, le roi se flatte de venir à bout de son entrepris.“ List Salwiusza do Oksenstierny.

szałek powróciwszy do Malborga, powinien oczekiwać tam na dalsze rozkazy. Zadaniem jego obecnie powinna być: osłona Fryszneryngi i wielkiej Żuławy. Wojsko komenderowane z Głowy wróci na te pozycje, dla dokończenia szańców redut. Jak tylko oddział do Gutstadu posłany powróci, król natychmiast wyruszy do Wusen, po dróżce do Malborga, ażeby wiadomość o zamiarze jego powrotu, utwierdziła Polaków w przekonaniu, że zmierza na Pomorze, i odciągnęła ich za Wisłę. Jeżeli nieprzyjaciel istotnie na Pomorze się przeniesie, król posle 10 kompanij jazdy, pod dowództwem Turna, które pustoszyć będą okolice Heilsberga i Allensteinu (Olsztynka). Jazda Wrangla, Kalenbacha i Fritzego będzie mogła wypocząć i odświeżyć się koło Ornety i Gutstadu. Wasza Ks. Mość rozmieści resztę kawalerji szwedzkiej w Malborgu i Elblągu, w ten sam sposób, jak z innemi garnizonami postąpiono. Rozporządzenie to przeznacza się na wypadek, gdy nieprzyjaciel położy się na tamtej stronie Wisły. Jeżeli zaś obierze stanowisko na tej (prawej) stronie, JKM. uda się z Wusen do Elbląga i przyłączy do siebie hr. Turna. A ponieważ zamki z tej strony są dostatecznie opatrzone, przejdzie król Wisłę z całą swą armią, i poprowadzi ją na gdańską Żulawę, ażeby odciągnąć nieprzyjaciela w tę stronę... Z jakiejby strony Wisły nie stanął nieprzyjaciel, król obierze stanowisko po stronie przeciwniej.“ Ztąd jasno widać, jak dalece czułym był król szwedzki względem linii obronnej, która go przez Elbląg i Pilawę łączyła ze Szwecją. Już samo bowiem znajdowanie się Polaków po prawej stronie Wisły nabawiało go trwogą. Trudno jednak zrozumieć ostatnią myśl listu o wyborze stanowiska po stronie rzeki, przeciwniej tej, którą zajmować będą Polacy. Czy miałyoby to znaczyć, że chciał unikać spotkania z nimi i jedynie przeciąganiem wojny zmęczyć i zmusić ich do zrzeczenia się zdobytego kawałka ziemi? Usadowieniem się w Malborgu i Tczewie przeciał Gustaw jedyną żylę wodną, która służyła dla zewnętrznego handlu ziem koronnych. Pociągnęło to za sobą brak pieniędzy, na co dawały się słyszeć skargi na sejmach. Nie było to jednak zamachem tak stanowczym na stosunki ekonomiczne, co już ztąd wnosić można, że domagano się od Litwy, aby przerwała zupełnie handel wywozowy po Niemnie. Kto wie, czy trafilyby do pożądanego końca tą drogą król szwedzki. Jeszcze i dla tego, że wojnę forsownie prowadził, gdy Polska używała nic nieznaczące siły. Jakoż istotnie w czwartym roku wojny, gdy Szwedzi widocznie słabnąć zaczęli, Polacy wystawili imponująco wojsko i jakby dopiero rozpoczęli należytą wojnę.

W obec takiego położenia rzeczy niepojętemi są w Rzeczypospolitej głosy, których wymownym tłumaczem jest pierwszy urzędnik Rządowy, prymas ks. Wężyk, radzący królowi „postąpić tak, jak król francuzki, Ludwik XI, wielkiej mądrości i sławy pan, postąpił, który Edwarda króla angielskiego, do Francji z wojskiem weszłego, mając już na głowie Karola burgundzkiego, prosił o pokój, który

potém zawarł, takimi kondycjami, że nietylko Sumptus belli Edwardowi nagroził, ale doroczną, póki żył pensją dawał; żadnej jednak ztąd nagany, a wielką sławę servata patria u potomstwa i historii odniósł¹⁾).

Ks. bisk. Węzyk robił dobry użytek z historii na korzyść swój ojczyzny, zapomniał jednak o wielkiej różnicy położenia, mianowicie zapomniał o tém, że Polska w danej chwili prócz króla szwedzkiego nikogo innego na karku nie miała.

Co do kosztów, łożonych przez Gustawa Adolfa na tę wojnę i na nieprzeliczone zaciągi, któremi jak z rogu obfitości sypał, to oglądają się słusznie historycy za jakimś ukrytém źródłem, ponieważ Szwecya nie mogła mu ich dostarczyć. Korzystał bez wątpienia z ceł, jakie w portach Rygi, Memla i Pilawy na swój rachunek wybierał; ale żywił się prawdopodobnie i subsydjami pieniężnymi innych państw, a przynajmniej Holandyi, jeżeli zamilczymy o Francyi, téj niemilkującej w tym wieku współzawodnicze dynastyi habsburskiej i jej związków politycznych.

Wzięcie Ornety zakończyło wojnę 1627 roku. — Dnia 26 października przybył monarcha szwedzki do Pilawy, a ztamtąd odpłynął do Szwecyi²⁾.

Zdobycze szwedzkie roku 1627-o ograniczały się na Ornecie i Gutzstadzie. Utracili za to Szwedzi Puck i Gniew; nie odniósł więc Gustaw Adolf żadnej stanowczej korzyści z całorocznych zapasów.

Po odjeździe króla, wojsko szwedzkie, idąc za przykładem naszym, rozeszło się po kwaterach.

Na Inflanckim teatrze wojny, stanęło w styczniu zawieszenie broni na pół roku. Według téj ugody ustępował Dela Gardie litwinom Birże, z czego Gustaw Adolf był bardzo nie kontent. Szwedzi znacznie się wzmogli na siłach. Dela Barre przyprowadził 1500 rajtarów, Horn trochę fińskiej piechoty, a ze Szwecyi przybyły posiłki z Niemców i Szkotów złożone. To też udało im się odnieść nad Litwą parę niewielkich zwycięstw. Przy końcu tego roku zapędzili się Szwedzi nawet aż do Dyneburga, który w moc swoją dostali i załogę wysiekli. Toż samo uczynili Litwini w Dalen, poczem aż pod Rygą się oparli.

Już z tego widać, że działania stron wojujących w tym kraju, ani planu, ani porządku nie miały, i żadnego wpływu nie wywieraly na operacyo na głównym teatrze wojny.

Zima z roku 1627 na 1628, z wyjątkiem kilku nic nieznaczących utarczek na lewej stronie Wisły, przeszła spokojnie. Na początku wiosny, przed wyjściem w pole, zażył hetman wiele kłopotu z żołnierzami. Należał się bowiem wojsku żołd za 5 ćwierci t. j. od 1-go

1) Bibl. Oss. Ręk. N. 209 St. 400. 2) Lengnich 210.

grudnia 1626 do 1-go marca 1628 roku w ilości 1,270,000 złotych ¹⁾. Tymczasem podskarbi Hermolaus Ligeza sumy tej nie był w stanie zaspokoić z powodu tej okoliczności, że sejmujące stany mylnie obliczyły ciężary poborowe, a oprócz tego z powodu deficytu w sumach podatkowych, a nawet i nadużyć poborców, tak że nawet czterech ćwierci nie mógł zebrać ²⁾.

Sejm 1627-o w Warszawie na 12 października zwołany, zatrudniony nad miarę perorami o ekzorbitancyach i incompatibiliach, przywiódł pobory prawie do niczego ³⁾.

Była to, jak powiada autor dyaryusza ⁴⁾, nie konkluzya, a konfuzya tego sejmu.

Tymczasem żołnierze, którzy się w czasie wojny poobdzierali, ryszunek poniszczyli, konie potracili, pozbawieni byli możności dalszego służenia Rzpltej. W kołach, które hetman w Grudziądzu zbierał dla uproszenia ich o cierpliwość, wielka też była wrzawa; odmawiano wręcz dalszej służby, grożono wypowiedzeniem posłuszeństwa i związkim, dla dochodzenia znajomemi drogami należnej sobie zapłaty. Jednak prośbami hetmana i staraniem komisarza królewskiego, Maksymiliana Fredry, udało się ich przebłagać. Zgodzili się kontentować zapłatą jednej ćwierci od 1-o marca do 1-o czerwca 1628 roku, byle uspokoić czeladź, która ich odbiegać zaczęła, wyrobieniem kredytu u kupców ⁵⁾, i wydawaniem gratis prowiantu, którego dostawę dla wojska włożono na komisarza starostę Brańskiego, Leśniowolskiego ⁶⁾. Z powodu atoli tej mitręgi, chorażwie długo zebrać się nie mogły, bo musiały się oporządzać i do wojny przysposabiać. Z listu hetmana z dn. 28 maja widać, że gdy on z Bydgoszczy do Grudziądza już ruszył, wojsko jeszcze całkowicie skupione nie było. Ale na szczęście i król szwedzki tego roku nieco się z przyjazdem opóźnił ⁷⁾.

¹⁾ Lengnich l. c. Podług wiadomości z Ręk. Bibl. Oss. N. 209 k. 290 pobierali w owym czasie żołnierze: piechoty niemieckiej po 10 zł., polskiej po 5 zł. na miesiąc. Uszarze po 50 zł., tyłoz rajtary, a kozacy po 45 zł. na 1/4 roku.

²⁾ Pamiętnik 65.

³⁾ Postąpiono je bowiem tylko w tej wysokości:

Jedni ex nunc poborów	10	
Drudzy	"	6 do braci 4
Trzeci	"	4 6
Czwarty	"	2 4
Piąty	"	2 nic
Szósty ex nunc poborów	1	do braci 1
Siódmy	"	1 nic

⁴⁾ Ręk. Bibl. Jagiel. N. 166, S. 157. ⁵⁾ Pamiętnik 69. ⁶⁾ Lengnich. ⁷⁾ Pamiętnik 76.

Plan działań Koniecpolskiego na następującą kampanią uwi-
docznia się z listu jego do króla z dn. 11 czerwca 1628 roku, w którym
pisze „Grudziądz dobrze osadziwszy, ruszyć się ku Gniewowi, gdzie
most, który już powoli gotują, postawić, ten dobrze ufortyfikowawszy,
na tamtą stronę ku Malborgowi przejść i w sposobnym miejscu obwa-
rowawszy obóz, nie trudno nam będzie, o pomyślne do czynienia
z nieprzyjacielem okazyje. Zawrze się drogę z Księstwa zasięgania
Commeatu (żywności) nieprzyjacielowi łatwiej będzie, i kurfirszt bę-
dzieli chciał, zniósłszy się z nami, wiarę swą Waszój Królewskiej
Mości oświadczyć. Blisko będzie w umocnionym obozie, wszystkie
zostawiwszy impedimenta, gdzie okazały się poda wychodzić.”

W liście zaś do ks. Janusza Zbaraskiego, z dn. 5-go czerwca po-
wiada: „aleć ja nie tuszę, raczej rozumiem, iż przeczuwszy, iż mu
chęć od Księstwa zabiedz, będzie nas chciał, wszystkimi sposobami
awokować od przedsięwzięcia naszego.”

Z przytoczonych tu listów, zdałoby się, że hetman ma do-
kładną wiadomość o stosunkach strategicznych stron obu, i o sła-
bych punktach w położeniu nieprzyjaciela na teatrze wojny, i że je-
go plan operacji na najzupełniejsze uznanie zasługuje. Ale jego
wykonanie idzie mu jakoś opornie. Nie może w żaden sposób mostu
pod Gniewem ukończyć. A zdaje się, że w duszy tai obawę, żeby
Szwedzi nie pustoszyli Pomorza. Jakoż w liście do króla z dn. 16
sierpnia pisze: „Sam na dalszy progres jego muszę patrzeć, obawia-
jąc się, żeby za skorą przeprawą moją nazad (t. j. na lewą stronę
Wisły) nie skoczył.”

Takim sposobem, dwojąc się w myśli i siedząc na dwóch stoł-
kach, nic nie przedsięwzię, aż póki nieprzyjaciel w inną stronę go
nie odciągnie.

Król szwedzki udał się 29 kwietnia (9 maja) ze Sztokholmu do
Nyhamu, gdzie się flota znajdowała ¹⁾.

11 maja kazał rozwinąć żagle i puścił się na morze. Ale wiatr
przeciwny zmusił go zawinąć wieczorem do Wiksten. Burza trwała
cztery dni i zmusiła flotę szukać schronienia w Elfsnaben, gdzie zo-
stawała do 21 maja, którego to dnia odplynęła do Wiksten, i wzięw-
szy na pokład Gustawa Adolfa, z przyjaznym wiatrem przybyła do
Pilawy 25 maja ²⁾. Król szwedzki przywiózł z sobą świeże wojsko,
które Koniecpolski na 4000 rachuje, oraz i znaczne zapasy amunicyi
i żywności ³⁾.

29 maja siadłszy na mały yacht odplynął monarcha szwedzki
do Tigmortu, i tegoż dnia przybył do Głowy. W Głowie bawił do
8 czerwca, poczem wyjechał do Malborga, gdzie Zielone Świętki
przepędził ⁴⁾.

1) Lettres 47. 2) Tamże. Pamiętnik 80. 3) Pamiętnik 80. 4) Lettres 49.

13 czerwca posłał flotę pod dowództwem Fleminga dla przewiezienia kilku pułków piechoty, sam zaś udał się do Tczewa dla wytknięcia miejsca obozowiska dla wojska ¹⁾.

14-o wyjechał z Malboga z 15 kompaniami jazdy na zwiady, ale tylko dwóch kozaków upolował ²⁾.

15-go przeniósł się ze swą armią na stare obozowisko pod Tczewem.

Tegoż dnia, po odejściu Szwedów, spalono kilka wsi w okolicach Malboga, a w nocy kilka domów w samém mieście ³⁾.

Ze Tczewa posłał Gustaw 400 piechoty i 15 kompanii jazdy do Skarszowy (Schöneck) dla rozgromienia kozaków, którzy w tém miasteczku założyli swoje siedlisko; ale przybywszy tam, już Szwedzi nikogo nie zastali ⁴⁾.

19-o wyjechał król szwedzki z 5 kompaniami jazdy ku Shuragrowi (Sturgard), gdzie miał niewielką utarczkę z Polakami. Skarszewo zostało ograbione i spalone ⁵⁾.

Z rekonesansów i innych wiadomości okazało się, że Koniecpolski, stojąc pod Gniewem, zbudował silny blokhaus i szaniec na prawej stronie Wisły, i most tam wprowadzając, przy pomocy którego mógł panować nad obu brzegami rzeki, i związkiem Szwedów zagrażać. W celu pozbawienia Polaków tych korzyści, ruszył Gustaw 26 czerwca, z 12,000 wojska ze Tczewa przez Malborg do Bönhofu (Benowo albo Pszczoly Dwór), pomiędzy Białogórą a Nogatkiem, gdzie nocował ⁶⁾. Z tamąd kusił się o wspomniane szaniece, ale wyłącznie strzelbą z dział, którą prowadził trzy godziny. Widząc jednak, że szaniece, uzbrojone silną artylerją, opatrzone w znaczną załogę i mające bliski sukkurs w przybywających z za rzeki posiłkach, trudne będą do zdobycia, zaniechał swego zamiaru i przedstawszy z powodu ulewnego deszczu dzień jeden w Bönhofie, dnia następnego do Malboga powrócił ⁷⁾. Tu naradzano się o sposobach zniszczenia znajdujących się koło Weichselmünde okrętów króla polskiego, i w tym celu wysłano 3-o lipca wojsko przez Tczewo do Głowy, dokąd Gustaw udał się wprost z Malboga ⁸⁾. Okręty królewskie stały na Wiśle, między Weichselmünde i Gdańskiem. Ażeby nie dopuścić sprowadzenia ich gdzie indziej, poprowadził król szwedzki swe wojsko na noc, i nad rankiem, postawiwszy je u Heibudy, przeciw Gdańskowi, dla osłony swych operacji, posunął się z pułkiem piechoty i 8 kompaniami jazdy pod Weichselmünde, i natychmiast rozpoczął strzelbę z dział do okrętów. Jeden z nich, stojący koło św. Barbary, kilku bombami został wysadzony w powie-

¹⁾ tamże. ²⁾ tamże 50. ³⁾ tamże. ⁴⁾ tamże. ⁵⁾ tamże 51. ⁶⁾ Lettres 51. ⁷⁾ Pamiętnik 85, Lengnich. ⁸⁾ Lettres 52.

trze, drugi spalony, trzeci pomimo, że 60 bomb na niego wyrzucono, choć się zapalił, został uratowany, i razem z innymi uszedł do Gdańska. Nie mogąc im więcej szkodzić, przenocował z wojskiem między Heibudą i Krakowem, a nazajutrz 7 lipca do Głowy powrócił. Z Głowy zaś udał się do Tczewa, gdzie trzy dni wojsko wycoczywało ¹⁾.

11-o lipca, wzięwszy z sobą 2000 ludzi, wyruszył król szwedzki do St. Albrechta, jakoby tylko w celu obejrzenia Gdańska z tej strony; ale przy tej okazji ograł Pruszcz (Praust), poczem przez Grebin do Tczewa powrócił ²⁾.

W tym czasie przybyły Szwedom posiłki, a mianowicie: 1500 Szkotów przez Elbląg, także coś ludzi z Pilawy, a spodziewano się jeszcze 2000 ludzi i innych posiłków z Hamburga ³⁾.

28-o lipca udał się Gustaw z całą armią do Gemlitz, i rozłożywszy ją na kwaterach w pobliskich wioskach, rozkazał w Kesmaruku most przez Wisłę budować, a gdy ten był gotów, przeprowadził armią do Głowy ⁴⁾. Tu otrzymał od kurfirszt list z propozycją pośredniczenia w zawarciu pokoju. Podobną propozycją uczynił kurfirszt, jednocześnie i Koniecpolskiemu ⁵⁾.

Król szwedzki odezwał się o niej do kanclerza w te słowa: „Chociaż gotowem pozostawić mu ten honor in ceremonialibus, ale nie liczę na to, żeby Polacy zgodzić się mieli na uwolnienie go od zależności lenniczej” ⁶⁾. To było też podstawą i celem dyplomacji i wszystkich czynności elektora brandenburskiego. Wybrał się jednak kurfirszt trochę zawcześnie. Trzeba było jeszcze 30 lat korupcyi i degradacyi Rzpltej, ażeby cel ten mógł być osiągnięty.

15-o sierpnia wyruszyła armia szwedzka z Głowy ku Malborkowi, dokąd przybyła tegoż dnia około południa, a 19-o, po trzech dniach wycieczki, wymaszerowała ku Grudziądzowi ⁷⁾.

Jeżeli się rozejrzemy w czynnościach monarchy szwedzkiego w czasie od przybycia do Tigenortu, 29 maja, aż do wystąpienia z Malborka 19 sierpnia, t. j. podczas dwóch i pół miesięcy, to widzimy jakieś bezcelowe błąkanie się Szwedów po Żuławach, gdańskiej i malborskiej, oraz w okolicach Malborka i Tczewa. I król i wojsko są w ciągłym ruchu, a właściwie nic nie robią. Gorzej jeszcze: niektóre z poruszeń noszą charakter ujemny, a nawet niedorzeczny, jak np. marsz z Tczewa do Gemlitz, a ztamtąd ku Głowie, i po umyślnie na to zbudowanym moście do Malborka, w celu dalszego pochodu ztamtąd do Grudziądza. Nibyto nie prościej było prowadzić wojsko z Tczewa, po gotowych mostach wprost do Malborka.

1) tamże. 2) tamże 53, Lengnich. 3) Pamiętnik 95, 96. 4) Lettres 55. 5) tamże. 6) Geyer 130. 7) Lettres 56.

Nieprzyjaciela zaś, którego, przedewszystkiem zniszczyć należało, G. Adolf, jakby nie widzi, chociaż on znajduje się tuż obok niego pod Gniewem, i nie może się z nim mierzyć, ani liczbą, ani uzbrojeniem, ani opatrzeniem, ani składem wojska, nadającym się do wszelkich operacji wojennych. I pocóż mu to wojsko, w którego powiększaniu jest niewyczerpany, tak dalece, że się wydziwić nie można, z kąd je bierze: po co ten ogromny aparat wojenny, ulepszona broń, artylerya, nareszcie łożone na to miliony, kiedy tego wszystkiego użyć nie umie?

Nie też ważniejszego i Koniecpolski nie zdziałał, chociaż jako słabszy pod wszystkimi względami, może być łatwiej usprawiedliwiony. Śledził on pilnie z pod Gniewu za wszystkimi ruchami Szwedów. Raz nawet, prawdopodobnie około 8—12 lipca; podniósł się był z obozu i ruszył na Tczewo, z zamiarem spotkania się z Gustawem; ale błotniste drogi po ulewnych deszczach, i popsute przeprawy, niepozwołyły mu osiągnąć nieprzyjaciela ¹⁾. Zaległ czatami, jak wspomina w listach do króla, z 14 i 23 lipca, gościńce, które mi Szwedzi żywność otrzymywali. Miał wiele biedy i niepokoju z żołnierzami, którzy grozili na 1-go września wypowiedzeniem posłuszeństwa, jeżeli żołd należny ich nie dojdzie; ale udało mu się w końcu uprosić ich, że się zgodzili do 15 października oczekiwać zapłaty. Pisał i błagał króla, kanclerza, senatorów, aby wyjednali u sejmu przyczynienie wojska, stawiając im przed oczy potęgę nieprzyjaciela, z którym przy słabych swych siłach, obronnie tylko walczyć może, a o wyrzuceniu go z ojczyzny i pomyśleć nie jest w stanie. Że wojna taka bezużytecznie tylko kosztów przynudza i do pożądanego końca nie prowadzi. Sejm jednak zebrany 27-o czerwca w Warszawie, głuchy na wszystkie skargi i żale hetmana, uchwalił 6 poborów ²⁾, a o powiększeniu wojska i słuchać nie chciał.

Koniecpolski budował tymczasem most na Wiśle pod Gniewem, który, gdy już był bliski ukończenia, zdaje się z powodu ciągłych deszczów i przybytku wody, musiał być zaniechany.

Armia szwedzka wyruszyła z Malborka, w liczbie 10 pułków piechoty i 60 kompanii jazdy, co wynosiło na 15,000 żołnierzy ³⁾. Pierwszy nocleg mieli Szwedzi w Konradswalde, z kąd poszli do Kalderan (nie ma na mapie, pewno przekrecone). Z tego miejsca posłał król szwedzki hr. Turna do znajdującój się w pół mili Kwidzyny, aby się dowiedzieć czy będzie przepuszczony przez to miasto. Mieszkańcy i załoga brandenburska, złożona z trzech kompanii, dała odpowiedź odmowną. Lecz gdy król sam osobiście przybył pod

¹⁾ Pamiętnik 94. ²⁾ Lengnich. ³⁾ Lettres 56.

mury, i nie mogąc wymócić pozwolenia, kazał dać kilka wystrzałów do zamku, i chciał bramy wysadzać, załoga poddała się jego woli. Pozostawwszy w Kwidzynie dwie kompanie pod dowództwem podpułkownika Drake, wrócił na nocleg do obozu ¹⁾. 21-o armia szwedzka przeszedłszy Kwidzynę, w której 200 muszkietarów na załodze zostawiono, przybyła noc do Rundewiese, i położyła się obozem między tą wsią i Osterwolzem (na mapie jest tylko Gr. i kl. Woltz). 22 przyciągnęli Szwedzi pod Kłótkę na r. Ossie ²⁾.

Koniecpoliski, który, trzeba mu to przyznać, był niezmiernie czujny i troskliwy w zasiąganiu wiadomości o zamiarach i działaniach nieprzyjaciela, dowiedział się od licznych podjazdów, jeńców i szpiegów, że król szwedzki, jak jedni powiadali, do Grudziądza, według zaś innych w Warmińskie zmierza ³⁾. To też skoro tylko Szwedzi z Malborga wyruszyli, ordynował dwa pułki pod komendą w-dzica braclawskiego do Grudziądza, z rozkazem: aby, zostawwszy w nim piechotę Butlera, szedł na Lubawę (Löbau), i w razie, gdyby nieprzyjaciel miał zamiar wtargnąć w Warmińskie, przebierał się ku Olsztynowi (Allenstein) i Heilsbergowi. Budziszewskiego zaś z kilku chorągwiami kozackimi posłał za Wisłę z poleceniem, aby, wieszając się koło Szwedów, śledził za wszystkimi ich poruszeniami a przez wzięte języki dowiadywał się o ich zamiarach ⁴⁾. Sam zaś, zostawwszy załogę w Gniewie ze 300 piechoty polskiej i do 1000 jazdy pod dowództwem Czarnieckiego i Moczarskiego, wyruszył na Nowe lewą stroną Wisły ku Grudziądzowi ⁵⁾.

Wojsko polskie w owym czasie rachuje Lengnich na 8000. Podług sejmowego komputu, miało się ono składać z 16,000 żołnierzy, a mianowicie ⁶⁾: 2000 usaryi, 2000 rajtaryi, 2000 kozaków, 5000 piechoty niemieckiej, 1000 hajduków, 4000 piechoty polskiej. Podobnie jak Lengnich utrzymuje i pan Krakowski, ks. Zbaraski, w liście do króla ⁷⁾: „Oto się załóżę, że wojska nie masz jedno połowa tej liczby, na którą pieniądze dawać.“ W polu jednak i tyle być nie mogło, gdyż znacznego ubytku wymagały załogi po zamkach.

W tym samym czasie, kiedy Szwedzi przez Budziszewskiego zatrzymani, tracili czas na zbudowanie spalonego na Ossie pod Kłótką mostu, hetman przeprowadzał się przez Wisłę, i gdy Gustaw, przeszedłszy rzekę, pod Grudziądz zawinął, znalazł go już mocno osadzonym ⁸⁾. Rozłożył się tedy za Ossą w szańcu przedmostowym, który kazał u Kłótki pobudować, posadził z piechotą Teifla niżej nieco

¹⁾ tamże 57. ²⁾ tamże 58. ³⁾ Pamiętnik 108. ⁴⁾ tamże. ⁵⁾ Pamiętnik 109, 112. ⁶⁾ Bibl. Oss. Ręk. N. 209. ⁷⁾ tamże rękopis. ⁸⁾ Lettres 59.

w Knoflochu (takiéj nazwy nie ma na mapie, może Vosswinkel (Lisiekąty), gdyż szwedzi tak okropnie przekręcają nazwy miejsc, że one często nawet brzmieniem nie przypominają rzeczywistych) zajęły stanowisko 3 szwadrony (12 kompanii) Skota, Ramsa i Ehrenrejtera. Pod osłoną tych straży stanął król szwedzki ze swą armią za Ossą, zajmując częśćią wojska Roggenhausen (Rogoźno) i Gardensee (Garděj), a także dalej nieco ku południowi zamek Koprzywnicę (Engelsberg). Ztąd posyłał czaty na furazowanie ¹⁾ i grabienie okolicznych miast, wsi i dworów. Koniecpolski zaś postawił dwie reduty na przedprawę i silnie oszańcował swój obóz ²⁾.

Takim sposobem obie strony zdawały się myśleć tylko o obronie.

Obejrawszy kilkakrotnie stanowisko Polaków, znalazł je Gustaw Adolf silnie umocnioném i uzbrojoném, przemyślał więc jakby ich zażyć, ale nie był widać płodny w koncepta, gdyż trafił na ten, który mu się w r. 1627 pod Lubiszowem powiódł, mianowicie: demonstracyami na lewej stronie Wisły, zniewolić Koniecpolskiego do przejścia na tamtę stronę i atakować go podczas przeprawy w tój chwili, kiedy tylko część wojska na tój stronie jeszcze pozostawać będzie. W tym celu posłał feldmarszałka Wrangla i pułkownika Ehrenreitera do Malborga, żeby zebrali z załóg 4000 piechoty i 400 jazdy i z niemi Gniew oblegli, dla zmuszenia polaków do przejścia na lewą stronę Wisły. W rozkazie powiedziano: że „gdy postrzeże, że nieprzyjaciel rozpoczął przeprawę, powinien uderzyć na tych, którzy na prawym brzegu pozostaną, albo na miasto Grudziądz.“ Przeniknął jednak hetman ten zamysł Gustawa i posłał jako posiłek tym, których w Gniewie i około niego zostawił, 300 piechoty niemieckiej ³⁾. Wrangel, zgromadziwszy przeznaczone siły, stanął obozem pod Walknowem (Falkenau), ale widząc silną załogę w Gniewie i wojsko w polu na odsiecz gotowe, ustąpił do Tczewa ⁴⁾.

Tymczasem król szwedzki, ciekawy skutku swych rozporządzeń, 26-go sierpnia z 2000 piechoty i 20 kompaniami jazdy na zwiady wyruszył. Przebywszy Ossę, napotkał armią polską, która chciała szwedów na przeprawie zaskoczyć. Oba wojska stanęły przeciw sobie, ale ograniczyły się na szarmitlach, poczem się do obozów rozeszły ⁵⁾. 30-go znowu Gustaw wychodził na zwiady z 1000 piechoty i 20 kompaniami jazdy, dla przekonania się czy Koniecpolski się nie rusza. Powrócił jednak nie dostawszy języka. Powtórzył rekonesans po południu tegoż dnia i tu ostatecznie się dowiedział, że wódz polski

¹⁾ tamże. ²⁾ Pamiętnik 40. Jednak nie przeciw przeprawie u Kłotki, a zapewnio przeciw Vosswinkel. ³⁾ tamże 114. ⁴⁾ tamże 119 Lettres 64. ⁵⁾ Lettres 62.

ograniczył się na wysłaniu niewielkiego tylko posiłku ¹⁾. Widząc, że stratagema nie wzięło pożądanego skutku, postanowił spróbować szczęścia w boju. Zgromadziwszy tedy wszystko swoje wojsko, przeszedł z nim Ossę 31-go sierpnia. Posunąwszy się ku obozowi polaków, zastał ich stojących w szyku bojowym. Zatrzymał się tedy, a sprawiwszy armią swoją do boju, oczekiwał ataku ze strony nieprzyjaciela, gdy ten jednak nic nie poczynił i swoich okopów opuścić nie myślał, a pozycją miał zbyt silną, ustąpił do obozu ²⁾.

W ten sposób opowiadają o tym dniu szwedzi. Koniecpolski zaś w liście z d. 1-go września do króla pisze: że, stanąwszy u Tarknowa (Tarpen) i wojsko do boju sprawiwszy, rzucił król szwedzki przed nim szańce. "Co jest bardzo prawdopodobne, jako wynikające z taktyki Gustawa Adolfa. Część wojska polskiego, stojącego o pół mili przed obozem, była osłonięta. Koniecpolski, widząc, że monarcha szwedzki waha się w przedsięwzięciu ataku, posunął się naprzód i odkrył mu całkowicie swoje szeregi. Tak stały wojska obu stron kilka godzin naprzeciw siebie. Wysyłali polacy harcowników, żeby wywabić szwedów do boju, ale to ich nie wzruszyło. W końcu rejterowali się szwedzi do obozu, co też i polacy uczynili.

Wśród takich okoliczności utracono jedyną zrzeczność do bitwy, jaka się nadarzyła przez cały czas wystawiania pod Grudziądzem. Wina utracenia tej okazji, spada całkowicie na Gustawa Adolfa, który wystąpił w pole z zamiarem zaczepki na czele 15000 wojska, przeciw niepełna 8000 polaków, bo jak wiadomo część ich zostawała pod Gniewem, z wyborną prócz tego piechotą i liczną, udoskonaloną artylerją, z którą i o szańce mógł się pokusić. I ów bohater, co przy takiej przewadze uchyla się od bitwy, nie waha się pisać w liście z d. 26 października: „Nieprzyjaciel wojuje nowym kunsztem, ale bitwy jak ognia unika.“ Przecież niepodobna było od Koniecpolskiego wymagać, aby z słabszym wojskiem, którego siła polegała na jeździe, miał się kusić o atakowanie nieprzyjaciela schowanego za szańcami. I znowu natrafiamy tu u Gustawa Adolfa na brak decyzji, na który wskazywaliśmy już niejednokrotnie. Chce stoczyć bitwę i waha się—boi się niepowodzenia. W istocie skutki przegranej byłyby dla niego groźniejsze, niż dla polaków; zaś wojna bez bitew końca mieć nie mogła, a prowadzona forsownie, prędzejby wyczerpała jego rehersa niż nieprzyjaciela, który ją słabo popierał.

Tymczasem położenie Koniecpolskiego staje się coraz trudniejszym. Z jednej strony wyteża wszystkie siły, żeby dotrzymać nieprzyjacielowi, a z drugiej pasuje się z własnym wojskiem, z powodu niewypłaconego żołdu. Starszyzna wprawdzie obiecała cierpliwość, ale żołnierzy się burzy i szeregi opuszcza. W liście do króla z d. 5-go

1) Lettres 65. 2) tamże 66.

września, pisze: „Z żołnierzem zażyłem kłopotu. Nic bowiem o pieńdżach obiecanych nie słysząc, wielu ich o takowe desperuje, a drudzy z niedostatku muszą służbę porzucać. Jakoż siła ich porzuciło.... Piechota cudzoziemska uciekać poczyna, a polska stadami prawie od rotmistrzów ich bieży.“

Liczba wojska zmniejszała się jeszcze przez odkomenderowanie piechoty jako załogi do licznych zamków, jak: Gniew, Grudziądz, Nowe Miasto (Neumark), Lubawa (Liebau), Brodnica (Strassburg), których nie chciano nieprzyjacielowi w ręce wydać. W tymże czasie siły szwedów wzrastały. Marszałek dworu króla szwedzkiego Dietrich v. Falkenberg, przyprowadził 8-go września 5 kompanii jazdy i 2 kompanie piechoty z Finlandyi, a pułki Ringrafa i Brandisa, którzy po ukończonej wojnie z królem duńskim postąpili na służbę szwedzką, były już w drodze do Pilawy ¹⁾.

13-go września przybył do obozu szwedzkiego towarzysz z wojska polskiego, który wyznał, że w Nowem (Neuburg) znajduje się na praesidium nie więcej nad 80 żołnierzy ²⁾. Gustaw Adolf, który już dawniej powziął myśl opanowania tego zamku niespodzianym napadem, kazał wygotować pod Zakarzewadorf (znaczy Zakrzewo Sakrau) flotyllę, na którą wsadził 14-go o 8-jej wieczorem 1000 przebranych z różnych regimentów piechoty, pod dowództwem hrabiego Turna, i wyprawił go na noc w drogę. O 5-tój z rana 15-go, przybył ten oddział pod Nowe i natychmiast szturm przypuścił i wrota wysadził ³⁾. Zamek szybko zdobyto, gdyż znajdująca się w nim niewielka załoga, zobaczywszy szwedów, opuściła swego kapitana Pilchowskiego i uciekła. Pilochowski, broniąc się z pozostałemi 20 hajdukami, w bramie poległ ⁴⁾. Miasto Nowe, zamek i klasztor zrabowano. A że tam złożone były dostatki okolicznych ziemian i wojska, szwedzi zdobyli bogate łupy, które oceniają na beczki złota ⁵⁾.

Hetman wiedział o gotującém się na Nowe zamachu, ale był pewny, że się on nie uda. Dragoni kawalera Indyckiego, śledzili z rozkazu Koniecpolskiego, za przygotowaniami szwedów, a skoro oni tylko z miejsca ruszyli, poszli po tamie do Nowego; lecz z braku przewozu na rzece, wypływającej pod Komorskiem, musieli się zatrzymać, co pozwoliło szwedom ubiedz Nowe. W tym celu posłany był i Butler z piechotą, ale też się spóźnił ⁶⁾. Zdobycie tego nic nie znaczącego kurnika, niewielką było stratą i stanowiło niewielki właściwie tryumf odnieśli szwedzi w znaczeniu wojennem, uczuł to jednak hetman bardzo boleśnie. Było niepodobieństwem bronić wszystkich zamków z tak szczupłemi siłami, a tymczasem, gdzie się tylko raz szwedzi utwierdzili, trudno ich było ztamtąd wyrugować dla braku inży-

1) Lettres 69, 70. 2) tamże 71. 3) tamże 72. 4) Pamiętnik 126.
5) Lengnich Lettres 73. 6) Pamiętnik 126.

nierów, a jeszcze więcej dla braku odpowiedniej artylerji i prochu, w czem szwedzi mieli ogromną przewagę.

Po miesięcznym bezowocnym leżeniu pod Grudziądzem, gdzie działania króla szwedzkiego ograniczały się na wielokrotnych i bezcelowych rekonesansach obozu polskiego, obok nocnych napadów na podsłuchy i strażę, nie mniej na nic nie znaczących utarczkach między czatami i picownikami stron obu napadów, które kończyły się utratą kilku lub kilkunastu ludzi zabitych, rannych lub jeńców stron obydwóch ¹⁾, zebrał Gustaw Adolf 20-go września naradę dla powzięcia planu dalszych działań, mianowicie: na które z miast — Gdańsk, Toruń lub Brodnicę siły obrócić ²⁾. W tój spóźnionej porze rozprawić o oblężeniu Gdańska a nawet Torunia, kiedy się do tego w stosownym czasie nie przystąpiło, było próżną fanfaronadą, a przynajmniej ludzeniem się własną potęgą; bo jeżeli w ciągu całego miesiąca nie mogli się Szwedzi zdecydować na zdobycie Grudziądza, to cóż mówić o Gdańsku i Toruniu, które same przez się przedstawiały daleko większe trudności aniżeli Grudziądz, a nie ulegało wątpliwości, że w każdym z tych miejsc i z wojskiem polskim trzeba byłoby mieć do czynienia. Wypadało jednak na zakończenie kampanii czémś oczy zamydlić szwedom, jako nagrodę za tyle strat i ofiar, ponoszonych na ciągnącą się już od trzech lat wojnę. A zresztą należało i w obec Europy swoją reputacją podtrzymać. Zdecydowano się więc zdobyć nic nie znaczący ani w taktycznym, ani strategicznym znaczeniu, gdzieś w zapadłym kącie leżący, ale łatwy do wzięcia zamek Brodnicę. Zamek ten mógł być tylko zdobyczą zupełnie odosobnioną od innych nabytków i dla tego tём łatwiej utracony; co jeżeli nie nastąpiło, to tylko wskutek niesłychanej nieporadności Polaków.

Gustaw zebrawszy wszystkie siły i pościągawszy z pobliskich zamków załogi, wyruszył 24-go września z obozu nad Ossą i przeszedłszy mimo Radzyna (Rehden), nie zaczepiając znajdującego się tam zanku, nocował w Szakotzu ³⁾. Na mapie Szakotzu niema, a jest Schötzen (Czeszewo) i Zaskocz. Do pierwszego jest 16½, a do drugiego 25 kilometrów. Można było przejść i jedną i drugą odległość w ciągu jednego dnia marszu. Schöttau leży na prostej drodze z Grudziądza do Brodnicy, Zaskocz zaś zupełnie na uboczu, lecz idąc na Zaskocz, (którego brzmienie bliższe jest wyrazu Szakotz), zagrażał Gustaw Gołubowi i Toruniowi i mógł takim sposobem zmylić Polaków, co do ostatecznych celów swego pochodu. Jakoż i Koniecpolski w liście z dnia 28 września do króla, powiada, że nie mógł z początku odgadnąć, czy nieprzyjaciel ku Toruniowi, czy ku Gołubowi zmierza. Rzeczywisty jego kierunek wyjaśnił się dopiero po przejściu z Szakotza do Zgniłobłota, w którym obrał sobie drugi nocleg ⁴⁾.

¹⁾ Pamiętnik. Jeńców wzięli tu polacy 450, ²⁾ Lettres 73, ³⁾ tamże 74.
⁴⁾ tamże 75.

Miejsce trzeciego noclegu w źródle naszym nie zapisane, w każdym jednak razie było bardzo blisko od Brodnicy, gdyż z tego miasta do Zgniłobłota liczy się 11 kilometrów.—27-go września o godzinie 9-tj z rana, stanęli szwedzi pod Brodnicą, a w nocy z 27-go na 28-my, posunęli się jeszcze bliżej pod zamek. Załoga, za ukazaniem się szwedów, zapaliła przedmieścia ¹⁾).

Po ruszeniu się szwedów z obozu, poszedł hetman za nimi lekko komunikiem i wieszając się nad ich pochodową kolumną, wypatrywał słabego miejsca, aby uderzyć lub urwać. Atakowali nawet kozacy tabor szwedzki ²⁾. Trudno było jednak coś począć z nieprzyjacielem, który maszerował w porządku i w gotowości bojowej. Przeprowadziwszy ich w ten sposób do Niwaldu i Okuniowa, ordynował hetman Budziszewskiego z kilku lekkimi chorągwiami, aby ich w nocy i na przeprawach turbował, sam zaś wieczorem do obozu powrócił ³⁾. Przewidując jednak niebezpieczeństwo dla Brodnicy, posłał Koniecpolski dla wzmocnienia tamecznej załogi chorągiew Odrzywolskiego i 150 dragonów Indyckiego; miała tam prócz tego przybyć piechota królewska, ale zdaje się, że nie przybyła ⁴⁾. Sam hetman wyruszył z Grudziądza dnia następnego, po wyjściu szwedów; szedł jednak tak spiesźnie, że w ten sam dzień, w którym oni do Brodnicy przybyli, już był w Słuszewie nad Drwęcą, o 11 1/2 kilometrów od Brodnicy ku Toruniowi, w celu, jak sam powiada, osłony tego miasta od jakichkolwiek zamysłów szwedzki ⁵⁾. Stanął jednak za daleko od szwedów, ażeby paraliżować ich działania. Mając przeświadczenie o swj słabości, a może jeszcze czując potrzebę skrywania jęj przed nieprzyjacielem, nie wiedział nieszczęśliwy hetman, co ma począć. Z listów z dnia 3 i 5-go października, widoczne jest jego wahanie się w zamiarach: to chce most na Drwęcy budować i na drugą stronę przejść, bo boi się, że przeszedłszy raz, może mieć powrót zamknięty i być niejako z Prus wyparty; to chce iść wprost na szwedów i napaść na nich w czasie szturm; to poprzestawać na opędzaniu się przez czaty i przecinanie dowozu żywności; kończy jednak na tém, że się przenosi ze Słuszewa pod Mszaną, to jest zawsze jeszcze o 5 1/2 kilometrów od Brodnicy, a nie o wystrzał działowy, jak w liście z d. 3-go października królowi donosi. A tymczasem liczył, choć z dotychczasowych przykładów nie miał na to prawa, na moc brodnickiego zamku i stateczność załogi. Posłał jęj téż przez Czarnieckiego ile mógl prochu i amunicji ⁶⁾.

Szwedzi spiesźnie i energicznie prowadzili roboty. 29-go września Krisbach rozpoczął podkop pod półrondelem zamkowym, którego mur miał 11 stóp grubości. Został także ukończony most przez Drwęcę. Po nim przeszła część wojska i usypała kilka redut dla

¹⁾ Lettres. ²⁾ Pamiętnik 128. ³⁾ tamże. ⁴⁾ tamże 129. ⁵⁾ tamże
⁶⁾ tamże 130.

przecięcia załodze komunikacyi ¹⁾.—30-go września Pauli, wysłany na picowanie, miał utarczkę z polakami, w której poległ dowódca czaty polskiej, rotmistrz Suliszowski. Pauli przyprowadził z sobą 500 sztuk bydła ²⁾. 1-go października zamek od rana z dział gromiono. Trwał także z obu stron silny ogień muszkietowy. Skończono minę pod półrondelem i król posłał trębaczem ostrzedz o tém załogę, ofiarując jej, w razie poddania się, jak najlepsze obejście. Załoga prosiła o zaprzestanie działań wojennych, a tymczasem pracowała nad łataniem szczerbów, po upływie zaś pół godziny rozpoczęła ogień działowy i muszkietowy, od którego Szwedzi znaczne straty ponieśli. Po południu tegoż dnia, król posłał marszałka swego dworu, Falkenberga, dawszy mu 1000 muszkietarów i 20 kompanii jazdy, z rozkazem przybliżenia się na 13 mil do Warszawy ³⁾

Tymczasem podminowany rondel został wysadzony w powietrze ⁴⁾. 2-go października, gdy artylerya szwedzka kontynuowała kanonadę, ukazali się polacy i stanęli obozem, pomimo oporu szwedów, z których wojskiem mieli utarczkę ⁵⁾. Zmuszony był Gustaw zezwolić na usadowienie się w jego sąsiedztwie polaków, wskutek odkomenderowania znacznej części sił z Falkenbergiem, co było błędem z jego strony, za który, przy znaczniejszych u Konięcpolskiego siłach, mógłby być srogo ukarany. Wieczorem tegoż dnia, wysadzono za pomocą drugiey miny część muru w tymże miejscu gdzie i pierwěj, wskutek czego powstał wyłom, przez który cztery wozy wjechać mogły ⁶⁾. Polacy podawali załodze sygnały o swęj bliżkiey pomocy ⁷⁾, co jej nie wiele pomogło. 3-go października założono dwie nowe miny, które znowu wysadziły znaczną część muru, prócz tego cały dzień trwała kanonada ⁸⁾. 4-go zaczęto podkop z innęj strony miasta. Falkenberg powrócił z bogatym łupem i znacznemi zapasami żywności. Był w drodze cztery dni, mógł więc zajść najdalej do Sierpca, bo — do Lipna było już za daleko ⁹⁾.

O 3-ěj godzinie po południu tegoż dnia, załoga zgodziła się na poddanie zamku, wymówiwszy sobie swobodne wyjście z rozwiniętemi chorągwiami i z prawem zabrania z sobą dział, broni i bagażu, na co jej pozwolono ¹⁰⁾. Po przybyciu załogi do obozu, komendant jej, pułkownik La Montagne, ściętym został ¹¹⁾. Był to kozioł ofiarny za grzechy Rzplitej, a w części i samego Konięcpolskiego. 5-go, między

1) Lettres 75. 2) tamże 76, Pamiętnik 131. 3) Rozkaz dzienny, trącający fanfaronadę i niepodobieństwem, z „Pamiętników“ jednak współczesnych nie wiadać, gdzie mianowicie i jak daleko był. Zdaje się, że chodził dla żywności, 4) Lettres 76, 77. 5) tamże 77. 6) tamże. 7) tamże. 8) tamże 79. 9) Lettres 79. Jest to owa sławna ekspedycya, aż do bram Warszawy, którą miał wykonać pułkownik Baudissin. 10) tamże. 11) tamże 80, Pamiętnik 133.

3-cią a 4-tą godziną z rana, poprowadzili polacy szturm na szwedzkie reduty, ale zostali odparci ¹⁾.

Zdobycie Brodnicy było tedy jedynym nabytkiem szwedzkim kampanii 1628 roku, gdyż Nowe zostało odebrane.

Między nowinami z Prus ²⁾ donoszą: „Holendrzy mają za złe Gustawowi, że rozporządzając tak wielkiem wojskiem, tego roku ma-ło co w Prusach sprawił, krom Brodnicy, wziętej przez zdradę La Montagn'a.“ Jeżeli to prawda, to ztąd ten tylko wniosek wyciągnąć można, że holendrzy płacili pieniądze Gustawowi, bo tylko w takim razie mieliby prawo wypowiadać swe niezadowolenie. Po odniesionym tryumfie i po ogłoszeniu go swym ukochanym, zaślepionym w nim swedom, o niczem już więcej nie myślał król szwedzki, jak o powrocie do domu. Nie było to jednak łatwe zadanie. Spóźniona pora, złe drogi, kraj zrujnowany i ogłodzony przez samychże szwedów, w czasie miesięcznego pod Grudziądzem leżenia, a do tego pod naciskiem nieprzyjaciela, wszystko to nadzwyczaj utrudniało odwrót. Drogę do marszu wybrał Gustaw Adolf bardzo zręcznie ³⁾. Wojsko jego w czasie pochodu, miało osłonę z obu stron, prawie bez przerwy, a mianowicie: od wschodu ochraniała je rzeka Drwęca, a od zachodu prawie nieprzerwane pasmo jezior, jako to: Bachotsen (zdaje się Bukowskie), Straszynskie, Zbiczno, Partenszyn, Skarlińskie, Radomno i ogromne jezioro Geserich, ciągnące się od niemieckiej Itawy w pożądanym kierunku, z południa na północ. Z tyłu osłaniała pochód mocna straż tylna, która utrzymywała przejścia i przeprawy i niszczyła je za sobą. Wszystko to, utrudniało tak dalece nawet śledzenie ruchów szwedów, że dla dostania języka, zmuszony był Konięcpolski podjazdy naokoło aż do Salfeld posyłać ⁴⁾. 9-go października wyruszył z Brodnicy po za Drwęcą, t. j. lewym jej brzegiem, Falkenberg z ciężarami, których przeprawa przez bród buchowski, ciągnęła się całą dobę ⁵⁾. Dnia następnego podniósł się król z całą armią i przyszedł na nocleg do Pokrzydowa. Ztąd, po

¹⁾ tamże 79. Do tegoż roku należy jeszcze jedno zwycięstwo Gustawa Adolfa nad polakami, o którym opowiada ks. Galicyn (Prilożenie, s. 25.): „Podczas oblężenia Gdańska przez króla Szwedzkiego (jakby to on oblegał Gdańsk kiedykolwiek), pokusili się polacy nie na odsiecz (bo to byłoby za zuchwałe z ich strony) a tylko na demonstracyą. W odpowiedź na to Gustaw Adolf, zostawiwszy część sił pod Gdańskiem, a z inną częścią uderzył na Konięcpolskiego („było to koło Gdańska, ale niewiadomo w jakim mianowicie miejscu”), i zadał mu ciężką klęskę. Polacy utracili 3000 poległych, 14 Chorągwi, 4 działa, sam hotman rantony, a wojsko polskie rozproszono ratowało się ucieczką w górę ponad Wisłę. Takie bajki mieszczą się w dziele z poważnym tytułem „Historii Wojennej.“

²⁾ Ryk. Bibl. Czarr. nr. 120, str. 311. ³⁾ Zob. mapę teatru wojny w Prusach. Nr. 3. ⁴⁾ Pamiętnik 138. ⁵⁾ Lettres 81.

jednodniowym wypoczynku, szwedzi przeszli do Marczenic, nie ruszając leżącego niedaleko Nowego Miasta, o które się bał Koniecpolski i dla tego wzmocnił w nim załogę. Nie czas było myśleć Gustawowi o podobnych przedsięwzięciach. 14-go października, przechodząc koło Hawy, zostawił w niej król szwedzki wszystkie ciężkie działa i dla ich ochrony pułkowników Essena i Skotta. Działa te, proch i inna amunicya, zostały, zdaje się, później przewiezione do Ostrady. Na noc stanęło wojsko w Montiku, gdzie Gustaw osobiście miejsce dla obozu wytykał i gdzie pozostawał do 20-go października. Z Montiku ordynował pułk Bauera w tył, dla zdobycia Bratyańskiego zamku. 19-go wyprawił z rana tabor do wsi Binau, dokąd nazajutrz sam z armią wyruszył. Z powodu atoli złych dróg, zmuszony był nocować w Auerze. 22-go przybyli szwedzi do miasta Liebemühl ¹⁾.

Przez cały ten czas trudnego odwrotu szwedów, przepędza Koniecpolski w obozie pod Mszaną i dziwnie się tłumaczy ze swój beczynności, w liście do króla, z d. 19 października: „Mnie tedy necessitas sama na tém miejscu trzyma, bo szlakiem jego nastąpić go nie mogę, gdyż ustąpiwszy mu z tyłu, łatwieby mógł prowiantem, amunicją Brodnicę, czego tam niewielki ma być dostatek, posilić. Jeślibym się téż udał w prawo, obawiam się, aby on w lewo ku Grudziądzowi nie uderzył, jeżeli téż ja w lewo, żeby on w prawo ku Lubawie i biskupstwu (warmińskiemu) nie obrócił.“ Gdy nieprzyjaciel uchodzi, nie ma już czasu myśleć o rzucaniu się na stronę dla innych jakichś przedsięwzięć; trzeba mu albo drogę do celu, do którego dąży, zagradzać, albo z tyłu urywać. Tłómaczenie się więc Koniecpolskiego byłoby niedorzeczne, ale nie można go brać na seryo. Nieszczęśliwy hetman musiał się tłumaczyć przed opinią szlachty, téj saméj, która mu wszystkiego odmawiała, a zarazem stawiała zadania niemożliwe do spełnienia, musiał się tłumaczyć ze swój beczynności a nieświadomych miejsca i rzeczy, czém mógł zadawałniał. Istotną zaś przyczyną, (która częstokroć w jego listach do króla prześwieca, jak na przykład w liście z d. 28-go września: „ale Wasza Kr. M. P. mój miłościwy, ratie i defecta nasze, ostrożność i taką potęgę, w jaką się wzbili nieprzyjacieli, zrozumiesz, że tę naszą cunctationem, na którą siła nas boleje, pochwalić będziesz raczył,“) była słabość, którą wobec nieprzyjaciela bał się zdradzić i zupełna niezdolność do działań aktywnych i stanowczych, a do tego miejscowości, która ściganie nadzwyczaj utrudniała. Zkąd inąd jednak okazuje się, że polacy bezczynnie nie siedzieli i że nie tylko śledzili pilnie za wszystkiemi ruchami szwedów, ale bronili im żywności i gdzie mogli ich urywali, gdyż Salviusz w liście z d. 20 października, pisze: „Nieprzyjacieli zaś rąbie z tyłu i wszelkie dowozy odcina.“

¹⁾ Cały ten ustęp z Lettres 82, 83, 84, 85

19-go października znajdujemy obóz polski pod Skarlinem ¹⁾, naprzeciw dostępnego przesmyku, między jeziorami: Skarlińskim i Gryźlińskim. Koniecpolski z cyfrowanych listów otrzymał wiadomość, o mającém nastąpić poruszeniu pułkownika Bandisa z Nowego Hollanda, dla połączenia się z królem. Miał też na niego pilne oko i rzucił mu był na spotkanie silny podjazd, pod dowództwem Stan. Potockiego. Ale godzinę przed przybyciem na to miejsce, gdzie mógł spotkać oddział szwedzki, Baudis, dowiedziawszy się, że Gustaw z wojskiem już Nowe Miasto minął, rzucił się do Ostrody i tu go właśnie hetman naścignął. Baudis, myśląc iż ma przed sobą niewielką czatę, śmiało wystąpił do boju i został zupełnie rozgromiony, a sam ranny dostał się do niewoli ²⁾. Działo się to 23-go października. Nazajutrz na to miejsce przybył król, bo chciał sobie Ostrodę utrzymać, lecz już polaków nie zastał. W wigilią téj potyczki, polacy odebrali Nowe, a to takim sposobem, że załogę wywabili w pole i na zasadzkę naprowadzili, tak, że razem z komendantem do niewoli została wziętą ³⁾.

1-go listopada armia szwedzka przybyła do Elbląga, gdzie Gustaw Adolf bawił do 7-go, w którym to dniu wyjechał do Pilawy, a zamtąd do Szwecyi odpłynął. Wojsko rozeszło się na zimowe leże ⁴⁾. Odwrót z nad Drwęcy do Elbląga, a tém samym i ostatni jego tryumf—zdobycie Brodnicy, drogo go kosztowało. Salwiusz w liście z dnia 20-go października, pisze: ⁵⁾ „Oficerowie, zostający 30 lat na służbie, nie pamiętają podobnego położenia naszej armii. Od wymarszu z nad Ossy, armia szwedzka utraciła przeszło 5000 ludzi, (t. j. 1/3 część). Nasi szwedzi codzień umykają z szeregów, cudzoziemcy zaś tak dalece zniechęceni, że lada dzień buntu oczekiwać wypada... W kraju tutejszym nędza. Brak dobrych kwater tak dalece, że na pułk ledwie po cztery domy się dostaje. Drogi tak okropne, że z działami ledwie pół mili dziennie zrobić można. Nieprzyjaciel zaś rąbie z tyłu i wszelkie dowozy odcina.“

Przed rozejściem się na kwatery, kusili się polacy o Brodnicę, Rotmistrz Czarniecki, zwiedziwszy i obejrzawszy miejsce, wyprawił się na tę ekspedycyą z 1000 piechoty i trzema chorągwiami kozackimi i tak się mu poszczęściło, że do godziny 10-téj w nocy opanował przedmieście, strażę na bramie zamkowej wysiekl i trzy chorągwie wziął. Ale z rana, gdy się strzelanie z wałów i bram zaczęło, niemiecka piechota, bez żadnej przyczyny, jakby jej oczy wybrał, uciekła sromotnie. A że byli z różnych chorągwi zebrani, kapitani nie mogli żadną miarą ich hamować, naszym zaś serce zepsowali. Ciż niemcy, już podczas przeprawy przez Drwęcę, na złość Czarnieckiemu, wbrew jego zakazu, knoty zapalali, naumyślnie kaszlali, jako-

¹⁾ Pamiętnik 138. ²⁾ tamże 139. ³⁾ tamże 140. ⁴⁾ Lettres 85. ⁵⁾ Geyor 131.

by chcąc ostrzedz nieprzyjaciela. Piechota węgierska w tej sprawie bardzo dobrze się trzymała, odwaga zaś Czarnieckiego, wszelkie przechodziła pochwałą ¹⁾. Skończono z Brodnicą na tém, że zostawiono koło niej kilka chorągwi dla obserwacyi, aby załogę od wycieczek powstrzymać i nie pozwolić jej żywnością się zasilać. Pilnowały się jednakże te chorągwie bardzo opieszale, gdyż pozwoliły hr. Turnowi w 80 dni ująć z Brodnicy do Malbarga ²⁾.

Od wystąpienia szwedów z obozu nad Drwęcą, do rozejścia się na kwatery polaków, upłynęło pięć tygodni, a od potyczki pod Ostradą, do tegoż terminu trzy tygodnie. A jednak w ciągu tak długiego czasu nie mogli polacy skutecznie tego, czego szwedzi w czterech dni dokonali, t. j. nie mogli zdobyć Brodnicy. Nie kusili się nawet o to, aby ją szturmować za pomocą artyleryi i podkopów. Ztąd można wnosić, w jak opłakanym stanie było w wojsku polskiem pułkarsztwo i sztuka inżynierska, a winien temu był król, który wojska lubił, a o potrzebach wojny nie myślał.

16-go listopada rozeszło się wojsko polskie na kwatery głównie w księztwie pruskiem. Regestr tych stanowisk przesłany był królowi. Niewiadomo w jakim archiwum szukać go należy ³⁾.

Taki przebieg miała kampania 1628-go roku. Polacy, chociaż ją prowadzą u siebie w domu, w bliskości swych resursów, wskutek dziwniej oziębłości narodu dla tej wojny i zwykłego w Rzpltej nieładu, coraz to więcej słabną na siłach. Pomimo to dotrzymują pola wrogowi i nie dają mu wziąć nad sobą wielkiej przewagi. Przeciwnie wojsko szwedzkie — przez dobry rząd i zabiegliwość króla ciągle się pomnaża; ale ów król, doskonały gospodarz, administrator i organizator, ani swęj pięknej armii użyć, ani swęj ogromnej przewagi wyzyskać nie umie. Nie siedzi wprawdzie z założonemi rękami, owszem pozornie jest bardzo czynny, nawet fizycznie, bo bierze się osobiście za wiosło i łopatę, nie oszczędza swego zdrowia i życia; lecz z tego wszystkiego żadnych płododajnych skutków nie osiąga, bo nie zdolny jest wynaléć tego archimedesowego punktu oparcia i zastosowania siły, przez którą jedynie wielcy wodzowie wielkich dokonywali czynów. On ubiega się np. za Brodnicą, która go wiele kosztuje, a tymczasem żadnego znaczenia dla niego nie ma i żadnego wpływu na przebieg wojny nie wywiera.

Na inflanckim teatrze wojny rok ten rozpoczął się przez znaczne zwycięztwo, które odniósł 31-go stycznia Gąsiewski nad Hornem, pod Treidenem, ale stanąwszy potem obozem pod Keksholmem, rozpuścił wojsko swoje partjami, dla plondrowania Inflant, które Horn częściami poznosił. Podniósłszy się potem z obozu, spustoszył Gąsiewski znaczną część Inflant, a przeszedłszy do Kurlandyi, odebrał Bausk

1) Pamiętnik 146. 2) tamże 153. 3) tamże 151.

szwedom, którzy gotowali się do odwetu, bo Horn zebrał pod Lehnwarden 15 kompanii piechoty i 18 kompanii jazdy. Wtém za staraniem ks. kurlandzkiego, zawarte zostało zawieszenie broni na trzy miesiące, które potem do 1-go sierpnia przedłużono.

Na tém kończy się wojna inflancka, gdyż po upływie zawieszenia broni, zachowały się obydwie strony spokojnie ¹⁾ przez jesień i zimę, podobnie jak w roku 1629.

¹⁾ Postępowanie takie było jednak szkodliwe, gdyż w tym właśnie roku, gdy Gustaw zmuszony był przywołać na ratunek Horna z Inflant, Litwini, jak widać z komputu i z popisów na komisji produkowanych, (Ręk. Bibl. Czart. 121, str. 575) rozporządzali ogromném wojskiem, a mianowicie:

Starego zaciągu:

Usarzy	429 koni
Rajtarów	1020 „
Kozaków	3367 „
Dragonów	2671 „
Piechoty niemieckiej	4189 ludzi
„ węgierskiej	900 „
Summa	12376

Nowego zaciągu:

Kozaków	1306 koni
Rajtarów	200 „
Dragonów	616 „
Piechoty węgierskiej	648 ludzi
Summa	2806

a wszystkiego 15182 ludzi. Ale nie było komu tym wojskiem zarządzić, gdyż hetman wielki litewski tylko tytuł nosił i drogę innym zagradzał. Ks. Jerzy Zbaraski w liście do biskupa krakowskiego (Ręk. Bibl. Czart. 117, str. 649) pisze: „Ktoby znając wojewodę wileńskiego przed 40 laty, człowieka togatum, quietum, intra muros versatum, laboribus et periculis militaribus nunquam asvetum, zbrojo ledwie na koniu widzącego, że na 80 roku deposita toga, miał... arma i hetmanem zostać, by też i astrologowie przepowiadali, niktby nie uwierzył.“ Prawdopodobnie chciał on tym sposobem utorować drogę dla syna, lecz ten, jak widzieliśmy z potrzeby pod Walmoją, nie nadawał się do tego rzemiosła. Hetman zaś polny zupełnie się usunął.

Popisywał się tam Gąsiewski, lecz nie zawsze szczęśliwie. Zrosztą trudno wydać sąd wierny o jego działaniach, gdyż wiadomości o nich nie możemy czerpać z własnych źródeł, a obce są bardzo niepewne. (dok. n.).

Z DZIEDZINY HYPNOTYZMU.

NAPISAL

Władysław dr. Chodecki.

Prof. dr. Napoleon Cybulski: „O hypnotyzmie ze stanowiska fizyologicznego.“ Kraków. 1888.—Propaganda hypnotyzmu u nas. Dr. filozofii J. Ochorowicz. Jego odczyty. Zakończenie i wnioski.

Ogólne zainteresowanie się hypnotyzmem w ostatnich czasach, propaganda jego u nas, znaczna ilość dzieł i artykułów temu przedmiotowi poświęconych, wszystko to skłania nas do omówienia tej interesującej kwestyi. Za podstawę naszego wykładu przyjęliśmy pracę znanego fizyologa, prof. Cybulskiego, którą z pomiędzy całego szeregu prac podobnej treści korzystnie wyróżniają ważne jej zalety, a mianowicie trzeźwość i oględność sądu, obok zrozumiałego i jasnego przedstawienia przedmiotu.

Hypnotyzm, zwany dawniej „magnetyzmem zwierzęcym“, po ostatnich badaniach znakomitych uczonych francuzkich, w rędzie których świecą takie imiona jak Charcot, Richet, Dumontpallier, Bernheim, zajął poważne miejsce w szeregu badań fizyologicznych i psychologicznych; prasa i publiczność lekarska trzymała się zdaleka od tych poszukiwań na stanowisku wyczekującym głównie dla tego, iż metoda badań zjawisk hypnotycznych, nie odpowiadała dotąd zasadom, przyjętym w naukach ścisłych. I rezultaty przeto tych badań, nie mają tej pewności, jakiej słusznie wymagają badacze w naukach przyrodniczych.

Zważywszy, iż każdy może wywoływać zjawiska hypnotyczne u osób odpowiednio usposobionych, bez uprzednich studyów specjal-

nych, łatwo pojmiemy, iż je wywołują ludzie, którzy nie przyswoili sobie jeszcze ściślej metody badania naukowego. Otrzymanywane w ten sposób zjawiska, obserwowane bez odpowiedniej kontroli naukowej, nie przyczyniają się wcale do wyjaśnienia tylu zawilonych zagadnień i wnoszą tylko zamęt w dziedzinę, dokładnie już przez innych zbadaną. Hypnotyzm powinien być badany przez osoby, umiejące ocenić doniosłości celów w naukowych, przy zachowaniu wszystkich warunków ściśłego badania; nieuwzględnienie tych warunków prowadzi do sprzecznych wyników między autorami i sprawia, iż kwestya ogromnej doniosłości dla metody badań psychologicznych, nie wywalczyła sobie dotąd należnego stanowiska w nauce.

Historya narodów starożytnych wskazuje, iż niektóre objawy stanu hypnotycznego, znane już były kapłanom egipcyan, greków i rzymian. W wiekach średnich, osoby ulegające hypnotyzmowi, a dokładniej mówiąc sonnambulizmowi, były uważane za opętane przez złego ducha. Następnie, gdy się rozpowszechnił jaśniejszy pogląd na wpływ ciał niebieskich w stosunku do człowieka, zaczęto tém bardziej wierzyć we wpływ jednego organizmu na drugi. Podobne wzmianki znajdujemy w dziełach wielu ówczesnych autorów, jak Paracelsa, van Helmonta, Maxvella i wielu innych. Pierwszym jednak, który chciał oprzeć magnetyzm na podstawie naukowej i zastosować go do leczenia wszelakich cierpień, trapiących ród ludzki, był dr. med. uniwersytetu wiedeńskiego, Antoni Mesmer. W rozprawie swojej, pisaniej na stopień dra medycyny „De plantarum influxu“ z r. 1766, posuwa Mesmer analogią jeszcze dalej, przyjmując między zjawiskami życia a zjawiskami magnetycznymi zupełnie dowolnie istnienie płynu powszechnego, umożliwiającego współdziałanie na siebie istot żyjących i ciał niebieskich. Z początku do leczenia chorych Mesmer używał magnesów stalowych; doświadczenie jednak późniejsze pouczyło go, iż ten sam skutek da się osiągnąć za pomocą pociągów rękami a na zasadzie doświadczeń swoich, ogłosił rozprawę o magnetyźmie zwierzęcym w 1775 r. Metoda leczenia Mesmera, zjednała z początku jęj apostołowi licznych adeptów i pacjentów, wkrótce jednak blask jęj gasnąc począł, przekonano się bowiem, iż owe cudowne uleczenia polegały poprostu na zwyczajnym oszustwie... Lekarze wiedeńscy, chcący się przekonać o cudownych skutkach kuracji Mesmera, poddali jedną z jego pacjentek, którą leczył na ślepotę, troskliwej rewizyi i skonstatowali, iż chora była zupełnie niewidomą, jak i przed kuracją. To wyjaśnienie sprawy zmusiło Mesmera do opuszczenia Wiednia i przeniesienia się do Paryża, gdzie wkrótce zjednał sobie bardzo licznych zwolenników, którzy potworzyli towarzystwa „Societes harmoniques“ nie tylko w Paryżu, ale i na prowincyi i propagowali dalej żarliwie idee swego mistrza. Rząd francuzki w uznaniu zasług Mesmera, przyznał mu 20000 franków dożywotniej pensyi i pewną sumę na wybudowanie zakładu. Ponieważ liczba chorych, szukających porady u Mesmera, coraz więcej się zwiększała, tak iż nie mógł działać na

wszystkich osobiście, leczył więc przyrządami zamagnetyzowanemi, jak słoikami, wanienkami, drzewem zamagnetyzowanem i t. d.

Dla ostatecznego zbadania tej kwestyi, wybrano dwie komisye, jedną z łona Academie de sciences, a drugą z Societé royale de medicine. W skład pierwszej wchodziłi pierwszorzędni uczeni Lavoisier i Franklin. Komisye te orzekły jednozgodnie, iż zarówno płynu magnetycznego jak i jakiegokolwiek wpływu na chorych dostrzedz nie były w stanie i że cała metoda bez podniecenia imaginacyi, nie wywierała żadnego działania. Ów więc przypuszczalny magnetyzm dał się zredukować li tylko do działania wyobraźni; mimo tego zdania komisyj, idea magnetyzmu szerzyła się dalej, ogarniając coraz szersze koła społeczeństwa.

Jeden stopień dalej w rozwoju nauki o magnetyzmie zwierzęcym, stanowi odkrycie jednego z uczniów Mesmera, margrabiego de Puységur; lecząc magnetyzmem jednego z wieśniaków, chorego na zapalenie płuc, zauważył, iż człowiek ten pod wpływem magnetyzowania usnął, w tym stanie snu sztucznego rozmawiał z Puységurem, a po przebudzeniu się niczego nie pamiętał. Widzimy więc z tego, iż Puységur właściwie odkrył, iż drogą magnetyzmu wywołać można sen sztuczny, czyli somnambulizm, na który to odtąd główną zwrócono uwagę. Inny szereg zjawisk nie mniejsze mających znaczenie dla nauki o magnetyzmie zwierzęcym, odkrył w roku 1787 dr. Pétetin. Zauważył on mianowicie, iż osoby które pod wpływem magnetyzmu wpadły w sen sztuczny, czyli somnambulizm, mogły rozmawiać tylko z magnetyzerem i ulegały zesztynieniu mięśni (katalepsy) i utracie czucia. W r. 1819 ksiądz Faria zaczyna racjonalniej zapatrywać się na magnetyzm i jasno dowodzi, iż wszelkie manipulacje magnetyzerów są zupełnie zbyteczne; wyobrażenia osoby magnetyzowanej, gra tutaj główną rolę i rozkaz magnetyzera „śpij“ jest zupełnie wystarczającym, by u osób wierzących w jego siłę sen wywołać.

Widzimy więc, iż teoria księdza Farji, odrzucająca hipotezę płynu magnetycznego, była zasadniczo różną od teorii Mesmera i zbliżała się zupełnie do dzisiejszych pojęć o magnetyzmie.

Od czasów margrabiego de Puységur, starano się głównie o wywołanie stanu somnambulicznego, t. j. snu; pragnąc uzyskać uznanie dla swjej teoryi, zwolennicy magnetyzmu nie przestawali kołatać dalej do różnych towarzystw uczonych, starając się o sankcyę naukową dla swjej teoryi. W r. 1826 Akademia lekarska wyznaczyła ponownie komisję, w skład której wchodziłi, znakomity fizyolog Magendie i genialny lekarz, wynalazca stetoskopu Laennec. Pomimo kilkunastoletniego badania tej kwestyi, Akademia nie mogła się zgodzić na „przychylny referat“ Hussona, który też odrzuconym został. Przy roztrząsaniu bowiem kwestyi magnetyzmu, nie zgodzono się na zachowanie pewnych ostrożności w badaniu, a niezbędnych dla dojścia raz do prawdy.

W roku 1840 lekarz angielski James Braid, na podstawie licznych doświadczeń wykazał, iż tak zwany magnetyzm zwierzęcy da się otrzymać za pomocą czysto mechanicznych czynników, bez najmniejszego udziału magnetyzera. Wpatrywanie się w błyszczący przedmiot w niewielkiej odległości od oka, inne monotonne wrażenia męczące zmysły, wywołują sen magnetyczny, mający swą przyczynę nie w owym płynie przyjmowanym przez Mesmera, ale w organizacyi układu nerwowego osoby magnetyzowanej. Braid odrzucał więc stare pojęcie magnetyzmu, któremu zadały kłam ścisłe poszukiwania, a stan w ten sposób wywołany nazwał hypnotyzmem, od wyrazu greckiego *υπνος*—sen. Odtąd zaczynają się badania hypnotyzmu, wykrywające wiele prawd nowych, a które przetrwały w nauce do dziś dnia. Odkrycie, że w stanie hypnotycznym wywołać można nadzwyczajną pobudliwość zmysłów i mięśni i poddawania wyobrażeń, bezsprzecznie należy się Braidowi. Konstatuje on dalej podobieństwo między stanem hypnotycznym a somnambulizmem naturalnym i zaznacza, że częste hypnotyzowanie ułatwia występowanie tego stanu, tak iż samo skupienie myśli na pewnym przedmiocie przy podnieconej wyobraźni, wystarcza zupełnie do wywołania snu hypnotycznego. Stan ten powstaje według Braid'a, przez znużenie zmysłów i uwagi skierowanej na jeden przedmiot przy ciszy i spokoju otoczenia, a co główna, przy dobrej woli osoby hypnotyzowanej. Jak już zaznaczyliśmy wyżej, poddawanie w stanie hypnotycznym i na jawie, nie były również obce Braidowi. W osobę zahypnotyzowaną można wmówić, że otrzymuje wrażenia od nieistniejących przedmiotów, a będzie się ona zachowywała odpowiednio do poddanych myśli. Sposób ten hypnotyzowania zastosował Braid i do leczenia chorych chronicznych, przeważnie nerwowych i to, według niego, z dobrym skutkiem. Te cenne jednak nabytki w nauce o hypnotyzmie, ów pewny drogowskaz dla badań przyszłości, zatoneły w otchłani zapomnienia i nie zwróciły na siebie dostatecznej uwagi uczonych lekarzy, tak iż znowu hypnotyzm nie mógł wywalczyć sobie ogólnego uznania w świecie uczonym.

Obserwacye Braid'a wtenczas dopiero zwróciły na siebie uwagę uczonego świata lekarskiego, gdy znakomity chirurg francuzki prof. Velpeau, w roku 1859 wystąpił w imieniu genialnego kolegi prof. Broca w Akademii z referatem o stosowaniu hypnotyzmu dla znieczulania przy operacyach chirurgicznych; nowa idea znajduje znowu wielu adherentów, między którymi najwybitniejsze miejsce zajmuje dr. Durand de Gros, piszący pod pseudonymem dr. Philippsa. Gwiazdy fakultetu paryzkiego, jak Brown-Sequard, Broca i t. d., poświęcają swój czas badaniom hypnotycznym; metoda jednak stosowania hypnotyzmu zamiast chloroformu dla znieczulania przy operacyach, nie okazała się w praktyce odpowiednią, gdyż po kilku doświadczeniach dalszych prób zaniechano.

W r. 1866 dr. Liébault z Nancy, daje się poznać światu z nową teorią fizyologiczną hypnotyzmu. Natężenie uwagi na jednym przedmiocie snu, wywołuje nieruchomość ciała, przytłumienie świadomości i zmysłów, zatrzymanie myśli. Liébault zwraca uwagę przedewszystkiem na poddawanie w czasie snu hypnotycznego i stosuje hypnotyzm do leczenia rozmaitych cierpień, tak ostrych jak i chronicznych.

Ażebym wykluczyć wpływ wyobraźni, grającej przy doświadczeniach z ludźmi wybitną rolę, fizyolog Czermak wywołuje i bada zjawiska hypnotyczne u zwierząt, a prof. uniwersytetu jenajskiego Preyer, odkrywa u zwierząt tak zwaną katapleksyą, t. j. nieruchomość i jakby oczarowanie zwierzęcia z przetrachu.

W r. 1875 Karol Richet zwraca uwagę lekarzy na hypnotyzm i wyświeśla przedewszystkiem zjawiska psychiczne somnambulizmu.

Od r. 1878 badaniom hypnotycznym nadał nowy kierunek główny paryzki neuropatolog, prof. Charcot; eksperymentuje on głównie na histeryczkach. Skutkiem powagi i uznania, jaką w świecie naukowym cieszy się oddawna prof. Charcot, hypnotyzm zaczął zwracać na siebie uwagę szerszych kół ludzi nauki, jak fizyologów, lekarzy i psychologów. Pojawienie się zręcznego magnetyzera Donata, stało się nowym bodźcem do wyświeślenia tylu zawilých, a tak tajemniczo wyglądających zjawisk. Charcot, jakkolwiek nie stawia żadnej teorii istoty zjawisk hypnotycznych, podaje jednak nowe sposoby hypnotyzowania, klasyfikuje zjawiska i stwierdza, iż silne światło wywołuje katalepsyą (stężenie mięśni), nagła ciemność letarg, a naciskanie lub tarcie ciemienia—sommambulizm. W r. 1879 duńczyk Hansen zaczął dawać przedstawienia hypnotyczne w Niemczech, a głównie w Berlinie i Wrocławiu; lekarze niemieccy byli wówczas tak mało obznajmieni z tym przedmiotem, iż Hansena zaczęto uważać za szarlatana, i przedstawieniom jego położyła tamę policya. We Wrocławiu eksperymenty hypnotyczne Hansena zwróciły na siebie uwagę znakomitego fizyologa Heidenhain'a, który sam począł robić doświadczenia na swoim bracie i innych studentach medycyny i w zupełności potwierdził eksperymenty, za kuglarza uważanego Hansena. Rezultaty doświadczeń swoich wyłożył prof. Heidenhain w broszurze „O tak zwanym magnetyzmie zwierzęcym“, w której obok prawdziwie naukowego objaśnienia zjawisk hypnotycznych, stawia teorią hypnotyzmu i uważa go jako rezultat zatamowania czynności pewnych okolic mózgowia.

Impuls dany przez znakomitego wrocławskiego profesora, pobudził badaczy do dalszego prowadzenia prac w tym kierunku; zjawiają się też liczne rozprawy i artykuły w tym przedmiocie, ludzi mających już poważne stanowiska w nauce. Preyer, Berger, Grütznern, Weinhold, Bäumler wzbogacają literaturę samodzielniemi roz-

prawami i odtąd hypnotyzm, dzięki powadze tych uczonych, uzyskał prawo obywatelstwa w nauce.

Główném jednak ogniskiem badań hypnotycznych, zostaje po dziś dzień Francya, a zwłaszcza Paryż, gdzie Charcot i liczni jego uczniowie, dokonywają ciągle świeżych badań i zajmują się kwestyą zmian fizyologicznych w czasie snu hypnotycznego.

Obok szkoły paryżkiej, rozwija się równolegle szkoła w Nancy, pod kierunkiem drów Liébaulta i Bernheima. O ile w Paryżu eksperymentują głównie na histeryczkach, o tyle w Nancy przeważnie na zdrowych; stosują przytém hypnotyzm i poddawanie (suggestion) w czasie snu hypnotycznego do leczenia wszystkich chorób, z pominięciem zupełnie innych środków farmaceutycznych i dyetetycznych.

Główną cechą stanu hypnotycznego, jest sen zbliżony do snu zwyczajnego i mniejsze lub większe przytłumienie świadomości. Aby wywołać sen hypnotyczny, posiadamy rozmaite środki. Rozliczne słabe podrażnienia zmysłów, na których skupia się uwaga osoby hypnotyzowanej, a z drugiej strony nagłe, silne podniety, jak nagłe oświetlenie światłem elektryczném, nagłe przejście od światła do zupełnej ciemności i t. d., wywołują u osób wrażliwych na czynniki hypnotwórcze, stan hypnotyczny; Bernheim, a za nim i wielu innych, wywołują go, rozkazując zasnąć lub zamykając powieki i poddając ciągle myśl o śnie. Osoby często hypnotyzowane, usypiają już koncentrując całą swą uwagę na myśl, że mają usnąć. Na ciekawy fakt zwrócił uwagę w ostatnich czasach Bernheim. Wiele osób niehypnotyzowanych, podczas chloroformowania usypia wprzód, nim ma wystąpić sen narkotyczny, a to wskutek skupienia całej uwagi na mającym nastąpić śnie. Jest to więc również sen hypnotyczny.

U osób często hypnotyzowanych, można sam akt zasypiania nawiązać do pewnego słowa, myśli i t. d.; w tym razie sen wystąpi bez żadnego udziału hypnotyzera. Powtarzamy więc, iż skupienie uwagi na pewne wyobrażenie, zupełnie wystarcza do wywołania snu hypnotycznego, który przedewszystkiem zależy od organizacyi układu nerwowego osoby podlegającej hypnotyzmowi. Wiedzieć bowiem należy, iż na czynniki hypnotwórcze wrażliwą jest tylko nieznaczna liczba osób: na 100 osób przypadkowo wziętych, usypia 15—18%; dzieci do lat 14-tu, według Liebausta, usypiają prawie wszystkie. Stan małokrwistości i wyczerpania układu nerwowego, sprzyjają bardzo wystąpieniu stanu hypnotycznego.

Sen hypnotyczny przejawia się u rozmaitych osób w rozmaitych formach, tak iż każda osoba przedstawia właściwy sobie stan hypnotyczny. Charcot rozróżnia u histeryczek trzy stany: letargu, katalapsyi i somnambulizmu; inni badacze różnią się w tém zdaniu od Charcot'a i twierdzą, iż eksperymentując na zdrowych, podobna klasyfikacya zjawisk hypnotycznych przeprowadzić się nie da.

W skutek częstego powtarzania hypnotyzowania na jednę i tęj

samą osobie, wzrasta głębokość snu, tak iż osoby często hypnotyzowane od razu wpadają w sen głęboki, a nawet w somnambulizm.

W jakikolwiek sposób wywołano sen hypnotyczny, hypnotyk zostawiony sobie, zostaje zwykle spokojnie w tém położeniu, jakie nadał mu hypnotyzer i przedstawia uderzające podobieństwo do snu naturalnego. U pewnej liczby osób spostrzedz jednak można lekkie stężenie mięśni twarzy i kończyn dolnych i górnych; wyraz twarzy jest zupełnie beznamiętny, a automatyczny, twarz zwykle jest biała. Jeżeli udało się odrazu wywołać stan somnambuliczny, to występują samoistne marzenia: zahypnotyzowany mruczy mniej więcej wyraźnie, zostawiony jednak sobie wkrótce się uspokaja i po upływie pewnego czasu budzi się samowolnie. Do wywoływania rozmaitych ciekawych zjawisk na hypnotyzowanym, potrzeba zwykle tak zwaną „edukacyi hypnotycznój“; na osobie hypnotyzowanej po raz pierwszy, zwykle się nie udają.

Nagle podrażnienia zmysłów, jak silny stuk, krzyk i t. p., wystarczają zwykle, by obudzić osobę zahypnotyzowaną, zwłaszcza po raz pierwszy; na osoby często usypiane, bodźce te nie działają wcale, tak iż mogą pozostawać w śnie hypnotycznym po kilkanaście godzin.

Często rozkaz, lekkie dmuchnięcie w twarz, zupełnie wystarczają by hypnotyk się obudził. Również w śnie hypnotycznym można poddać usypionemu, iż trzeba by się obudził w tym czasie, lub w takich a takich warunkach i sen zwykle ustępuje.

U osób zupełnie zdrowych, nie możemy zauważyć żadnych szkodliwych następstw po hypnotyzowaniu; często jednak powstaje migrena, zawrót głowy, przechodzące bóle i t. d. Od kilku osób często hypnotyzowanych, słyszałem skargi na utratę pamięci, mocne bóle głowy i niezdolność do pracy umysłowej. Często zjawiskom tym możemy zapobiedz przez poddawanie w czasie snu hypnotycznego, iż po obudzeniu się, żadne chorobliwe zjawiska nie nastąpią.

Osoba często hypnotyzowana, może być obudzona tylko przez samego hypnotyzera. Hypnotyk zwraca zwykle uwagę tylko na jego rozkazy, na inne osoby, obecne przy doświadczeniu, nie zwracając najmniejszej uwagi. Wyćwiczeni dobrze hypnotycy, odczuwają każdy najmniejszy ruch hypnotyzera i poznają jego pociągi nawet z tyłu wykonywane i odróżniają je od pociągów (pasów) osób obcych. Stosunek z inną osobą może powstać tylko na rozkaz hypnotyzera. Zjawisko to, nie dowodzi bynajmniej jakiegoś materialnego wpływu hypnotyzera na osobę zahypnotyzowaną i u osób po raz pierwszy podlegających doświadczeniu, zwykle się nie udaje; jest więc również wynikiem „edukacyi hypnotycznój.“ Udało się również stwierdzić, iż hypnotyk może dowolnie wybrać osobę, z którą pozostaje w stosunku, mimo iż kto inny go hypnotyzuje. Jeżeli hypnotyk usypiając myślał o pewnej osobie, to w śnie zostaje zwykle z nią w stosunku.

Obok zupełnego przyćmienia świadomości, automatyzmu, czu-

cie, u osób zostających w głębokim śnie hypnotycznym, zupełnie ginie. Występuje zupełna bezbolesność (analgezya), tak iż możemy robić przecięcia skóry, szpilki wbijać po sam łepiek, przyczem hypnotyk nie zdradza najmniejszego bólu. Przy doświadczeniach tak zręcznych znanego i u nas Donata, niektórzy lekarze przypuszczali miejscowe znieczulenie skóry za pomocą eteru. Wszystkie zmysły stają się jak gdyby zamknięte: hypnotyk oddziaływa tylko za pośrednictwem zmysłów na rozkaz hypnotyzera i to jeśli istnieje stosunek. Jednym słowem, zahypnotyzowany staje się zupełnym autodem, zależącym od woli hypnotyzera, manekinem, któremu można nadać najrozmaitsze pozycye. Każda myśl wypowiedziana przez hypnotyzera, odbija się w mózgu hypnotyka; widzimy więc, iż umysł jego staje się kompletną tabulą rasa, na której wypisać możemy wszystko, co zechcemy. Pomimo nieruchomości pozornój, pewne oddziały mózgu zachowują taką wrażliwość, że każdy ruch, każde słowo hypnotyzera, wywołuje odpowiednie wyobrażenie, a to—odpowiedni ruch; hypnotyk staje się istnem echem hypnotyzera, powtarza każde jego słowo i każdy ruch. Wskutek tej wrażliwości mózgu, można u hypnotyka wywoływać rozmaite iluzye i halucynacye: możemy mu dać chininę, a wmówić że je cukier i zahypnotyzowany będzie twierdził, że jest bardzo słodki; możemy mu dać kartofel i wmówić, że je smaczną gruszkę, a twarz jego będzie wyrażać zadowolenie z tak smacznego owocu. Hypnotyk może zmieniać swą osobowość: możemy np. młodej panience wmówić, że jest generałem, a przybierze ona zaraz odpowiednią postawę i odpowiednie ruchy. Wszystkie te halucynacye, według znanego psychiatry Maudsley'a, są zupełnie podobne do widzeń sennych, w których możemy siebie widzieć w najrozmaitszych stanach.

Wskutek poddawanych wyobrażeń, zmieniają się i niektóre czynności fizyologiczne organizmu, jak: czynność serca, oddychanie, częstość pulsu, występuje pot i t. d.

Nietylko hypnotyzjer może poddawać wyobrażenia i myśli hypnotyzowanemu, ale ten ostatni może sam poddawać sobie rozmaite myśli, halucynacye i usypiać sam siebie. Znanie są w literaturze wypadki chorób nerwowych wskutek imaginacyi; znakomity neuropatolog Erb, opisuje wypadki porażenia rąk, wskutek wyobrażeń, a i inni badacze obserwowali wypadki analogiczne.

Wszelkie, nabyte poprzednio przez hypnotyka wiadomości, wpływają na zachowanie się jego w czasie snu hypnotycznego; ten sam wpływ wywiera i edukacya, czyli wychowanie hypnotyczne. Lekarze paryzcy Binet i Féret, podali szereg zajmujących doświadczeń, w których magnes wywoływał u hypnotyków tak zwany transfert, t. j. przenoszenie się z jednej połowy ciała na drugą skurczów, porażień, znieczulenia i t. d. Dr. Bernheim w Nancy, powtarzając te doświadczenia, dopóty nie otrzymał identycznych rezultatów z doktorami Binet i Féret, dopóki nie poddał hypnotycze w stanie hypnotycz-

nym, iż kontraktura (przykurczenie), ma się pod wpływem magnesu przenieść z jednej ręki na drugą, poczem wszystkie doświadczenia z transfertem zaczęły się udawać tak i u tej choréj, jak i u innych, które przy tém doświadczeniu były obecne. Widzimy więc, iż tutaj poddawanie (wmówienie) i imitacya (naśladownictwo) grają główną rolę.

Ten sam wynik otrzymał Bernheim i przy studyowaniu w stanie hypnotycznym lokalizacyi (umiejscowienia) czynności mózgowych. Wiadomo iż w ostatnich czasach Ferrier, Hitzig, Meynert i t. d. odkryli w mózgu ośrodki ruchu dla kończyn górnych i dolnych; oddawna zaś znanym już jest ośrodek mowy, wykryty przez prof. Broca, a mieszczący się w trzecim lewym zawoju czołowym. Otóż niektórzy badacze utrzymywali, iż naciskanie ręką tych lubinnych części czaszki, wywołuje porażenie tej części mózgu, która leży pod miejscem ucisku. Otóż naciskając w okolicy zwoju Broca, można wywołać afazję. Liczne doświadczenia dra Bernheim'a wykazały, iż jeżeli hypnotyk wie, że ma nastąpić porażenie mowy, lub widział to u innych hypnotyzowanych, skutek zawsze będzie dodatni, w przeciwnym razie—ujemny. Przy wszystkich więc doświadczeniach, należy brać w rachubę zawsze tak zwane wychowanie hypnotyczne, poddawanie i pociąg do naśladownictwa, który przy bezwłasnowolności hypnotyka, jaskrawo występuje.

Co do zmian pulsu i oddychania w stanie hypnotycznym, to według jednogodnych poglądów wszystkich badaczy, oddychanie staje się nierówne, tętno się nieco przyspiesza. Nadto zasługuje na uwagę ciekawy fakt, iż wskutek poddawania zahypnotyzowanej osobie, iż puls przyspiesza się lub opóźnia, można wywołać istotne zmiany w tętnie, t. j. opóźnienie lub przyspieszenie. Ciekawym i pouczającym pod tym względem, jest następujący przykład: Eliza F., pacjentka aptekarza Focachon, uśpiona, tętno 98; poddano, iż ma nastąpić zwolnienie, tętno 92,4 nieprawidłowe; poddano powrót do stanu prawidłowego: 102. Poddano przyspieszenie: 115! Jakże widocznym jest tutaj wpływ poddawanych wyobrażeń, na funkcye fizjologiczne organizmu!

Podczas snu hypnotycznego często występuje zwięźnienie naczyń w skórze twarzy, wskutek czego cera twarzy staje się bladą. Lecz znowu wskutek poddania, można wywołać zmiany w świetle naczyń, a nawet i pewne zboczenia odżywcze. Dr. Beaunis z Nancy podaje, iż oznaczając na tém lub drugiem miejscu pewną przestrzeń i poddając, że na tej przestrzeni wystąpi zaczerwienienie, udało mu się wywołać istotnie plamę czerwoną, która zjawiała się w 10 minut po obudzeniu i po 15 minutach przeszła. Jeszcze ciekawszą jest obserwacya drów Burot i Bourru, którzy obserwowali u jednego histero-epileptyka wskutek poddania krwawienie z nosa; choremu w stanie hypnotycznym poddano, iż wieczorem ma pójść do gabinetu, siąść na fotelu, skrzyżować ręce i że przytém wystąpi krwawienie z nosa.

Chory wykonał wszystko według rozkazu i po kilku chwilach spokojnego siedzenia, wystąpiły krople krwi. Spostrzeżenie to nader cennym jest dla fizjologii i medycyny, jasno dowodzi bowiem, iż w stanie hypnotycznym, wskutek poddawania wywołać możemy nawet zmiany nutrycyjne (odżywcze), co w pewnych przypadkach da się spożytkować w celach terapeutycznych. Ciekawe zjawiska obserwował również dr. Mabile, który miał chorą, a która przez samopoddanie mogła wywołać u siebie krwawe plamy z wycieczkami krwi. Z cudów tego rodzaju słynęła Ludwika Lateau; tymczasem mniemane cuda doskonale dadzą się objaśnić, iż Ludwika Lateau musiała być histeryczką, wrażliwą na czynniki hypnotyczne i w czasie snu hypnotycznego poddawała sobie wylewy krwi (stygmaty).

Wszystkie te fakty, są jednak zawsze wyjątkowe i nie wszystkim badaczom udało się je wywoływać. Przez poddawanie można po przyłożeniu marki pocztowej wywołać pęcherze z następnym ropieniem, jak po użyciu wezykatoryi. Doświadczenia te jednak nie przedstawiają cech absolutnej pewności, gdyż zmiany opisywane nie występowały w obecności lekarzy; zjawisk tych, równie interesujących jak ważnych dla nauki, inni badacze nie obserwowali. Wiedząc z nowszych postępów fizjologii o wpływie czynników psychicznych na tętno i światło naczyń krwionośnych, pojmujemy łatwo zmiany, występujące wskutek poddawania. Nawet słabsze podrażnienia, jak np. czoła jednym włoskiem, wywołują w narządzie krwionośnym szereg zmian, które trwają jeszcze po usunięciu podnieci. Naczynia obwodowe zwężają się, naczynia zaś krwionośne w układzie nerwowym rozszerzają się, jednocześnie występują też wyraźne zmiany w tętnie. Nie tylko wpływy i podrażnienia psychiczne, ale już wyobrażenia tych stanów, wywołują zmiany w układzie krwionośnym; prof. Botkin cytuje jednego chorego, u którego tętno ulegało zwolnieniu, gdy myślał o smutnym stanie swego zdrowia. Fothergill przekonał się, że u pewnego młodego człowieka, każde skupienie uwagi na jeden przedmiot, wywoływało zwolnienie tętna. Mając fakty te na względzie, wnioskować możemy, iż nie stan hypnotyczny jedynie wywołuje zmiany w tętnie i w naczyniach krwionośnych, ale że przeważnie wpływ psychiczny gra tutaj wybitną rolę.

Stan hypnotyczny podnosi wrażliwość zmysłów, przynajmniej u niektórych osób; w każdym razie obok przytłumienia świadomych czynności mózgu, sfera czynów odruchowych (nieświadomych), jest bardzo obszerną. Obok zatamowania funkcji pewnych okolic mózgu, inne znajdują się w stanie podrażnienia, jak np. centra zmysłowe. Szczególniej bardzo często zaostrza się zmysł powonienia; już Braid podaje, że niektórzy hypnotycy byli w stanie rozpoznać chustki od nosa i rękawiczki dziewięciu i więcej osób, z którymi się po raz pierwszy spotykali, posługując się li tylko powonieniem. Już z początku nadmieniliśmy, iż hypnotyk rozpoznaje pociągi hypnotyzera

nawet z tyłu i odległości od innych osób; dotyk i słuch odgrywają tutaj najważniejszą rolę. Również często i wzrok się zaostrza.

Jedną także z wybitnych cech stanu hypnotycznego stanowi podwyższenie wrażliwości nerwowo-mięśniowej. Bardzo łatwo wywołać można tę zec miejscowy lub ogólny u osób zahypnotyzowanych. Mowa, wskutek stężenia mięśni do żucia służących, staje się tak niejasną, iż z trudnością zrozumieć można wymawiane wyrazy. Kurcze i ściągi pojedynczych członków można wywoływać również przez poddawanie bez udziału innych podrażnień zewnętrznych. Tę zec np. ręki lub nogi, wywołany za pomocą pociągnięć ręki na znacznej przestrzeni, może być usunięty przez każde silniejsze podrażnienie, a nawet na rozkaz hypnotyzera może ustąpić. Nie ulega kwestyi, iż te zmiany w czynnościach mięśni zależą od pewnych modyfikacyi w czynnościach mózgowych, przypominają one bowiem obrazy chorobne, występujące przy uszkodzeniu ruchowej powierzchni kory mózgowej.

Jak już pierwój dokładnie zaznaczyliśmy, świadomość i wola giną u hypnotyków zupełnie. Bez w ł a s n o w o l n o ś ć (abulia) i a u t o m a t y z m, cechują dokładnie stan hypnotyczny; dla tego to hypnotyk jest tak wrażliwym na każdą myśl i ruch, poddany przez hypnotyzera. Po przebudzeniu się, hypnotyk o niczém nie pamięta. Na zapytania odpowiada logicznie, wie gdzie jest i jak się nazywa, poznaje znajome sobie osoby i może wykonywać rozmaite czynności czysto mechanicznie, np. pisać, czytać, grać na fortepianie i t. d. W odpowiedziach swoich niczém hypnotyk się nie krępuje; uczucie wstydu ginie zupełnie; panny np. na rozkaz hypnotyzera zdejmują z siebie ubranie i opowiadają wszystkie tajemne żądze... Słusznie też twierdzi dr. Beaunis z Nancy, iż w czasie snu hypnotycznego stan moralny hypnotyka objawia się w całej nagości. Na zapytanie o czém myśla, odpowiadają zwykle, że o niczém. U niektórych osób spostrzeżenie nieświadome i przypominanie faktów wcześniej spostrzeżonych, odbywa się łatwiej w stanie hypnotycznym, aniżeli w stanie czuwania.

Każdy stan wywołany przez hypnotyzera, utrzymuje się u hypnotyka tak długo, zanim zostanie wywołany stan inny; cała więc czynność umysłowa hypnotyka, nosi na sobie ów nieświadomy, od-ruchowy charakter. Jeżeli popęd jest dany i maszyna ta zostanie w ruch wprawiona, może funkcjonować bardziej prawidłowo, aniżeli w stanie czuwania. Wrażliwość mózgu hypnotyka bywa tak znaczną, iż każde słowo wypowiedziane do niego, każdy ruch, wywołują pewne wyobrażenie lub uczucie; można mu przytém wmawiać myśli najnie-dorzeczniejsze, np. że jest zupełnie inną osobą, a hypnotyk zastosuje się w całym zachowaniu do charakteru nowój osobowości. Jeżeli np. poddamy mu iż jest czworonożnym zwierzęciem, to chodzić będzie na czworakach i udaje kota lub mysz; jeżeli to wyobrażenie poddamy dwom hypnotykom jednocześnie, to według słów Delboeufa, kot bę-

dzie czatował na mysz. Jeżeli poddawać będziemy hypnotykowi ciągle nowe role, to będzie on zmieniał postawę, a nawet i charakter pisma, stosownie do nowej osobistości. W ogóle wmówić możemy hypnotykowi wszystko co chcemy i doświadczenia zmieniać do nieskończoności.

Jeżeli pewna osoba wielokrotnie była hypnotyzowaną, to ta wrażliwość na poddawanie istnieje i na jawie. Mówiąc z początku o sposobach usypiania, nadmieniliśmy, iż osobie często hypnotyzowanej możemy wmówić, iż wśród pewnych, określonych warunków, o tej a o tej godzinie usnie, sen też zwykle następuje. Również w podobny sposób wywołać możemy kurcze, paraliż, halucynacje i t. d., zupełnie jak w stanie hypnotycznym. Hypnotyk niby czuwa, nie jest to jednak stan świadomości umysłowej zupełnej, ale zawsze częściowe uspienie pewnych okolic mózgu, czyli częściowo somnambulizm. Przy próbach tego rodzaju spostrzegać można wszystkie stany przejściowe od stanu czuwania, do głębokiego snu.

Zasługuje nakoniec na naszą uwagę obok poddawania w stanie hypnotycznym i na jawie, poddawanie również w stanie hypnotycznym, z tą różnicą, że poddany rozkaz ma być wykonany po przebudzeniu się zaraz lub w kilka minut, dni, tygodni, miesięcy i t. d.; a więc niby na jawie. Poddawania te wykonywają hypnotycy niekiedy z wielką ścisłością, jak to nam parę przypadków bliżej wykażą.

Dr. Bernheim powiada do jednej ze swoich pacjentek, zahypnotyzowanej, że po obudzeniu się będzie widziała u jednego z obecnych brodę ogoloną do połowy i olbrzymi srebrny nos. Po obudzeniu się hypnotyczka rozgląda się czas jakiś po pokoju i gdy skierowała swój wzrok na wymienioną osobę, uśmiecha się i zapytuje: „czyś pan przegrał zakład, żeś musiał brodę ogolić z jednej strony; a to co za nos!“ i tak w dalszym ciągu widzi osobę taką, jaką jęj poddał prof. Bernheim.

Voituron opisuje następujący przypadek w podobnym rodzaju: pewnemu aptekarzowi, znajdującemu się w towarzystwie lekarzy, poddano w śnie hypnotycznym, że w pięć minut po obudzeniu się z niego, ma pójść do apteki, znajdującej się niedaleko i przynieść flaszkę amoniaku; po obudzeniu się, hypnotyk spojrzął na zegarek i zaczął rozmawiać z obecnymi; w kilka minut spojrzął powtórnie na zegarek i wyszedł do miasta, nie mówiąc nic dokąd idzie; po pewnym czasie wrócił, niosąc flaszkę amoniaku i dalej spokojnie rozmawiał. Po upływie kilku minut zapytuje jednego z obecnych, czy wychodził na miasto, czy nie; jakkolwiek więc wykonał poddaną czynność (przyniesienia flaszki amoniaku) w stanie na pozór przytomnym, zadane jednak pytanie świadczy, iż przytomność umysłu była znacznie przytłumioną.

Jednemu ze swoich hypnotyków prof. Cybulski poddaje w śnie hypnotycznym, że w pół godziny po obudzeniu się, ma postawić na środku pokoju cztery krzesła, na tych pięcie i na tém ostatniem

usiąść; obudzić się zaś ma w 10 minut. Hypnotyk przez 10 minut zostaje w spokoju, czasem tylko otwiera oczy. Po 10-ciu minutach według rozkazu budzi się, przeciera oczy, chodzi po pokoju, pije wodę, pali podany papieros, rozmawia jednak niechętnie i wygląda, jak gdyby był nieprzytomny; po upływie dwudziestu kilku minut szybko udaje się na środek sali, z hałasem odsuwa stół, który przeszkadzał ustawieniu krzesel w samym środku, nakoniec ustawia cztery krzesła, na nich piąte, zgrabnie wchodzi na to ostatnie, siada na niem i siedzi kilka minut, następnie zeskakuje, na twarzy maluje się uśmiech zadowolenia, budzi się zupełnie; rozmawia, zdradzając teraz dopiero najzupełniejszą przytomność i o niczym nie pamięta. Ten ostatni fakt najlepszym jest dowodem, iż cały rozkaz spełniony był w stanie somnambulicznym.

Delboeuf poddaje w śnie hypnotycznym swojej służącej, że na zajutrz o 9-tój z rana ma przyjść do niego i uczesać mu brodę. Na zajutrz, zaledwie pięć minut po 9-tój, wchodzi służąca, niosąc grzebień w rękę, a senny wyraz twarzy zdradza stan hypnotyczny. W chwili gdy zabiera się do czesania brody, Delboeuf dmucha jej w twarz, służąca się budzi, wyraz jej twarzy staje się zwyczajnym i przytomność teraz dopiero wraca zupełnie.

Przez „poddawanie terminowe“ można hypnotyków pozbawić zmysłów, wzmóc paraliż tego lub owego członka, wywołać niewysłowność (afazję), zmienić osobowość i t. d.

Wracając do zasadniczej kwestyi, w jakim stanie wykonywają hypnotycy poddania terminowe, to nadmienić musimy, iż ona dotąd stanowczo rozstrzygniętą nie jest. Jakkolwiek znaczna część badaczy uważa stan ten za prawidłowy, to jednak na podstawie obserwacji ścisłych Delboeufa i protokołów spisanych innych autorów, twierdzić można z całą pewnością, że hypnotycy wykonywający pewne czynności po obudzeniu się, nie czuwają prawidłowo, t. j. nie odzyskali zupełnej świadomości umysłu. Za tym poglądem przemawia przedewszystkiem ten fakt, że po wykonaniu czynności poddanej, hypnotycy budzą się albo sami, lub też trzeba ich obudzić i zwykle nie wiedzą o niczym. Przy poddawaniach, z terminem wykonania zaraz po obudzeniu, budzenie jest jakby środkiem przeprowadzenia hypnotyka ze snu głębokiego (letargu) do stanu somnambulicznego, czyli snu mniej głębokiego. Dodać należy, iż stan ten somnambuliczny, u różnych indywidualów przedstawia cechy indywidualne i niekiedy tak jest zbliżony do stanu czuwania, iż na pierwszy rzut oka trudno jest określić, czy to jest sen czuwania, czy też sen somnambuliczny. Również w tych wypadkach, kiedy poddana czynność ma być wykonaną w kilka dni lub tygodni po przebudzeniu się, czynność zostaje wykonaną niewątpliwie w stanie somnambulicznym.

Musimy dodać, iż poddawania terminowe nie udają się u wszystkich hypnotyków i że poddana czynność nie zawsze jest wykonaną z jednakową ścisłością; raz jeszcze zwrócimy uwagę na fakt,

nie dość może zaakcentowany w rozprawie prof. Cybulskiego, iż poddawanie na jawie, udaje się u osobników, u których częsta praktyka hypnotyczna wytworzyła już pewne zmiany w systemie nerwowym, t. j. automatyzm i bezwładność.

Oprócz przytoczonych już zjawisk, wywołać można cały szereg innych; można np. wmówić w stanie hypnotycznym, że po przebudzeniu się, pojawi się ból w pewnym miejscu, swędzenie i t. d. Nie można wątpić, iż stan hypnotyka jest wówczas równie somnambulicznym. Jeżeli poddamy np., że hypnotyk po przebudzeniu dozna bólu w palcu lewej ręki, to hypnotyk przez cały ten czas, w ciągu którego ma trwać poddanie, zachowuje się w wysokim stopniu nienaturalnie, patrzy ciągle na palec, w którym ma doznać bólu, nie chce mówić o niczym innym. Po upływie oznaczonego czasu, budzi się i nic nie wie o bólu jakiego miał doznawać i t. d. Nie ulega wątpliwości, iż tutaj poddane wyobrażenie, ogarniając całą sferę świadomości, nie pozwala dochodzić do niej innym wrażeniom zmysłowym.

Podczas jednego stanu hypnotycznego, można poddać kilka czynności w różnych terminach do wykonania; poddania te wpadają się jednocześnie we wrażliwy mózg hypnotyka, który wykonywa je mniej więcej dokładnie w oznaczonych terminach. Jak długie mogą być te terminy, na to stanowczej odpowiedzi dać nie można; dr. Beaunis poddał pewną halucynację na termin wykonania 173 dni i halucynacja miała miejsce, a dr. Liébault poruczył wykonać innemu hypnotykowi bardzo złożoną czynność, którą wykonał w rok od czasu poddania.

Z przytoczonych obserwacji widzimy, że poddawanie na oznaczone terminy tęp się różni od poddawania w stanie hypnotycznym i zaraz po obudzeniu, że od stanu hypnotycznego do chwili mającego się wykonać poddania, upływa pewien czas, w przeciagu którego hypnotyk zdaje się mieć zupełną świadomość; Delboeuf podaje jednak zaraz jako objaśnienie, iż hypnotycy, nawet z jednodniowym terminem wykonania, skarżyli się na nieokreślony niepokój, który sprawiał im taką przykrość, iż prosili go, by doświadczeń tego rodzaju zaniechał. Nie należy też wykonywać często eksperymentów tego rodzaju, gdyż samo hypnotyzowanie zostawia szkodliwe ślady na systemie nerwowym, jak bóle i zawroty głowy, niezdolność i nieusposobienie do pracy umysłowej, rozdrażnienie i t. d.

Co nas najbardziej uderza przy poddawaniach terminowych, to dokładność, z jaką hypnotyk wykonywa czynność zaleconą; zauważyć jednak trzeba, iż dokładność ta nie zawsze bywa jednakową. Jeżeli np. poddamy, że hypnotyk ma pewną czynność wykonać w pół godziny po przebudzeniu się, to jeden hypnotyk wykona ją po kwadransie, drugi po dwudziestu kilku minutach, trzeci po trzech kwadransach i t. d.; w ogóle nie ma tutaj zegarowej dokładności.

Na podstawie przytoczonych faktów, możemy już podać głównie cechy stanu hypnotycznego; bezwątpienia powstaje on wskutek po-

wnych zaburzeń w funkcjach mózgowych osoby zahypnotyzowanej: wola i świadomość są znacznie obniżone, powstaje tylko zdolność do czynów nieświadomych; hypnotyk staje się a u t o m a t e m zupełnie zależnym od wpływów zewnętrznych, na które oddziaływa dosyć dokładnie, lecz oddziaływanie to możnaby nazwać „odruchem psychicznym.“ Obserwując zjawiska w innych stanach, można zauważyć, że w stanie zupełnego zdrowia i przy zupełnej świadomości, można przez poddawanie wywoływać pewne wyobrażenia i odpowiednie do tych wyobrażeń ruchy, tak np. jeżeli w oczach kilku osób nalewa się wodę do szlanki i z przekonaniem powiada, że woda zamieniła się w ocet, i prosi się o skosztowanie, to chociaż wszyscy kosztujący oświadczą, że woda bynajmniej nie jest kwaśną, pewne jednak wrażliwe osoby, robią minę taką, jak gdyby piły ocet; także, jeżeli się wspomina o pewnych niemiłych zwierzętach, lub udaje, że się je wypuszcza, to pewne osoby jakkolwiek są mocno przekonane, że tych zwierząt niema, robią jednak grymasy i zdradzają w wyrazie twarzy wstręt widoczny usuwając się od osoby poddającej. Różnymi stanom psychicznym i wyobrażeniom towarzyszyć mogą różne zmiany w czysto cielesnych funkcjach organizmu. Lekarz francuzki Richet wspomina pewnego młodzieńca, któremu dość było wspomnieć przy obiedzie o szczurach, by tracił zupełnie apetyt i dostawał mdłości. Pewien prokurator przed mającą nastąpić ekshumacją zwłok bardzo się tym niepokoił, że trup będzie cuchnął. Gdy wydobyto trumnę przed odkryciem wieka poczuł już okropny zapach i zemdlął; tymczasem pokazało się, że ciała w trumnie wcale nie było. Nie będziemy dalej rozszerzać się nad tym, nadmieniliśmy bowiem już kilkakrotnie, jak doniosły wpływ na funkcje fizjologiczne mają wpływy i czynniki psychiczne odpowiadające stanom czynnym pewnych części kory mózgowej. Znacomity petersburski lekarz prof. Botkin wykazał nawet zmiany w objętości śledziony, zależne od uczuć i affektów. Nadto zasługuje na uwagę ciekawy fakt, iż często wyobrażenie o działaniu pewnego środka, wywołuje taki sam skutek, jak dany środek, zupełnie mimo woli i świadomości badanego. Wiemy również, że wskutek skierowanego na to wychowania i ciągłego ćwiczenia, wrażliwość naszych zmysłów może się bardzo zaostriżyć. Tak np. ślepi odznaczają się zwykle wysoko rozwiniętym zmysłem dotyku, u innych słuch jest do tego stopnia subtelny, iż znajomych poznają z chodu. Dzicy ludzie odznaczają się w ogóle ostrością zmysłów, poznają ślady nieprzyjaciół za pomocą węchu. Uчени Preyer, Tarchanow i Sikorski dokładnie wykazali, iż tak zwane „odgadywanie myśli“ w doświadczeniach Bichopa, Kumberlanda i wielu innych, polega wyłącznie na odczuwaniu ruchów osoby, która temat obmyśla. Spiro wykazuje, że wywoływanie duchów, rozmowa z nimi i ich ukazywanie się w doświadczeniach spirytystycznych polegają na halucynacjach, które się pojawiają u niektórych osób wskutek skupienia uwagi i mocnej wia-

ry, że dane nazwisko nastąpić musi, niejako więc wskutek samooddania, gdyż osoby niewierzące nigdy nic podobnego nie widzą.

Również przy rozmaitych stanach patologicznych układu nerwowego, spotykamy się ze zjawiskami analogicznymi do obserwowanych w stanie hypnotycznym; katelepsyja, kurcze, znieczulenia, porażenia i t. d. spotykają się w obrazie chorobowym zwanym histeryą. Oprócz tego przy uszkodzeniach pojedynczych części mózgu, lub zmianach w krążeniu krwi i odżywianiu, spotykamy rozmaite zaburzenia w czynnościach psychicznych: utratę świadomości, złudzenia zmysłowe, ruchy automatyczne, stosowanie się do rozkazów drugiej osoby, niewolnicze powtarzanie jej słów i t. d. U osób histerycznych spotykamy również nadczułość zmysłów, nie ustępującą zupełnie obserwowanej w stanie hypnotycznym. Doświadczenia wykonane na somnambulikach naturalnych, wykazały, że poddawanie pewnych myśli i wyobrażeń udaje się u nich bez stanu hypnotycznego; także u gorączkujących z przytłumieniem świadomości poddawać można różne halucynacje zupełnie podobnie jak w stanie hypnotycznym.

Widzimy więc, że stan hypnotyczny nie przedstawia takich zjawisk specyficznych, którychbyśmy nie mogli obserwować w pewnych stanach patologicznych a zwłaszcza szarej korowej substancji mózgu. Przechodzimy więc do wniosku, iż hypnotyzm jest sztucznie wywołaną chorobą nerwową (nerwicą).

Ze w stanie hypnotycznym chodzi przede wszystkim o zatamowanie pewnych czynności mózgowia, pod tym względem zdają się zgadzać wszyscy badacze. Ojcem tej teorii, opierającej się na faktach fizjologicznych, jest prof. Heidenhain z Wrocławia. Osoba hypnotyzująca się wskutek skupienia uwagi na pewną myśl lub wyobrażenie, pozbawia siebie dowolnie możliwości otrzymywania innych wrażeń zmysłowych ponieważ to skupienie uwagi tamuje czynność innych ośrodków kory mózgowej, wrażenia wtedy otrzymywane nie dochodzą do świadomości. Wszak i w codziennym życiu, często możemy obserwować fakt, że natężywszy uwagę na jedną myśl, inne podniety zmysłowe nie dochodzą do naszej świadomości, zupełnie pochłoniętej przez dane jedno wyobrażenie. Nie otrzymując zaś wrażeń niezbędnych do utrzymania świadomości, hypnotyk usypia, przytém wszystkie ośrodki mózgu, biorące udział w czynnościach dowolnych i świadomych, zostają zatamowane. Sen hypnotyczny różni się jednak znacznie od snu zwyczajnego, gdyż w pierwszym ulega tylko zatamowaniu szara korowa warstwa mózgu, gdy w śnie zwyczajnym pobudliwość całego systemu nerwowego bywa obniżoną z wyjątkiem ośrodków nerwowych, podtrzymujących sprawy krążenia i oddychania. Pobudliwość systemu nerwowego w śnie zwyczajnym tém więc się zmniejsza, im sen jest głębszy. W somnambulizmie naturalnym mamy zupełnie analogiczny stan do snu hypnotycznego. Tak samo tutaj jak i w hypnotyzmie, mamy tylko

zawieszenie czynności szarej korowej warstwy mózgu, będącej siedliskiem aktów świadomych i najwyższych procesów psychicznych; brak czynności świadomych sprawia, iż pobudliwość niższych warstw mózgu i rdzenia pacierzowego się zwiększa i dla tego to hypnotyk bywa wrażliwym na podniety zewnętrzne wywołujące szereg czynów automatycznych bez udziału świadomości.

We wszystkich zjawiskach hypnotycznych odnaleźć zawsze możemy tę wspólną cechę, że sprawa uświadomienia jest zawsze przytłumioną a wszystkie czynności wykonywa hypnotyk jakby odruchowo. Od natury organizacyi układu nerwowego zależy mniejszy lub większy stopień łatwości, z jaką zostają zataмовane czynności tych lub innych oddziałów mózgu.

Sprawa ta zataмовania czynności pewnych okolic mózgu następuje tém łatwiej, im częściej się odbywa; dla tego też sen hypnotyczny przychodzi tém prężej, im częściej dana osoba ulega doświadczeniom hypnotycznym.

Układ nerwowy, którego najwyższa czynność t. j. świadomość tak łatwo ulega zawieszeniu, nie może być w stanie równowagi. Nadmieniliśmy już, iż zjawiska podobne obserwować możemy tylko w stanach patologicznych układu nerwowego. Pomimo więc faktu, iż stan hypnotyczny wywołać można i u osób zupełnie zdrowych, wypada go również zaliczyć do kategorii zбочeń funkcjonalnych systemu nerwowego. Za tym wnioskiem przemawia także obserwacya, że stan ten najłatwiej wywołać możemy u osób nerwowych, cierpiących na pewne zaburzenia w funkcyach systemu nerwowego. Zależy on więc również od pewnych zбочeń w czynnościach mózgowych i to prawdopodobnie od zбочeń w działaniu impulsów tamujących na ośrodki świadomych czynności mózgu. W każdym razie nie ma żadnej potrzeby mówić dzisiaj o płynach magnetycznych, o przelewaniu energii z jednego układu nerwowego nad drugi i t. d., wszystko to są bowiem nienaukowe tłumaczenia przedmiotu.

Popularyzowanie hypnotyzmu i hypnotyzowania może przynieść dotkliwą szkodę pewnym jednostkom społeczeństwa. Zupełna utrata świadomości i bezwłasnowolność czynią hypnotyka w zupełności zależnym od hypnotyzera, który może stan ten wyzyskać w zupełności na swą korzyść. Istnieją również fakta, które świadczą, iż można w stanie hypnotycznym wymódz najrozmaitsze obietnice, przyrzeczenia a nawet podpisywanie weksli i t. d. Także hypnotycy, którym można poddać wykonywanie rozmaitych czynności na dłuższe terminy, mogą w stanie tym wykonywać rozmaite przestępstwa, dopuścić się kradzieży, zabójstwa i t. d. Wszystko to wykonywyć będzie hypnotyk nieświadomie, bezwłasnowolnie tak iż w stanie takim należy uważać go za niepoczytalnego. Również przy sądowych badaniach, można używać hypnotyków jako fałszywych świadków, gdyż nawet w stanie czuwania, może hypnotyk kilkakrotnie powtarzające się halucynacye w skutek poddawania, uważać za fakty realne.

Częste hypnotyzowanie może wywołać stan wyraźnie chroblivy układu nerwowego. Osoby nabierające zdolności do samousypiania się w skutek powtarzanych często prób hypnotycznych, usypiają już przy każdym zamknięciu powiek. Osoby, u których łatwo wywołać poddawanie, dochodzą w stanie czuwania do tego, iż każda myśl wypowiedziana przez inną osobę, staje się dla nich poddaną i wywołuje albo odpowiednie halucynacje lub też uczucie bólu i może służyć jako bodziec do pewnych czynów. Osoby takie zawieszono są ciągle między światem świadomym a nieświadomym a w końcu stają się niezdolnymi do wszelkich samodzielnych czynności; po zaprzestaniu hypnotyzowania, umysł ich prędko odzyskuje stan prawidłowy

Z tego to względu hypnotyzm postawić należy w rzędzie środków niebezpieczniejszych niż chloroform, alkohol i inne trucizny, które przeważnie szkodzą tylko nieszczęśliwym ofiarom tych środków, i jeżeli istnieją kary i przepisy wzbraniające wydawania tych narkotyków, powinny być wydane przepisy ograniczające wolność hypnotyzowania. Hypnotyzm nie powinien być przedmiotem zabaw salonowych dla chciwych nowych wrażeń mas, a tém bardziej nie powinien być środkiem zarobku w rękach magnetyzerów z profesyi. Nie pozwolono by nigdy na urządzenie salonów dla chloroformowania, wywoływania napadów histerycznych i t. d.

Co do zastosowania leczniczego hypnotyzmu, wchodzącego znowu na porządek dzienny, to skuteczność jego polega najprawdopodobniej na wierze w działalność pewnego środka. Wszak na tym samym czynniku polega skuteczność metody elektro-homeopatycznej hr. Mattei'a, zażęgniwań rozmaitych owczarzy, metaloterapii Burq'a; chodzi tutaj o działanie wyłącznie psychiczne. W ciągu niniejszego artykułu przytoczyliśmy liczne dowody wpływu czynników psychicznych na funkcje cielesne organizmu; w podobny sposób mogą czynniki czysto duchowe wpływać i na pewne symptomy chorobowe, jeżeli co najważniejsza istnieje wiara lub mocne przekonanie, że to musi nastąpić. Przekonanie chorego o skuteczności pewnego środka, jest tutaj *conditio sine qua non*. Przypadek dowodzący potężnego wpływu czynników psychicznych i wiary w zastosowany środek, przytacza dr. Sobernheim. Lekarz ten nie będąc w stanie usunąć porażenia języka u pewnego chorego, postanowił zastosować przyrząd własnego pomysłu i obiecał choremu, że teraz właśnie oczekiwany skutek nastąpić musi. Przed zastosowaniem owego przyrządu chciał zmierzyć temperaturę pod językiem i w tym celu włożył termometr do jamy ustnej; chory, biorąc termometr za ów cudowny leczniczy przyrząd, w tej chwili odzyskał mowę. Prof. Bernheim przytacza analogiczny wypadek: u chorób cierpiącej na niewysłowność (afazję) miano zastosować prąd elektryczny, lecz przyłożenie ręki do czoła z mocnym zapewnieniem że może mówić, wystarczyło w zupełności do usunięcia afazji. Przykładów takich można nacytować bez liku. Słusznie też zupełnie twierdzi dr. John Tanner, że zaczyna-

jąc kuracją magnetyzmem, należy przekonać chorego, że pomyślny skutek nastąpić musi i jeżeli tego nie dopniemy, cała kuracja nie przyniesie najmniejszego pożytku.

Ponieważ u osób wrażliwych na czynniki hipnotyczne, bardzo łatwo poddać można każdą myśl i to prawdopodobnie nawet bez hipnotyzowania, łatwo jest więc w indywidualach tego rodzaju wyrobić pewne przekonanie. Z drugiej strony wpływu tego psychicznego jak to czynią niektórzy hipnotyzerzy przeceniać nie należy, gdyż tam gdzie są zmiany anatomiczne, wpływ ten musi pozostać bez skutku. Nawet sam prof. Bernheim pierwszy propagator leczenia poddawaniem (sugestyą) w czasie snu hipnotycznego, przytacza przykłady, w których leczenie to było bez najmniejszego skutku. Wiara jednak u publiczności w hipnotyzm istnieje, w skutek braku ścisłych danych statystycznych i dokładnych klinicznych spostrzeżeń. Ocenić wpływ hipnotyzmu pod tym względem możnaby tylko wtenczas, gdyby go zastosowano w przypadkach jednorodnych i jeżeliby rezultaty otrzymane porównano z działaniem w podobnych przypadkach innych metod. Dotychczasowe przypadki, opisane przez propagatorów leczenia hipnotycznego jak d-rów Liébault'a, Bernheim'a i t. d. bez ściśle umotywowanej dyagnozy i porównania z działaniem innych metod leczniczych, nie mają żadnej wartości naukowej.

Przez poddawanie w stanie hipnotycznym można usunąć istniejące uczucie bólu, tak samo jak w podobnych warunkach łatwo je wmówić; lecz uwzględnić trzeba, iż w tym razie będzie hipnotyk w stanie częściowego somnambulizmu. Sprawa chorobowa będzie dalej szła wytkniętym torem, a tylko chory nie będzie miał świadomości i nie będzie odczuwał dokuczających mu bólów, kurczów i t. d. W tym razie może hipnotyzm zastąpić środki narkotyczne.

Jakie hipnotyzm na przyszłość zajmie stanowisko w terapii, mogą okazać dalsze obserwacje kliniczne prowadzone systematycznie i opierające się na znacznej liczbie przypadków jednorodnych.— W ostatnich mianowicie czasach poznali lekarze doskonale fakty, dowodzące skuteczności pewnych obojętnych środków, jeżeli pacjent ufa ślepo w ich działalność: zastrzykiwanie wody zwyczajnej pod skórę, zamiast morfiny, u chorych, którzy wierzą w skuteczność tej ostatniej, uspakajało napady najgwałtowniejszych bólów.— Co do orzeczenia więc o istotnej wartości leczniczej hipnotyzmu, dalsze doświadczenia i to przy ściśle naukowej kontroli rozstrzygnąć muszą.

Co do zastosowania hipnotyzmu w celach pedagogicznych, to takowe nie może mieć podstawy naukowej, jeżeli przypomniemy sobie, iż częsta hipnotyzacja wywołuje automatyzm i przytłumienie samowiedzy.— Jeżeli przypuścimy nawet iż w skutek poddania w śnie hipnotycznym, dziecko przez pewien czas będzie się pilniej uczyło, mimo własnej woli i chęci, to naturalnie wpływ ten poddania może tylko trwać czas krótki, po upływie którego hipnotyzowanie

i poddawanie należy powtórzyć. Nadto podczas tego bezwłaśnego zdobywania wiedzy, świadome czynności mózgu nie będą brały w tym należytego udziału i po ustąpieniu wpływu poddawania, cała nabyta wiedza okazałaby się po za obrębem świadomości, czyli że stan umysłowy dziecka pozostałby takim samym jak i przed hypnotyzowaniem.

Największe znaczenie ma hypnotyzm jako metoda badań zjawisk psychicznych.— Daje ona nam możność badania czynności nieświadomych w organizmie ludzkim i stosunku ich do świadomości; sen hypnotyczny jako stan wielce zbliżony do somnambulizmu naturalnego i pewnych spraw chorobowych; ma dla badań fizjologicznych i psychologicznych wielkie znaczenie.

W najwcześniejszych czasach zaczęło zajmować umysły hypnotyzatorów i publiczności tak zwane „poddawanie myślą” (suggestion mentale). Ma ono dowodzić, że myśli powstające w głowie hypnotyzera, mogą bezpośrednio, to jest nie objawiając się w żaden dostępny dla zmysłów sposób, oddziaływać na mózg hypnotyka i w skutek tego tworzyć u niego te same idee, które zajmują umysł hypnotyzera, i że ten ostatni może w myśli — nakazywać hypnotykowi wykonanie pewnych czynności. Odległość przy tych doświadczeniach, nie gra najmniejszej roli, tak że wpływ ten może się odbywać w obecności hypnotyka na znacznej odległości. W tym poddawaniu myślowém budzi się na nowo kwestya „jasnowidzenia“ przystrojona w szatę współczesnych naukowych poglądów. Doświadczenia te jednak w obec przedstawicieli poważnej nauki nigdy się nie udawały i nie wytrzymały ścisłej obserwacji. Fakty ogłaszane a przemawiające za poddawaniem myślą mogą tylko służyć za podstawę do badań na przyszłość.

Przedstawiliśmy obiektywnie treść broszury prof. Cybulskiego; znamionuje ona w nim głębokiego, oględnego w sądzie i prawdziwie pozytywnego badacza; dokładne zrozumienie i zapamiętanie przytoczonych faktów posłuży do zupełnego zrozumienia hypnotyzmu.

U nas prasa lekarska i w ogóle lekarze nic nie wiedzieli o badaniach hypnotycznych dokonywanych przeważnie we Francji i kiedy pojawił się Donato, jedni okrzyknęli go za szarlatana, drudzy widzieli w jego produkcjach wpływ czynników nadprzyrodzonych.. To samo miało miejsce w Berlinie, gdy wystąpił Hansen i pamiętam dokładnie jego doświadczenia wykonywane na klinice zgasłego już obecnie prof. Frerichsa, jednego z luminarzy fakultetu lekarskiego berlińskiego. Wywołały one podziw i zdumienie w lekarzach, którzy zapomniawszy o dawnych eksperymentach Braid'a mających już podstawę naukową, z niedowierzaniem odnieśli się do zadziwiających produkcji duńskiego hypnotyzera. Policya kazała mu wyjechać z Berlina; udał się on wtedy do Wrocławia i sprawa hypnotyzmu przeszła w ręce takiego badacza i eksperymentatora, jakim jest prof. Heidenhain. Rozpoczął on zaraz doświadczenia, starał się obja-

nić je na podstawie fizjologii, co mu się w części udało i doświadczenia i rezultaty swych badań złożył w znanjéj broszurze. Kiedy wystąpił u nas Donato, broszura ta już pojawiła się w handlu księgarskim, nie była u nas jednak bardzo rozpowszechnioną mimo tłumaczenia polskiego J. Polaka. Pojawiły się w pismach codziennych artykuły lekarzy, usiłujące dowieść że Donato był zwyczajnym ale zręcznym kuglarzem...

Po doświadczeniach Donata we Lwowie, pojawiły się w feletonie „Kurjera Warszawskiego” artykuły o tych występach i w ogóle o hypnotyzmie pióra dra filozofii J. Ochorowicza, znanego z prac w zakresie psychologii i pilnego propagatora pozytywizmu, naówczas docenta uniwersytetu lwowskiego. Artykuły pisane żywo i barwnie, jak wszystkie prace p. J. O. z niepospolitym darem popularyzacyi, czytane były z zajęciem przez szeroki ogół. Lekarze nasi wówczas zaczęli zajmować się tą kwestyą a nawet próbowali stosować hypnotyzm do leczenia pewnych cierpień przeważnie nerwowych i to w niektórych razach z dość pomyślnym skutkiem. Dr. M. Brunner stosował hypnotyzm do usunięcia pewnych uciążliwych symptomatów w hysterii, a nie ustępujących przy używaniu zwykłych farmaceutycznych i dyetetycznych środków. Z powodu jednak iż mała liczba osób jest wrażliwą na czynniki hypnotwórcze, już to z powodu trudności zastosowania téj metody, wymagającej długiego czasu i oddania się zupełnego pacjenta, hypnotyzm poszedł w zapomnienie i mało liczył u nas zwolenników. W takich warunkach pojawił się w Warszawie J. Ochorowicz i zaczął stosować hypnotyzm i metaloterapię w chorobach uznanych za nieuleczalne przez lekarzy. Podniósł się krzyk i hałas wielki, chciwa nowości i cudów puliczność zaczęła masami szukać cudownych uzdrowień u magnetyzera, a reporterzy i noweliści wszelkiego rodzaju poczęli w brukowych świstkach słać p. Ochorowicza jako cudotwórcę... zdawało nam się na chwilę, iż żyjemy nie w trzeźwym i pozytywnym XIX wieku, ale w czasie Mesmera i Puysegur'a.

Wtedy racjonalniejsi ludzie zaczęli z powątpiewaniem patrzeć na rezultaty leczenia samozwańczego lekarza i wyrażać zdanie, iż podobna reklama w pisemkach i niepoważny sposób traktowania kwestyi, będącej właśnie w chwili rozwoju i czekającej na ostateczne rozwiązanie, może zdyskredytować całą sprawę w zarodzie. Pojawiły się także artykuły pochodzące z kompetentnej strony i dowodzące, iż stosowanie hypnotyzmu przez człowieka nie obznajmionego dokładnie z klinicznymi metodami badania i to jako środka uniwersalnego nie może przynieść wielkiego pożytku chorym, a odciąga ich od racjonalnej terapii opartej na etyologii (przyczynowości) cierpienia w danym wypadku i dokładném jego rozpoznaniu. Zwrócono również uwagę na tę ważną okoliczność, iż należy dokładnie rozstrzygnąć kwestyą, czy hypnotyzm nie działa szkodliwie na zdrowy organizm i w jakim stopniu. Zauważane

bowiem na często hypnotyzowanych zjawiska: rozdrażnienie systemu nerwowego, ekscytacja mózgu i bezsenność zmuszają do ostrożności w tym względzie. Nadto na podnoszenie hypnotyzmu jako panaceum na wszelkie dolegliwości ludzkie, nie pozwala obecny naukowy stan tej kwestyi, gdyż wszystko co zrobiono w tej mierze służyć może za ledwie jako podwalina do dokładniejszych badań na przyszłość, mających się opierać przedewszystkiem na dokładnej obserwacji klinicznej, zebraniu dokładnych dat statystycznych i porównaniu wartości leczniczej hypnotyzmu z innymi znanymi już i wypróbowanymi dokładnie metodami leczniczymi. W ten tylko sposób i przy świetle ściśle naukowej kontroli dojść można do prawdziwego sądu, który można będzie wciągnąć do księgi wiedzy; wszelkie zaś uroszczenia p. Ochorowicza i przecenianie wartości leczniczej hypnotyzmu, tylko szkodę nieświadomej rzeczy publiczności przynieść mogą.

Niedawno podał dr. C. Królikowski w „Wiadomościach lekarskich” lwowskich parę kazuistycznych przykładów z leczenia poddawaniem (suggestion) w klinice lekarskiej prof. Bernheima w Nancy. Opisuje on parę wypadków chorób ostrych jak zapalenie płuc, ostry reumatyzm stawów i t. d., w których z powodzeniem jako środka terapeutycznego stosowano poddawanie w śnie hypnotycznym. Rozpatrzywszy się bliżej w tej kazuistyce niejednorodnych przypadków, widzimy iż w pewnych przypadkach metoda ta usuwała niektóre objawy chorobowe jak ból, w innych znowu używano środków farmaceutycznych, w ostatnich nareszcie nie obserwowano wpływu leczniczego do końca, twierdząc jednakże i twierdzenie to biorąc za dowodzenie, iż pomyślny rezultat w przyszłości nastąpić musi. Cała podobnie zebrana kazuistyka nie ma najmniejszej wartości naukowej i nie może wcale służyć za przyczynek do rozwiązania kwestyi o wartości leczniczej poddawania w stanie hypnotycznym. Nic dziwnego, iż uczeni berlińscy i wiedeńscy bardzo sceptycznie zapatrują się na rezultaty leczenia poddawaniem i redukują wpływ ten do czynników psychicznych, które w zaburzeniach dynamicznych i u wrażliwych natur cudowne nieraz przynieść mogą rezultaty. Niewątpliwie w pewnych przypadkach moralne leczenie chorób i terapia wnawiająca (poddająca) nie małe oddać może usługi; często paraliż u histerek ustępuje przy użyciu pigułek z chleba, lub wody z cukrem, jeżeli tylko chore przekonane są o skuteczności tych środków. Jeżeli jak to obserwował Erb, znakomity neuropatolog, paraliż powstać może li tylko przez działanie wyobraźni, nic więc dziwnego, iż i usunąć go można wpływem psychicznym. Na powyższe uwagi sprowadzające działanie hypnotyzmu do właściwych granic, odpowiedział p. J. Ochorowicz dwoma artykułami drukowanymi w „Kuryerze Warszawskim“ i „Życiu.“ Tutaj to, mówi on językiem apostoła, rzuca gromy na medycynę i lekarzy, potępia wszystkie środki lekarskie wypływające z najnowszych postępów podstawowych nauk lekarskich i podnosi hypnotyzm do godności jedynej metody leczniczej,

w obec której farmakologia, hydroterapia, klimatoterapia i t. d. nie mają najmniejszej racji bytu. Po tém plwaniu na naukę, które w pojęciu racjonalnych ludzi więcej szkody przyniosło Ochorowiczowi niż medycynie i lekarzom, pojawiła się „Notatka sprawozdawcza” w „Kraju,” w której składa nasz hypnotyzer sprawozdanie ze swęj działalności leczniczej w Warszawie. Rozpoznanie chorób bynajmniej nie umotywowane, podawane w formie prostego twierdzenia, wypadki cudownego uleczenia głuchoty od 22 lat trwającej i t. d., i t. d., nie nadają artykułowi temu najmniejszej wartości naukowej i są wzorem jak prac tego rodzaju nawet dla reklamy pisać nie należy. Gdyby lekarz śmiał wystąpić z podobną elukubracyą, okrzyknęto go za nieuka; nowatorom jednak wolno ze wszystkiém występować bezkarnie... a ciemny tłum zawsze im przykłaśnie.

Ostatnie trzy odczyty p. Ochorowicza, jak się tego spodziewać można było, były ciągłém potępianiem medycyny racjonalnej a apologią Mesmeryzmu i apostołów magnetyzmu. Zupełna niezajomość historii medycyny, lekceważenie postępów nauki lekarskiej, na których jedynie może się oprzeć trwałe gmach terapii, powoływanie powiastek za fakty naukowe i mistyczna naiwna wiara w rozpoznawanie chorób przez ludzi nie mających o medycynie najmniejszego pojęcia i nakoniec zupełna bezkrytyczność poglądów odjęło odczytom tym wszelką wartość i sprowadziło zupełną reakcyą nawet w mniej krytycznych umysłach. Nadto podobne podkopywanie zaufania w publiczności do medycyny, lekceważenie nauki, nie wiem czy może przynieść pożytek ogółowi, nie grzeszącemu i tak zbytnią wiadomością zasad higienicznych. Sądzę jednak, iż ta najfalszywiej prowadzona propaganda hypnotyzmu, przyniesie jednak te dobre owoce i jest to zasługą p. Ochorowicza, iż przypomniał znowu lekarzom o potężnym wpływie czynników psychicznych na ciało i że w odpowiednich przypadkach leczenia moralnego i terapii psychicznej nigdy zaniedbywać nie należy.

Co zaś do wartości leczniczej hypnotyzmu, to nie wątpimy iż on po wydoskonaleniu nie przez uprzedzonych magnetyzerów z profesji, ale przez dzielnie wyćwiczonych w metodach naukowego badania lekarzy, oddać może trwałe usługi terapii; ale czasy cudów minęły, a nauce przynieść może korzyść jedynie systematyczna i mroźcza praca, gdyż mówiąc słowami samego p. J. Ochorowicza „nauka w znaczeniu ścisłém, nauka pozytywna, zapisuje do swęj księgi to tylko, co jest pewnem, co jest dowiedzioném; czeka, a na pytania natrętnych, odpowiada: nie wiem”¹⁾.

1) „Duch i mózg.” Studium J. Ochorowicza. Odbitka z Niwy. 1875.

PRZYGODY STACHA.

POWIEŚĆ.

Józefa Ignacego Kraszewskiego *).

Oko matki czytało w duszy syna, odgadywało uczucia, myśli—i z domysłów tych, a słów, które się Stanisławowi mimowolnie wyrwały—wysnuwało całą historią miłości jego. — Stara Korczakowa najmocniej przekonana była teraz, gdy syn tak często spotykał się z Marceliną u Wawrowskiej, że rzeczy były ułożone, ukartowane i że ten romans musiał się skończyć ożenieniem.

Modliła się, płacząc na tę intencją, ale im stosunek ten stawał się ściślejszy, i—według niej—rozwiązanie jego małżeństwem zbliżało się szybciej, staruszka widziała nieuchronną konieczność opuszczenia i wyzwolenia Stanisława, czując, że mu będzie zawadą.

Miłość jej i ofiarność macierzyńska nie wahała się z poświęceniem siebie dla kochanego jedynaka—ale, gdy przyszło do wykonania, gdy pomyślała, że przyjdzie się z dzieckiem rozdzielić, nie widzieć go, nie czuwać nad nim, nie wiedzieć może o nim, zostać samotną, zapomnianą—staruszka łamała ręce, serce się jej ścisnęło. Kłękała modlić się, aby Pan Bóg dał siły... zdawało się jej, że chyba tego nie przeżyje.

Tymczasem gdy Stanisław przybywał, potrzeba było uśmiechniętą witać go twarzą, nie zdradzać cierpienia i dopiero w nocy, gdy sama została, puściła wodze łzom i boleści.

Zwolna czyniła przygotowania do wyjazdu, choć brat wcale do niego nie zachęcał, był mu przeciwnym i przyjmował ją tylko zmu-

*) Ciąg dalszy—patrz zesz. za mies. kwiecień r. b.

szony, znajdując to nedorzecznoscia. W końcu jednak tak go prosiła, tak błagała, tak nalegała, że oprzeć się jęj nie mógł. Wszystko się odbywało w największej tajemnicy przed Stasiem. Miała w myśli napisać do niego... reszty powinien się być domyśleć. Chciała tak zniknąć nagle, niepostrzeżenie, aby syn ani się oprzeć, ani przeszkodzić nie mógł.

Gdy przyszło do oznaczenia dnia, do ostatecznego kroku, Korczakowa rozplakała się i odkładać zaczęła... Zdało się jęj, że tego dobrowolnego osierocenia przeżyć nie potrafi...

Z podwojoną czulością witała teraz Stasia — zasiadywała się przy nim, korzystała z każdęj chwili, chciała nasycić nim, nabierać pamiątek, napatrzeć go...

Tu czas jęj płynął tak słodko przy nim, a tak okrutnie jęj miało być pusto, głucho, nie swojo...

Była wszakże tak mocno przekonaną o konieczności, obowiązku oddalenia się—o tęp, że mogła być zawadą Stasiowi, iż mimo niewysłowionego cierpienia, trwała w najmocniejszym, raz powiętęp postanowieniu.

Jedyną powiernicą jęj była stara Handzia, z którą naprzód musiała stoczyć walkę okrutną, bo sługa ją zakrzyczała i z początku ani chciała słuchać, grożąc, że poskarży paniczowi. Zwolna jednak Korczakowa potrafiła ją, jeżeli nie nawrócić, to nakłonić do posłuszeństwa. Smutno wyznać, że więcj na to wpływały prezenty, datki, obietnice, niż argumenta. Handzia się dała wprost przekupić i—mruzcąc, obiecywała być pomocą. W istocie bez nięj nicby nie potrafiła zrobić Korczakowa i nie utailyby się przygotowania przed Stasiem.

Handzia się tęp pocieszała i uspokajała sumienie, że sobie wmówiła, iż syn matkę natychmiast odbierze i nie dopuści jęj skazywać się na dobrowolne wygnanie.

Z dnia na dzień odkładając, Korczakowa zwijała swe węzłki, zabierając z sobą tylko to, co nieodbitie jęj potrzebnęm było, wyprawę tak ubogą, iż sługa się jęj dziwowała; wszystko chciała zostawić synowi, ona nie potrzebowała nic...

Raz będąc u Michała, znikaa zupełnie, nie miała widywać nikogo... nikt jęj tam nie znał.

Gdy Staś wychodził do kancelaryi, codzięj się odsuwały szufady, przebierała i spisywała bieliznę, ab y wszystko zostało w porządku, przychodziła Handzia i gderała, pakowano coś do małego kufereczka...

Korczakowa, żegnając pokoiki, sprzęty, wszystko, co otaczało syna i służyło mu, stawała często i plakała... tak jęj było ciężko się z tęp rozstawać. Przychodziła myśl bolesna, że z rana nie posłyszyc jego wesołego—dzień dobry, że wieczór nie będzie czekać na powrót z miasta, że w końcu Stach, Stasiek, Staś zapomni o matce, odzwyczai się od nięj...

Było to okrutném samobójstwem, ale dla dziecka matka musiała się poświęcić.

W miarę jak Korczak, zbliżając się do Marceliny, pod urokiem jęj stawał się coraz weselszym, szczęśliwszym, matka smutniała, bo to zmuszało ją do pośpiechu.

Dzień w końcu został umówiony z panem Michałem i Handzią... Staruszka miała wyjść z rana, siąść na wózek na Pradze... i nimby syn powrócił z biura, byłaby już daleko.—Handzia przyrzekała, bijąc się w piersi, iż nie wyda dokąd pojechała pani, ale w duchu miała zamiar ją zdradzić, a domyśleć się było łatwo, że się schroniła do brata.

Wieczora poprzedzającego ten dzień wielkiej ofiary, o mało się nie zdradziła Korczakowa... ale Staś był tak zajęty sobą i Marceliną, że zmiany na twarzy, w głosie matki i łez na oczach jęj nie postrzegł..

Nie przypuszczał podobnego kroku...

Nazajutrz rano staruszka jeszcze w ciemnych sionkach pożegnała go, gdy szedł do biura, a gdy się drzwi za nim zamknęły, zaczęły obie z Handzią tak lamentować i zanosić się od płaczu, że Michał musiał z bryczką zajechać pod dom, aby się nie spóźnił z powrotem.

Ucałowawszy nogi pani, Handzia wróciła obiad gotować, ale nie bardzo się wysilała nań, bo wiedziała, że go Stanisław jeść nie będzie. Zostawszy sama w tém mieszkaniu i ona płakała a modliła się—zaprzysięgając, że jeśli stara nie powróci, ona za służbę podziękuje.

Stanisław o zwykłej godzinie wpadł, podśpiewując do mieszkania—i—zadziwił się nie spotykając nikogo, bo zwykle matka naprzeciw wychodziła. Handzia z fartuchem przy oczach siedziała w kuchence...

Niespokojny Korczak pobiegł do pokoju matki... nikogo—do jadalnego... nakrycie na jedną osobę!

Coraz niespokojniejszy wpadł do kuchni.

— Gdzie pani?

Handzia wstała powoli z ławki, ocierając oczy—milcząca.

— Cóż to jest? gdzie pani? — powtórzył nagle Korczak. —

Mów...

Milczenie sługi przeraziło go...

— Ja bo—nie wiem... pani wyjechała. Musi być list... ja nie wiem...

— Gdzie list!—krzyknął wylekły Stanisław—gdzie! i biegł do sypialni, przepatrując wszystkie stoły...

W istocie list leżał na stoliczku przy łóżku...

„Mój Staszku drogi! — Niech ci Bóg błogosławi, ja, jakem ci dawno mówiła, muszę się oddalić, bobym była zawadą do szczęścia

twojego. Nie sprzeciwiaj się, będę spokojniejsza... Wszakże możemy widywać się z sobą. Czynię to, Bóg widzi, z miłości dla Ciebie.”

List łzami poplamiony, nieczytelny... Stanisław czytał i odczytywał, stojąc jak wryty. Nie wierzył oczom...

Zmarszczyła mu się brew... Powrócił do Handzi, która zajęta była nalewaniem rosolu do wazki.

— Wuj Michał przyjechał po matkę?—zapytał groźnie.

Jak się tu zapierać było. Handzia głową znak dała.

— Nie mogło to być, abyś ty nie wiedziała zawczasu, że się matka wybierała. Czemuś mi nie powiedziała, rzekł z wymówką.

— Pani mnie zaklinała tak!

Stanisław ramionami poruszył.

— Dawaj mi prędjéj byle co, natychmiast biórę pocztę i jadę za matką. Na to pozwolić nie mogę, aby gdzieindziej jak u mnie miała żyć. Zawołaj mi chłopca, aby poszedł po konie... albo nie, sam je wezmę... Prędjéj—obiad...

Stanisław ucieczki téj nie wziął tak bardzo do serca, bo miał niezłomne postanowienie leżeć bodaj u nóg matce, póki by z nim nie powróciła.

Zarazem jednak przyszła mu myśl i wyrzut sumienia, że zbliżenie się do Marceliny, o którém wiedziała matka, mogło ten krok przyspieszyć.

Jak błyskawica mignęło pytanie:

— A jeżeli Marcelina...

Zarumienił się—zadumał.

— Bądź co bądź, matki nie opuszczę—rzekł w duchu.

Na prędcę coś przekąsiwszy za ledwie, Korczak posłał po doróżkę, pobiegł do biura, aby się uwolnić, na pocztę po konie... Wziął powozik, aby w nim wygodniej było staruszce i ruszył do kolonii wuja Michała.

Stary pan Michał nie spodziewał się zapewne tak rychléj pogoni, a że wózek był obciążony kufrem i tłumokiem, koni oszczędzając, nie bardzo pospieszał. Korczakowa za łzami nie widziała nic i nie czuła nawet czy prędko, czy powoli jechali...

Michał stawał przy każdéj karczemce, a że miał mnóstwo znajomych, gawędził, fajkę zapalał, konie poił i włókł się tak, że o milę od kolonii Stanisław go napędził..

— Stój! Stój!

Nie podobieństwo było uciekać, wuj zatrzymał konie i z miną winowajcy zlął z bryczki.

Staś już przypadł do nóg matce...

— A godziłoż się to...—począł całując ją. — Ja nigdy w życiu na to nie pozwolę—nie mogę i jeśli nie powrócisz ze mną, pozostanę leżąc u nóg twoich, dopóki cię nie uproszę.

Napróżno wymawiała się, zaklinała, płakała Korczakowa—Stanisław nie chciał słuchać.

— Matka to robi dla mojego ożenienia — zawołał — a ja na wszystko najświętsze poprzysięgam, że nie ożenię się nigdy—jeżeli mnie porzucisz...

Wuj Michał w duszy rad temu rozwiązaniu, począł mruczyć:

— A widzisz—ja ci zaraz mówiłem, że Staś na to nie pozwoli. Ja to nie chciałem... jak zaczęła prosić a męczyć, co miałem robić... musiałem.

— Nie odstąpię—powtarzał Stanisław, dając znak pocztyliownikowi, aby kufer i tłumok zabrał do powozu.—Matusiu, nie odstąpię, musisz powracać ze mną.

Po półgodzinnym oporze, prośbach, płaczach, Korczakowa w końcu dała się synowi wziąć do powozu, pożegnano Michała, który zapraszał półgębkiem na popas do siebie, ale czasu było mało, zawrócono nazad do miasta.

Zawstydzona, ale szczęśliwa powracała staruszka, którą przez całą drogę uspokajał Staś; starał się rozweselać i smutek jej rozprosyć...

— Jak matuś mogłaś przypuścić, że ja na to pozwolę?—mówił w końcu.—Byłbym nie miał spokoju, dopóki bym nie znalazł i nie odwiózł nazad. Wstydzilibym się ludziom spojrzeć w oczy, gdybym na to się zgodził.

Korczakowa tak płaczem i wzruszeniem była osłabioną, że w końcu, gdy z krótkiego popasu ruszyli, już pod wieczór usnęła.

Stasiowi dopiero teraz przyszło na myśl, że właśnie tego dnia wieczorem miał być u Wawrowskiej i obiecał coś przynieść Marcelinie! Przy największym nawet pośpiechu, niepodobna było przed godziną zwyczajną powrócić i matkę zaraz samą zostawiwszy, biedz do hrabianki.

— Pójdę jutro i wytłumaczę się swoją służbą i zajęciem—rzekł sobie Korczak.—Panna Marcelina pogniewa się może trochę... ale przebaczy, nie jestem tak swobodny jak ona.

Działo się to tego dnia właśnie, gdy po rozmowie z ojcem, hrabianka miała wprost zagadnąć pana Stanisława o jego rodzinę i o matkę.

Nigdy wprzód ani Korczak się nie zwierzał ze swych stosunków familijnych, ani go ona pytała o nie.

Weześniej trochę niż zwykle przyszła do Wawrowskiej poruszona panna Marcelina, nie myśląc się zwierzać jęj z rozmowy, z niepokoju swego, dopóki by ze Stanisławem się nie rozmówiła.

Wawrowska znała ją nadto dobrze, aby się dopytywać potrzebowała, obawiać o nią i pilnować. Dla tego z zupełnym spokojem sumienia ułatwiała jęj schadzki z Korczakiem, wiedząc bardzo dobrze, iż Marcelina nie posunie się nigdy za daleko, nie skompromituje, a nawet trochę rozmarzona, za najmniejszą nutą fałszywą, która zabrmi w miłosnej pieśni, natychmiast się cofnie.

Pomagała wychowawcy, bo pragnęła, aby sobie raz kogoś znalazła do serca, a wiedziała jak to było trudnem.

Do serca panny Marceliny iść było potrzeba przez głowę. Fantazya u niej brała górę nad uczuciem i zastępowała je...

Wawrowska widziała, że dotąd zajęcie Stanisławem rosło, ale wcale nie ręczyła jeszcze za przyszłość. Doświadczenie ją uczyło, że wychowanka łatwo się zrażała. W istocie sama może Marcelina nie wiedziała dotąd, czy kochała Korczaka czy nie, czy to była fantazya, czy przywiązanie. Były dnie, gdy marzyła o nim i wmawiała w siebie, że bez niego żyć i być szczęśliwą nie potrafi, ale po nich czasem przychodziło powątpiewanie... Wydawał się jój za łagodnym, za posłusznym, za mało samoistnym.

Myśl ta, że Korczak mógł mieć matkę tak prostą kobietę, iż się z nią ukrywać musiał i światu jój pokazać nie mógł, oblała ją zimną wodą.

Walczyła z sobą jeszcze, ale nie mogła zrozumieć stosunku, jakiby się zrodził z takiego położenia... Stanisław stracił w jój oczach. Wydawał się jój mniej przyzwoitym jakimś, nadto.. pospolitym i małym.

Sama natychmiast musiała się przyznać przed sobą, iż chyba nie kochała go tak bardzo, gdy wiadomość o matce mogła ją tak ostudzić.

— Zatem—westchnęła zadumana—zatem tylko więcej jednym w życiu zawodem! rozczarowanie i znowu tęsknice i nudy! Życie zaczęło nabierać dla mnie zajęcia... Cóż dalej? pan Henryk Obdorski!

Uśmiechnęła się ironicznie.

Goście na wieczór schodzić się zaczęli; za każdym drzwi otwarciem niecierpliwie wyglądała Marcelina Korczaka, który być miał na pewno.

Po raz pierwszy się tak opóźnił.

P. Salezy, który odgadywał oczekiwanie, to zabawiał ją, to delikatnie sobie żartował. Było już w końcu tak późno, iż się spodziewać Stanisława nie mogła gospodyni.

Domyślała się, że niezdrów mógł być, albo coś przeszkodziło.

— Ręczę za Korczaka, że chyba force majeure mogło go powstrzymać od przyjścia do pani. Coś nadzwyczajnego zajść musiało...

— Że nie chory—dodał garbus—to wiem, bo go z rana widziałem przechodzącego i w bardzo wesołym usposobieniu.

Pozostała zagadką niebytność Stanisława, a że Marcelina właśnie dnia tego potrzebowała widzieć go i mówić z nim — uczuła jakby urazę, pogniewała się, nie pojmowała, co mogło przeważać nad — widzenie się i spotkanie z nią! Ona przecie czyniła pewną ofiarę, przychodząc dla niego na te wieczory — a on, on śmiał raz jeden chybić i nie stawić się choćby na chwilę, aby mieć szczęście spojrzeć w jój oczy.

Po zasepieniu, milczeniu i złym humorze hrabianki, Wawrowska poznała, że Korczakowi tego lekceważenia przebaczyć nie mogła.

Natychmiast po herbacie Marcelina, pod pozorem bólu głowy, nie zważając na to, że się ludzie domyślać będą powodu — opuściła towarzystwo.

— Mój panie Salezy, po cichu odezwała się Wawrowska, dowiedz się też, proszę, co się stało z Korczakiem, i przyjdź mi powiedz jutro.

O południu garbus, który aż do biura ścigał Stanisława, przyszedł z doniesieniem, iż Korczak miał jakiś niezmiernie ważny i pilny interes, dla którego musiał jeździć o mil kilka i w nocy dopiero powrócić.

— Ale co to było — dodał Salezy, anim się mógł dowiedzieć, ani domyśleć — straszego nic nie ma, gdyż Korczak jest spokojny, i dobrej myśli.

Z wiadomością tą Wawrowska poszła do Marceliny, którą zastała podrażnioną i gniewną. Hrabianka znajdowała ten wyjazd niezrozumiałym i tajemnicę — podejrzaną.

Staś widocznie stracił w jej oczach.

Następny zwykły wieczór u Wawrowskiej przypadał za trzy dni.

Nie ulegało wątpliwości, że Korczak przyleci pewnie, ale panna Marcelina, chcąc go ukarać naprzód powzięła myśl — nie przyjszć wcale.

Potém zaczęła się lękać, aby to nie było nadto widoczném... a oprócz tego niecierpliwą była dowiedzieć się o matce.

Spóźniła się tylko trochę i weszła tak majestatyczna, poważna, zimna, a przywitała Stanisława tak chłodnym poruszeniem głowy, natychmiast się zwracając do innych gości, iż poczuć musiał, że żal miała do niego.

Przykrém mu było — ale miał nadzieję prześlągnięcia.

Dosyć długo nie mógł się potém zbliżyć do hrabianki, która wypróbowała jego cierpliwość.

Po herbacie dopiero rozpoczęła się rozmowa i zwykła przechadzka po pokojach. Marcelina była ciągle bardzo chłodną i zasepioną.

Gdzież pan był ostatniego wieczoru, żeśmy go tu nie widzieli? — zapytała.

— Miałem przykry i pilny interes osobisty, dla którego mała wycieczka była koniecznością. Powróciłem zapóźno, abym się mógł tu stawić...

— Szczęśliwie się rozwiązała sprawa? — spytała ciągle zimno Marcelina.

Stanisław, który się tłumaczyć dokładniej nie mógł, po chwili odparł.

— Tak jak życzyłem sobie.

Czuli oboje, że od ostatniego widzenia się — coś zaszło niewido-

mego, nieoznaczonego, nadwyrężającego harmonią między nimi. Korczak sądził, że się hrabianka gniewała za uchybienie jej z jego strony. Marcelina gniewała się, sama nie wiedząc za co. Wyjaśnienie jakieś—rozmowa szczerza stawała się koniecznością.

Po małym przestanku panna dodała, spoglądając mu w oczy.

— Zapewne jakiś interes familijny? — Z pewnym przyciskiem wymówiła wyraz ostatni. Korczak się zarumienił.

— Dziwny ma pani dar odgadywania — rzekł, — tak jest, w istocie.

Chodzili milczący—Marcelina dodała.

— Masz pan liczną rodzinę? Nigdy go o to nie pytałam. Może to indysekrecya... pan także nie wspominałeś o niej.

Potrzebował pewnego namysłu Korczak nim się zebrał na odpowiedź. Nie wahał się z powiedzeniem całej prawdy — ani potrzebował się z tém rachować, szło o to jak miał hrabiance odmalować tę znaną kochaną matkę swoją.

Marcelina czekała z widoczną ciekawością, badając fizyognomię Stanisława, na której znalazła tylko wyraz męztwa i energii.

— Z rodziny,—rozpoczął łagodnie i spokojnie Korczak, — została mi jedna, najdroższa—staruszka matka moja, do której nie potrzebuję mówić jak jestem przywiązany.

Mało ludzi wie o jej istnieniu,—ciągnął dalej ze wzrastającym męstwem, — bo ona nie lubi świata unika towarzystwa i prowadzi życie niemal klasztorne, od śmierci ojca. Nie odebrała też wychowania, któreby ją do towarzystwa świetniejszego pociągało; jest kobietą pobożną, prostoduszną, ale heroicznego serca.

Stanisław mówił drżącym głosem, z uczuciem wielkiem, a hrabianka, słuchając tego wyznania tak otwartego, zaniemiała...

Zrobiło się jej przykro boleśnie, jak gdyby w tej chwili Korczak postawiony pomiędzy nią a matką — wybrał ostatnią—a ją odpychał... Gniew sercem jej wstrząsnął, lecz okazać go nie była powinna.

Zwolnili kroku oboje. Marcelina nie śmiała dopytywać, Stanisław więc jej mówić nie potrzebował. Spełnił powinność.

Gdy powracając ku salonowi zbliżyli się, jeszcze idąc obok siebie razem, do Wawrowskiej, hrabianka, która zazwyczaj dłuższe daleko odbywała przechadzki z Korczakiem, zatrzymała się pod pozorem zajrzenia w robotę Wawroci, schyliła się przypatrywać i porzuciła Stanisława.

Salezcy czatujący na niego, chwycił go pod rękę. Widział z twarzy Marceliny, że krótka pogadanka z nią wydała jakiś owoc gorzki, rad był coś pomódz... a przynajmniej widzieć jaśnieję, o co szło i co się działo...

Na licu hrabianki nawet daleko mniej przenikliwe wejrzenie mogło wyczytać wrażenie bolesne — tak silne, iż zapomniało o zarzuceniu na się zasłony od ludzkich oczów. Marcelina mówiła o robotce z opiekunką, ale nie wiedząc co—plątała się, wargi jej drżały,

bladła, oddechu brakło, lice się zmieniło, jakby pod najdotkliwszym ciosem...

Marcelina czuła, że ta matka jej osnute szczęścia plany obrażała w niwecz...

Stanisław sam, sierota, bez rodziny był możliwym, z tą matką w kątku prostytutką, stawał się śmiesznym, a ona zakochaną szalenie okazaćby się musiała (co ją upokarzało) — przyjmując z mężem takim i — staruszkę w dodatku... o której świat wiedział, że była córką ubogiego oficjalisty...

Wszystko więc zostało skruszone, potargane, marzenia długie, budowy powietrzne... plany postępowania i walka z ojcem i t.p. zawczasu przewidywane... a potem miodowe miesiące pod włoskiem niemem... padło od tego gromu.

Korczak miał matkę i zapowiadał sam, że była kobietą prostoduszną, bez wychowania.

Marcelinie zdawało się dotąd, że kochała go bardzo, teraz widziała i czuła, że to było fantazją tylko — i że dla niej ofiary czynić z siebie nie mogła... Oprócz tego ojciec! ojciecby nie pozwolił nigdy, a świat, świat cały za cel szyderstw i potwarzy miałby, gdyby Marcelina...

Wzdrygnęła się na myśl samą.

Zrywać z ludźmi, nie było podobna — a brawować ich — narażać się — cierpieć... nie ważyła się...

Nie spojrzała już nawet na Stanisława i nie odezwała się do niego aż do końca wieczora, przysiadłszy się do Wawrowskiej.

Obejście to z Korczakiem nadto było dla niego zrozumiałe i wyraziste, — aby Staś znaczenia jego nie pojął. Nie przeczuwał może zerwania stosunków — lecz czuł srogi gniew.

Co go spowodowało? Ostatni wieczór, czy dzisiejsze wyznanie? zostawało do rozwiązania. Tymczasem Salezy, ująwszy go pod rękę, nie dawał mu się rozmyślać.

Panna Marcelina, — szeptał mu na ucho — tego wieczora, gdy was nie było miała ból głowy i wyszła daleko wcześniej niż zwykle. Widzę, że i dziś jeszcze nie jest w swém zwyczajném usposobieniu; ale się dziwować nie trzeba, nudzi ją Obdorski.

— Jeszcze więc nie przyszło do niczego stanowczego? — spytał Stanisław, — udając obojętnego.

— O ile wiem, nie, — rzekł garbus. — Obdorski jest ostrożny. Starać się będzie dopóty póki ma nadzieję, — gdy ją postrada usunie się po cichu nie ryzykując do grochowego wianka.

— Ma więc jeszcze nadzieję? — dodał Staś.

— Tacy jak on myśliwcy za posagiem, długo ją przechowują — odparł Salezy, — dopóki wszystkich sprężyn i intryg nie wyczerpią...

Wieczór ten, nie ożywiwszy się już, szedł na obojętnych, przerywanych rozmowach, które dotrwały do godziny przyzwyczajonej i gościście się wysuwać zaczęli. Korczak, przekonawszy się, że nie potrafi

już zbliżyć się do panny—wzięła za kapelusz i zniknęła! Garbus mało co dłużej zabawił Wawrowską, panna Marcelina dla uniknięcia rozmowy otworzyła jakąś książkę. Około dziesiątej były już same.

Wawrowska oczekująca zwierzenia, którego się spodziewała, nie zdziwiła się, gdy jej wychowanka rzuciła się jej na szyję z wybuchem czułości, którą wywołało cierpienie.

— Dziecko moje? co ci jest? — spytała.

— Wszystko skończone — ostatnie marzenie moje pogrzebałam dziś,—odpowiedziała namiętnie Marcelina.—Wiem, że Korczak ma matkę, że ona jest w istocie kobietą prostą, bez wychowania i że on z nią stał się dla mnie nie możliwym...

Stara Wawrowska, ucałowawszy ją, powróciła do swjej robótki.

— Bolesne to jest, — rzekła — ale zbawienne. Gdybyś go w istocie kochała, Marcelinko moja, wierz mi, ani matka, ani rodzina nie potrafiłyby cię oderwać od niego, przekonałaś się, że to, co ci się zdawało miłością, było tylko fantazją znudzonej... A więc... przeboleć lepiej chwilę, niż być potem nieszczęśliwą.

Pociecha ta nie trafiła jakoś do przekonania hrabianki, błada ze spuszczoną głową, siedziała długo nic nie mówiąc.

— A zatem, — rzekła pomilczawszy, — zatem nie pozostaje mi tylko Obdorski... Ojciec przypomina, że zbliżam się do lat trzydziestu, żadnego cudu szczęścia spodziewać się nie mogę — i prozaicznie podam rękę do ołtarza panu Henrykowi, który jest dla mnie już dziś najwstrętniejszym z ludzi. Cóż dopiero będzie potem, gdy go poznam bliżej?

— Nie widzę konieczności, abyś wzięła Obdorskiego?

— Nie wszystkoż to jedno? — szydersko odparła hrabianka, — nie ów, to inny w tym rodzaju upomni się o mnie, jako o ofiarę należną jemu z praw urodzenia... Zawsze na jakimś Obdorskim skończyć potrzeba, a potem jeszcze cieszyć kuzynowstwem baronównęj Severy...

To mówiąc Marcelina kładła kapelusz i zabierała się do wyjścia.

Wawrowska położyła robotę.

— Nie spiesz się moje dziecko, — rzekła — nie czyni nic gwałtownie, ostygnij. Dziś ci się rzeczy inaczej i gorzej wydają niż są... cierpliwości... Ja mam nadzieję... że zmieni się to na lepsze.

Hrabianka smutnie potrząsnęła główką.

— Są fatalności w życiu... — szepnęła, — przed którymi ugiąć karku potrzeba.

(C. d. n).

KRONIKA NAUKOWA LWOWSKA. *)

II.

Towarzystwo politechniczne i prawnicze. — Odczyt prof. Balzera. — Towarzystwo Kopernika. — Odczyt dra Raciborskiego i Siemiradzkiego. — Towarzystwo historyczne: Odczyty dr. Papéeego, Horodyńskiego i Balzera. — Odczyty publiczne: dra Finkla, p. Syroczyńskiego, p. Starkla i ks. Załęskiego. — Książki: dra Hirschberga „Hieronim Łaski,“ p. Limanowskiego „Historia ruchu społecznego w XVIII stuleciu.“ — Rocznica wyższej szkoły rolniczej w Dublanach.

Kronika dziejów współczesnych musi być z natury rzeczy w dobrej części pamiętnikiem. Zapisuje to tylko, co autora jej żywiej obchodzi, co częściej obije się o jego uszy. Prawdy tój, znaněj z rozwoju historyografii, doświadcza także lwowska kronika naukowa. Wymieniła cztery towarzystwa lwowskie naukowe i te z a gł ó w n e uznała. Tymczasem jest wiec ě j stowarzysze ń poważnie kwestyami naukowemi się zajmujących, których rozwój i działanie, o ile są szerszego znaczenia, choćby zanotować wypada.

Trzy z tych stowarzyszeń odbyły w bieżącym kwartale doroczne swe posiedzenia; z tój okazji doszły niektóre cyfry, dotyczące stanu i prac ich, publiczności. W lutym mieliśmy walne zebranie towarzystwa politechnicznego, istniejącego lat dwanaście, liczącego 5292 członków, 16 reprezentantów w różnych krajach, a wydającego także, jak prawie wszystkie towarzystwa lwowskie, swój specjalny organ, t. j. „Czasopismo techniczne.“ Nadto wydrukowało towarzystwo w roku ubiegłym broszurę, zawierającą zasady tech-

*) Rękopis kroniki lwowskiej nadszedł do Redakcyi w ubiegłym miesiącu w chwili, gdy już druk działu tekstowego w zeszycie był zamknięty, dla tego musieliśmy rzecz tak ciekawą odłożyć do następnego zeszytu. *Red.*

niczne dla budowy domów włościańskich, a więc rzecz bardzo pożyteczną i na rozpowszechnienie zasługującą; wkrótce wyjdzie jego nakładem „Słownik kolejowy” w czterech językach (polskim, niemieckim, rosyjskim, francuzkim), zawierający 10,000 wyrazów.

Drugim jest towarzystwo prawnicze, liczące tylko 200 członków, a urządzające odczyty i pogadanki z dziedziny prawa. W niem miał 27 stycznia odczyt dr. Oswald Balzer, profesor prawa polskiego na tutejszym uniwersytecie, p. t. „O nowszych kierunkach w nauce prawa polskiego.“ W odczycie tym, budzący się dzisiaj ruch na polu historii prawa polskiego, dosadnie scharakteryzował. Streszcza on się, zdaniem jego, w dwóch kierunkach: w wydawnictwie źródeł i w pracach monograficznych. Pierwsze uwzględniają już nietylko pomniki ustawodawcze, ale i prawo zwyczajowe, mające w Polsce wielkie znaczenie; drugie obejmują obok badań instytucji, politycznych stosunki prawnoprywatne. Ten ostateczny rezultat swego wykładu, poprzedził prelegent wstępem, kreślącym dotychczasowy rozwój tej nauki. Umiejętność prawa polskiego obudziła się prawie równocześnie u nas, jak i za granicą. Prace Czackiego i Bandtkiego, przypadają na pierwszą epokę badań Eichhorna i Savigny'ego. Jeżeli zaś nie dotrymaliśmy kroku innym narodom, to przyczyna leży w okolicznościach zewnętrznych i w tém, że prawo polskie utraciło praktyczne znaczenie. Ogół też za mało zainteresował się u nas badaniami temi (od Czackiego, aż po najnowsze prace Hubego, które prelegent krótko charakteryzuje) „choć z badań instytucji i całego systemu prawa polskiego, nie jedną może naukę zaczerpnąć.”

Wreszcie wspomnieć nam należy o towarzystwie weterynaryjskim, liczącem 72 członków, wydającym „Przegląd weterynaryski,” pod redakcją dra Spielmana, aby przejść do prac towarzystwa im. Kopernika i jego walnego zebrania, na którym, w obec licznie zgromadzonych członków i gości, odczytał dr. Raciborski ciekawą rzecz „O przyrodniczych podstawach naszych sądów estetycznych.“

Prelegent definiuje sądy estetyczne, jako sądy, które wypowiadamy bądź to o uczuciach, jakich doznajemy pod wpływem przedmiotów zewnętrznych, bądź też o tych przedmiotach samych, ze względu na te nasze uczucia. Czynniki, wpływające na rodzaj tych sądów, są albo podmiotowe albo przedmiotowe; jedne i drugie można badać ze stanowiska najrozmaitszych nauk. Prelegent, idąc za postawionem sobie założeniem, te tylko poddaje analizie, które nadają się do badań ze stanowiska nauk przyrodniczych. Naprzód rozbiera właściwości narządów zmysłowych i nerwów i wykazuje, o ile właściwości ich wpływają na nasze sądy estetyczne. Ztąd wysnuwa ogólniejsze podmiotowej doniosłości zasady estetyczne. W drugiej części wykładu przechodzi do przedmiotowych, ściśle przyrodniczych podstaw sądów estetycznych, z niemi łączy pytanie, czy ideał, pojęty jako doskonały typ gatunkowy, znajduje w przyrodzie swoje uzasadnienie.

Prelegent rozstrzyga pytanie to twierdząco, opierając się na bardzo widocznej i ogólnie uznanej typowości form nieustrojowych krystalicznych, i nie mniej jawnej typowości form ustrojowych. Jako ich właściwość, zwłaszcza w świecie zwierzęcym, podnosi p. Raciborski ziszczenie się pewnych warunków mechanicznych w budowie ciała, nadających ruchom lekkość i swobodę, a stanowiących w znacznej części o doskonałości postaci. To daje mu sposobność przedstawienia obszernego kwestyi t. z. kanonu ciała ludzkiego. Artysta powinien w tym kierunku badać, rozumować i odczuwać przyrodę, prawa, wedle których ona tworzy swe kształty, podpatrzeć, aby formy jej odtworzyć w całej czystości, zwykle w przyrodzie nie napotykanęj.

Na zwyczajnem zaś posiedzeniu w dniu 28-ym lutego, przedstawił dr. Siemiradzki, habilitujący się we Lwowie z mineralogii, rzecz „O formacyi jurajskiej w Polsce.“ Na podstawie badań Michałskiego i innych wykazał, że krańcowe punkta formacyi jurajskiej zagłębia polskiego, przedstawiają na północy Ciechocinek, na północnym wschodzie Popielany na Żmudzi, na wschodzie Białowież, na południowym wschodzie Kaniów nad Dnieprem, na południu Pieniny. Utwory jurajskie tworzą pokład nizin Wielkopolskiej i Mazowsza. Na tém samém posiedzeniu przedstawił prof. Niedźwiedzki pracę Gejzy Bukowskiego: „O skamielinach formacyi jurajskiej częstochowskiej.“ Następnie pokazywał dr. Rehman, obecny prezes towarzystwa, przyrząd szkolny do wyznaczenia południkowej linii wysokości i azymutu słońca, własnego pomysłu.

Towarzystwo historyczne odbyło trzy posiedzenia miesięczne. W grudniu czytał dr. Fr. Papée rzecz „O dokumencie tyńieckim Idziego,” najstarszym dokumencie polskim, którego autentyczność dr. Kętrzyński podał w wątpliwość, bronił zaś dr. Piekosiński. Prelegent zwrócił uwagę naprzód na ścisłe pokrewieństwo między tym dokumentem a bullą Grzegorza IX dla Tyńca z r. 1229, którą p. Kętrzyński także za podrobioną uznał. Bulla ta jest, zdaniem prelegenta, popartém przez liczne dowody, z wyjątkiem interpolacji jednego ustępu, autentyczną. Wywód ten jest dla tego ważnym, ponieważ bulla opiera się na przywileju Idziego dla Tyńca i z jej pomocą można także w przywileju owym odróżnić interpolacje, których dowodzą zresztą różne anachronizmy z XIII w., prawdopodobnie podczas zatwierdzenia dokumentu w r. 1275 przez Bolesława V—wsunięte. To zatwierdzenie, zachowane w oryginale, jest najstarszym dzisiaj tekstem nadania Idziego. Po wydzieleniu interpolacji, reszta jego, za rzutem ulegać nie może. Niezgodność daty z wystawcą i świadkami, wyjaśnia dr. Papée za pomocą hipotezy, że tekst przywileju złożony jest z dwóch części, mianowicie: ze sporządzonego przez mnichów tyńieckich w roku 1105 spisu posiadłości i osadników, jakiegoś „prywatnego protokołu“ i z potwierdzenia tegoż, które Idzi, nadając spi-

sowi formę dokumentu, w r. 1124 skuteczni. Obecny na posiedzeniu dr. Kętrzyński bronił swego zapatrywania; prof. zaś Wojciechowski nie wszystkie interpolacje przyjmował; z niektórych nadań i postanowień bije wyraźnie woń starożytności.

W styczniu referował dr. Zdzisław Hordyński drugą część sprawozdania z nadesłanych przez dra Szeligę tek Twardowskiego, a mianowicie zajmował się procesem Filaretów.

Z zeznań Filaretów, znajduje się w tekach obszernie zeznanie Józefa Chodźki, na podstawie którego skreślił dr. Hordyński organizacją towarzystwa. Ocena działalności Filaretów zakończył prelegent sprawozdaniem o materyałach d-ra Szeligi; poczem p. Marczewski wskazał na kilka nowych przyczynków do charakterystyki Nowosilcowa, ogłoszonych w pismach rosyjskich, a rzucających nań odmiennie od dotychczasowego światło.

W lutym wreszcie miał prof. Balzer odczyt o t. zw. „Lauda Cracoviensia.“ t. j. o ugodzie między duchowieństwem i szlachtą w XV w. Nawiązując do wydanej świeżo pracy d-ra Ulanowskiego p. t. *Laudum Vartense*, przedstawił prelegent genezę ogłoszonego w Jus. pol. Bandtkiego p. t. „Lauda Crac.“ zabytku. Zgodnie z p. Ulanowskim, odrzuca p. Balzer datę 1447 jako błędną i zapytuje, wśród jakich okoliczności i kiedy mogło powstać owo laudum. Na rozstrzygnięcie tego pytania wpływa inny dochowany pomnik p. t. „Concordata dominorum laicorum cum praelatis ecclesiae“ (Star. prawa pol. pomniki IV), będące odpowiedzią na grawamina szlacheckie i to odpowiedzią duchowieństwa krakowskiego (nie całego duchowieństwa, jak przypuszcza p. U.). Ponieważ zaś laudum jest ugodą, przeto Concordata musiały powstać wcześniej od niego. Oba zabytki odnieść należy do owego okresu walki o dziesięciny i inne pretensye między stanem duchownym a świeckim, która rozpoczęła się w roku 1434, a toczyła na trzech zjazdach generalnych: w Warcie 1434 r. Sieradzu (maj 1435 r.) i Piotrkowie (sierpień 1435 r.), tudzież na jakichś zjazdach partykularnych, o których nie mamy wiadomości. Concordata powstały na zjeździe piotrkowskim; laudum nie było więc na żadnym z nich uchwalonem. Powstało ono dopiero na jak kimś zjeździe partykularnym małopolskim, a raczej ułożone zostało przez jakąś komisją, przez taką zjazd wydelegowaną i to, jak wykazuje prelegent, zestawiając rozmaite wskazówki źródłowe, najprawdopodobniej w r. 1437.

Z ruchem naukowym towarzystw, najlepiej dadzą się połączyć odczyty publiczne, których szereg mieliśmy we Lwowie, od rozpoczęcia wielkiego postu.

Pierwsze miejsce zajmują odczyty, urządzone przez lwowski oddział towarzystwa pedagogicznego, pod przewodnictwem prof. Gustawa Roszkowskiego. Rozpoczął je odczyt dra Ludwika Finkla „O Zygmuncie Auguście.“

Wybrałem dla tego charakterystykę tego króla, bo już dla współczesnych był on postacią zagadkową; jedni go sławili, prawie ubóstwiali (Górnicki), inni bardzo źle o nim mówili. Ta różnica sądów przeniosła się także do historii i do dziś w niej panuje. Czémże to wytłomaczyć, gdzie leży klucz do zrozumienia charakteru i działań Zygmunta Augusta. Naprzód w wychowaniu. Wychowywał się pod okiem Bony, uczył go włoch Andrea Silvio Siculus i Piotr Opałiński, oddany zupełnie królowej. Wychowanie to, pod względem nauk udzielanych, wykwiłne, nie wyrobiło w królu samodzielności. Bawił się w gronie niewiast, nie ćwiczył w rycerskich sztukach. Słuchał niewolniczo matki, bo w jej orszaku znajdował ją jedną świadomą swych celów osobę, na wędzidle dwór cały trzymającą. Okazuje się ta uległość jaskrawo w chwili, kiedy młody król wstępuje w pierwsze związki małżeńskie z Elżbietą rakuską. Nie troszczy się wcale o żonę, nie żyje z nią, bo boi się pani matki, która nową królową nienawidzi. Bona, aby zapobiedz zbliżeniu się małżonków, wysłała syna na Litwę w trzy miesiące po ślubie; żona jego zostaje na dworze. Ale środek ten nie odnosi pożądanego skutku, owszem wprost przeciwny. Syn, wydobywszy się raz z pod opieki macierzyńskiej, zmienia się od razu. Po 11-tu miesiącach rozłąki, spotkawszy się z żoną w Brześciu, czule ją wita, żyje wzorowo, natomiast nienawidzi odtąd matki; z uległego syna, staje się jej przeciwnikiem. Zkąd ta zmiana? Budzi się w nim jakby druga natura.

Zygmunt albo kocha, ulega — albo nienawidzi, unika. Natura to widocznie wrażliwa i namiętna. To nam tłómaczy miłość dla Barbary i wstręt ku Katarzynie; ciężkie walki, które przechodzi w duszy. W tych walkach widzimy zawsze jakby dwóch ludzi, borykających się ze sobą; jak gdyby owa krew włoska i jagiellońska, namiętność i wysokie poczucie godności, uczucia gorące i obowiązki ze sobą zgodzić się nie chciały. Tę dwoistość jego charakteru widzimy w życiu i panowaniu. Jest łagodny, łaskawy, przebaczący, ale zarazem dla innych mściwy, podejrzliwy, nieubłagany. Zwierza się chętnie, a jest skrytym; radzi się, a wedle rad nie postępuje; sprawiedliwy, a dopuszcza się gwałtów. Słowem, zlały się w nim niejako zasady pisane dla władców przez Modrzewskiego i Machiavella. tak różne, tak odmienne, jak natura polska i włoska. Wyszedł Zygmunt August z połączenia dwóch światów.

W panowaniu jego widzimy również dwie epoki, zupełnie do siebie niepodobne; przed wojną z Rosją i po niej. Rok 1562 jest jakby słupem granicznym. W pierwszej zajmuje w obec programu egzekucji i unii prawne odporne stanowisko, zwleka, usuwa jej artykuły, doniosłości ich nie przyjmuje. Dla utrzymania pokoju wewnętrznego w obec reformacji i kościoła chwiejnym się okazuje. Walczy w nim przywiązanie do religii katolickiej, z obawą wywołania rozruchów, podobnych do wojen we Francji. Łudzi się nadzieją rychłego połączenia powaśnionych wyznań...

Po wojnie na wschodnich kresach, kiedy ciężkie przejścia otworzyły mu oczy, zupełnie inaczej postępuje. On sam egzekucją podnosi, doprowadzenie unii za cel życia sobie stawia. Mimo odmiennych zapatrywań M. Radziwiłła Czarnego, owego powiernika, doradzczy, doprowadza ją do skutku, do takiego rezultatu, do jakiego w danych okolicznościach, wśród największych wysiłków, było można. W roku 1564 przyjmuje też uchwałę soboru Trydenckiego.

Drugi przemawiał w ratuszu lwowskim p. Leon Syroczyński, przedstawiając geognostyczną budowę ziemi polskiej. Wykład ilustrował prelegent wykonanemi przez siebie kolorowanemi mapkami. Za najstarszytniejsze utwory w obrębie ziem polskich, uważa p. Syroczyński granity na Ukrainie, warstwy podolskie, warstwy W. Księstwa Krakowskiego i części Zmudzi. Potém dopiero powstał grzbiet Karpat, wyżyna od Lwowa przez Brody po Brześć litewski. W trzecim okresie wytworzył się obecny ład przez zniknięcie mórz wewnętrznych. Czwarty wreszcie okres (dy- i aluwialny) przypada na epokę rozprzestrzenienia lodowców. Zmiany w ustroju ziemi oczywiście nie są przerwane; dowodzą tego i dziś powstające utwory, jak torfy, rudy, namuły rzeczne.

Trzecim z rzędu był odczyt p. Juliusza Starkla, redaktora „Gazety narodowej“ „O żywiole narodowym w wychowaniu.“ Myślą przewodnią było zapatrywanie, że pierwiastek narodowy w wychowaniu, którego znaczenie jest nadzwyczaj ważnym i dla tego powinien znaleźć swoje miejsce w pedagogii, że pierwiastek ten ma iść w parze z rozwojem ogólnoludzkiem humanitarnych zasad; nie ma to być nienawiść narodowa lub rasowa, którą wszczepić mamy w dziecię, ale miłość ojczystych rzeczy bez wyępienia szlachetnych popędów dla człowieka w ogóle. Jak druga ta ostateczność jest zgubną i kędy kieruje bieg spraw dziejowych, to nam ilustrował prelegent na licznych przykładach.

Następnym odczyt będzie miał prof. Roszkowski „O prawie wojny.“

Prócz odczytów towarzystwa pedagogicznego należy zanotować dwa odczyty ks. Stanisława Załęskiego o masonii w Polsce, oparte na długich studyach i materyałach rękopiśmiennych. Historią masonstwa w Polsce, poprzedził prelegent historią związków w ogóle, jego celów, ceremonii, i t. d. W Polsce masonstwo powstało za czasów saskich, a zakwitło za Stanisława Augusta, który sam był kawalerem loży masonskiej. Kilka loż dependowało nawet od wielkiej loży petersburskiej. Dopiero Aleksander I w r. 1822 wygnał masonstwo z Polski.

Od odczytów przechodzę do dzieł. Z literatury historycznej domaga się przed innemi wspomnienia książka dra Aleksandra Hirscherberga p. t. „Hieronim Łaski“, poważny tom o 323 stronach.

Główna w wieku XVI postać awanturника-dyplomaty, doczekała się wreszcie wyczerpującej monografii. Dr. Hirschberg pracował nad nią przez lat kilka, zebrał też materiał bardzo obfity, nie tylko rozproszony w drukowanych licznych zbiorach do historii dyplomacji europejskiej w XVI wieku, ogłoszonych w ostatnich kilku dziesiątkach lat, ale czerpał zarówno z archiwów (wiedeńskiego i peszteńskiego) i z rękopisów wielu bibliotek. Zebrany ten materiał podał dr. H. w swém dziele, przedstawienie bowiem losów i dyplomatycznych misji Łaskiego w taki sposób przed czytelnikiem rozwija, że rok po roku, prawie dzień za dniem śledzi swego bohatera; nie tyle opowiada sam, ile przytacza w przekładzie, dosłownie lub w obszernych wyciągach listy jego, relacje o nim, ustępy z kronik współczesnych i t. p. Jest to zarazem jakby kodeks korespondencji i papierów, odnoszących się do Łaskiego, powiązanych nicią opowiadania, postawionych na tle stosunków współczesnych. Ile jest w nim nowego, dotąd nieuwzględnionego, nieznanego — o tém sądzić w kronice, która niema zastąpić recenzji, nie odważylibyśmy się.

Postać Hieronima nadwyzczaj jest interesująca. Urodzony w r. 1496, synowiec arcybiskupa Jana Łaskiego, wykształcony we Włoszech, w młodych latach wojewodą sieradzkim, posłem polskim do Franciszka I, do Karola V, (1520) i do Rzymu (1523), obdarzony starostwem malborskim—opuszcza kraj, oddaje swe usługi niepewnemu na tronie Janowi Zapolji, przejmuje się jego interesem, naraża się na najrozlicniejsze niebezpieczeństwa, naraża na nie nawet Polskę, ściągając na siebie gniew króla, szyderstwo i niechęć współrodaków.

Wszędzie go pełno, urządza wyprawy we Węgrzech, zbiera wojska, jeździ często do Polski, częściej zabiega na dwór sultana w Konstantynopolu.

W r. 1527 jest w Niemczech, Francji i Anglii, w październiku t. r. w Konstantynopolu, w r. 1528 udaje się tam po raz wtóry; w r. 1529 po raz trzeci i w tymże roku znajduje się na zjeździe w Poznaniu; w r. 1530 odbywa czwarte poselstwo do Turcji, potem biegnie na dwory zachodniej Europy, ale go Ferdynand w Insbrucku zatrzymuje; w r. 1531 choruje na ostre zapalenie mózgu; w r. 1532 jedzie do Francji, walczy we Węgrzech przeciw zbójowi Moremu; w r. 1533 jest po raz piąty w Konstantynopolu. Czegóż chce tam osiągnąć, sławy, do której pcha go niepochamowana ambicja z poświęceniem nawet czci i honoru, bogactw, które pewnie mógł zyskać w Polsce, lub w Węgrzech. W r. 1527 dostaje Kezmark i hrabstwo spiskie. W r. 1529 dostaje opactwo szczawnickie, zostaje nominalnym wojewodą siedmiogrodzkim, ale on te bogactwa trwoni, jest w ciągłych kłopotach finansowych, wśród których, jak wśród tych podróży, ściera się bogate w epizody, wyposażone w niepospolite zdolności życie Łaskiego.

Niedość na tém. Nagle, niespodziewanie opuszcza go ten wielki zapal dla spraw Zapolji, rzuca go, zdradza, przechodzi na stronę wprost przeciwną t. j. do służby Ferdynanda cesarza niemieckiego.

Już w r. 1531 zaczyna się wahać, znosi się z dworem nieprzyjaciela Zapolyi. Ferdynand nie dowierza mu, na wygórowane warunki Łaskiego przystać nie chce. Łaski pozostaje więc dalej w służbie Zapolyi, przez co się oczywiście na wielkie niebezpieczeństwo naraża. Postępowanie jego wzbudza podejrzenie. W r. 1534 zamieszany w sprawę Grittiego dostaje się do więzienia. Byłby dał głowę, gdyby nie protekcyja polska. Tarnowski, który kiedyś gościł u siebie Zapolyą, sam na dwór jego przybywa z prośbą. Król uwalnia Łaskiego, ale pod warunkiem, że on i Tarnowski zaręczą, że przeciw niemu do Stambułu jeździć nie będzie. Dał takie słowo Hieronim, ale je złamał. Sam błaga Ferdynanda, do którego otwarcie przechodzi, „aby go nie zostawiał w bezczynności, co Bogiem się świadczę było jedynem pragnieniem, ambycją moją” (powiada str. 251). W r. 1539 jest po raz szósty w Konstantynopolu, w r. 1540 po raz siódmy. Tam z ust turka Luftego baszy słyszy te słowa: „nie będąc Niemcem, nie jesteś obowiązany służyć królowi niemieckiemu. Dla czegoż więc nie oddałeś swych usług królowi polskiemu? Niedawno był tu poseł jego, od którego dowiedzieliśmy się, że jesteś członkiem senatu polskiego i że wysoki piastujesz urząd w Polsce. Dla czegoż więc służyysz królowi niemieckiemu?”

Słabo bronił się Łaski, że to jest zwyczajem u narodów chrześcijańskich, że każdemu wolno wedle swego upodobania ofiarować swe usługi komu chce i cytował Reniona, który acz Hiszpan—służy królowi francuskiemu. Za te usługi niemieckie ściągnął Łaski na siebie gniew Solimana, długi czas trzymany był w więzieniu, musiał po raz wtóry przyrzec, że Ferdynandowi służyć nie będzie. ale turkowi nie chciał oddawać się, chociaż korzyści mogły być wielkie.

Sterany wreszcie powrócił do ojczyzny, aby w Krakowie 22 grudnia 1544 zakończyć burzliwy żywot. A ileż w tym żywocie ciekawych epizodów np. wizyta u Rotterdamczyka, roz mowa z Ibrahime-baszą, spotkanie się z reformatorem mahometańskim i t. d.

Ale my spieszymy dalej, musimy choćby z tytułu zanotować inne pojawy na polu historii i literatury. Wyszła obszerna historia ruchu społecznego w drugiej połowie XVIII stulecia przez Bolesława Limanowskiego napisana. Rozpoczyna ona przynajmniej wedle tytułu — „wydawnictwo młodzieży polskiej.” W historii tej streszcza p. Limanowski obszerną literaturę społeczno-reformatorską XVIII wieku, gdzieindziej i u nas. Zaczyna od scharakteryzowania prądów w okresie przedrewolucyjnym, potem idą fizyokracji i industrialisci, pisarze socjalistyczni Morelly, Rousseau, Mably; główne zagadnienia, poruszone przez rewolucyją francuską, wpływ jej na inne narody. Wilhelm Godwin, Tomasz R. Malthus, obszernie zajmuje się autor Polską i jej literaturą sejmu czteroletniego (278—400); wreszcie omawia wpływ francuskiej rewolucyi na amerykańskie narody i spiszek Grakha Babeufe. Wymieniam tylko spis rozdziałów, bo książka sama wymagałaby szerokiego wywodu.

Tu też może miejsce nawiązać do świeżo wyszłego I tomu „Roczników krajowej wyższej szkoły rolniczej w Dublanach” (Lwów 1888). Szkoła rolnicza w Dublanach istnieje od 29 listopada 1855 roku a zatem lat z górą 32. Historia szkoły, napisana przez prof. Aua, rozpoczyna roczniki i przedstawia w przejrzystym obrazie dotychczasowy jej rozwój. Samo powstanie szkoły jest ważnym ustępem z dziejów gospodarstwa rolnego u nas, usiłowań około jego podniesienia w czasach twardego zdobywania sobie każdej choćby wcale rządowi nieszkodliwej reformy. Od r. 1846, od chwili kiedy Leon ks. Sapieha podniósł myśl założenia szkoły rolniczej na pierwszym walnym zgromadzeniu towarzystwa gospodarskiego, lat z górą dzie sięć upłynęło, zanim mogła przybrać ciała. Ks. Sapieha był jej inicjatorem i protektorem zarazem, był t \acute{e} m dla rolnictwa w Galicyi, cz \acute{e} m D. Chłapowski dla Wielkopolski, Andrzej hr. Zamoyski dla Królestwa. „Przez cały ten przeciąg czasu komitet Towarzystwa gospodarskiego niezmiernie czyni zachody około zebrania drog \acute{a} składek i subwencji kapitału na zakupno majątku, stara się o zasiłki roczne na utrzymanie szkoły u rządu, u stanów i instytucji publicznych; układa kosztorysy i programy dla przyszłego zakładu, podając je do publicznej dyskusji; drukuje opisy urzędzenia różnych zakładów naukowych rolniczych europejskich i zajmuje się pozyskaniem i przysposobieniem odpowiednich sił fachowych. Brak funduszów i brak zawodowo wykształconych ludzi, oto szkopyły, o które rozbijają się najusilniejsze starania.” Utworzono naprzód na małe rozmiary szkołę w Łopuszn \acute{e} j, w majątku hr. Alfreda Potockiego. Kierownictwa podjął się ks. Antoni Klima, szkoła liczyła 10 uczniów, ale po roku istnienia upadła. Nie zraziło to Towarzystwa gospodarskiego, komitetu czuwającego nad projektem szkoły, do którego wchodzili Kazimierz hr. Krasicki i Ludwik Skrzyński. W r. 1853, 1-go listopada nabyto majątek Dublany pode Lwowem, mający 707 morgów ziemi. Sprowadzono nauczyciela z Grignon, Aleksandra Żelkowskiego, który acz jako kierownik nie mógł sobie dać rady; w pierwszych latach istnienia szkoły rzetelne, niepoślednie oddał jej usługi. Kiedy szkoła stanęła, nowe nasuwały się przeszkody; zakres jej nauk (niższy czy wyższy), obawa domorosłych rolników, aby teoria nie zabiła praktyczności, różne pokutujące dziś jeszcze przesady. Trudno t \acute{e} ż było o kierownika trudno o siły naukowe, w funduszach okazywał się ciągły niedobór, który pokrywał ks. Leon z własnej kieszeni lub z pomocą składek. Lepszych profesorów musiała sobie szkoła dopiero wykształcić, wysyłało zdolniejszych uczniów za granicę. Powoli jednakże ustępowały niepewności, praktyka okazywała najlepiej, jakiej szkoły potrzeba. Od otwarcia szkoły do 18 października 1887, uczyło się w niej 721 uczniów, z tych 601 pragnęło wyższego wykształcenia, zgłaszało się po ukończeniu gimnazjum lub szkoły realnej nieraz z dyplomem prawa lub filozofii... Od r. 1880 nie może też być do szkoły przyjętym, kto nie wykaże ukoń-

czonego gimnazjum, wyższej szkoły realnej lub odpowiedniego przygotowania. Od r. 1873 istnieje obok wyższej—niższa szkoła dla ekonomów, ofycyalistów i t. p. Są też zakłady dublańskie zabezpieczone pod względem fundusów, bo od 12 grudnia 1877 przeszły na własność i pod zarząd kraju. W roku 1886 stanął nowy szkolny budynek, na większe zbudowany rozmiary. Wreszcie pod względem urządzenia wewnętrznego, laboratorium i t. p. a zwłaszcza pod względem sił fachowych, nie ustępuje dziś szkoła dublańska za graniczym. Wykazał to (co do pierwszego) w obszernej rozprawie prof. Godlewski p. t. „Szkoły rolnicze w Niemczech,“ (co do drugiego) dr. Pawlikowski (w Nowej Reformie z 1886), który przez rok był uczniem szkoły roln. w Halli, a potem przez rok w Dublinach. Statystyka uczniów, podana w historii szkoły, jest bardzo ciekawa; z 721 uczniów było 423 synów właścicieli wiosek, 69 synów dzierżawców i t. d. Od r. 1865, mają uczniowie swoje towarzystwo bratniej pomocy, a od dwóch lat prowadzą własną kuchnię. Dyrektorem szkoły jest profesor rolnictwa p. Władysław Lubomęski.

Po historii szkoły następuje rzecz o jej organizacyi przez prof. Aua. Znajduje się w niej doskonała i obszerna replika przeciw wywodom tych, którzy chcieliby wyższą szkołę przenieść do miasta i utworzyć przy uniwersytecie (krakowskim) fakultet rolniczy. Po części, że tak powiemy, administracyjnej idzie część naukowa. Rozpoczyna ją sprawozdanie z prac na polu doświadczalnem w Dublinach, skreślone przez dyrektora Lubomęskiego; dalej o stacyi kontroli nasion przez prof. Godlewskiego (dowiadujemy się, że rolnicy dotąd nie pojęli wielkiej użyteczności takich stacyi, a przez 4 lata 67 prób zaledwie nadesłano); wreszcie o stadninie rządowej w Radowcach. przez prof. Kahanego i o nowym aparacie do mechanicznej analizy ziemi, skonstruowanym i opisanym przez prof. Manasterkiego.

We Lwowie 10 marca 1888.

L. F—l.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Nędza Galicyi w cyfrach i program energicznego rozwoju gospodarstwa krajowego. Napisał Stanisław Szczepanowski. We Lwowie, nakładem autora, drukiem Pillera i spółki, 1888, str. XXI, 2 nl., 218 in 4-to.

Książka niniejsza, pomimo poważnej swęj objętości, w czasie stosunkowo krótkim doznała szerokiego rozgłosu. Bardzo poważna część pism peryodycznych polskich, bez różnicy odcienia politycznego i społecznego, zamieściła obszernie sprawozdania o niej lub nawet wyciągi, bądź wyraźnie przyłączając się do wywodów autora, bądź podając je bez uwag ze swęj strony i, o ile mi wiadomo, bez znacniejszych zastrzeżeń co do dat przytoczonych. Sam autor, pragnąc pracą swoją, jak powiada na końcu przedmowy, wywołać dyskusyą „nad najważniejszą, nad jedyną kwestyą, która nas powinna zajmować; nad rozwojem całego gospodarstwa krajowego, jako rzetelnej podstawy do działalności politycznej i społecznej“, rozstał znaczną część pierwszego wydania, odbitego w 1,000 egzemplarzach, posłom, publicystom i innym osobom, zajmującym się sprawami publicznemi; a obecnie wyszło właśnie wydanie drugie, tanie, w równej liczbie egzemplarzy ¹⁾, co, jak na nasze stosunki, jest niewątpliwie bardzo wiele. W szerszych kołach czytającej publiczności, książka ta stała się nieraz powodem ożywionych dyskusyi, znajdując licznych zwolenników, zwłaszcza między częstszymi dziś u nas pesymistami, niezadko też z mniej jednak głośną spotykając się krytyką.

Kto książkę p. Szczepanowskiego zaczął czytać, ten niewąt-

¹⁾ Wiadomość dziennikarska o wydaniu w 20,000 egzemplarzy była niepotrzebną przesadą reporterską.

pliwie z zajęciem przeczytał ją do końca. Dotyka ona najżywotniejszych kwestyi ekonomicznych i z nimi w związku zostających kwestyi społecznych i pisana jest z werwą i z gorącym przejęciem się pilną potrzebą pracy nad rozwojem gospodarstwa krajowego, a przytém wykazuje śmiałe kombinacye i żywą wyobraźnię, którą obdarzony autor ogarnia szerokie horyzonty, wynajduje analogie i związki przyczynowe w ubiegłych czasach i innych stosunkach lub na odległych polach, okrasza rzecz dosadnemi porównaniami lub argumentami ad hominem. Autor określa przedmioty traktowane w wydatnych ogólnych rysach bez cieniowania szczegółów, z użyciem przeważnie wielkich tylko cyfer, unikając większych tablic, nie odwołując się za każdym razem do źródeł. Natomiast często powraca do tego samego przedmiotu i wplata nieraz obszerne, z przedmiotem w odległym związku zostające dygresyje np. o Bismarcku, o Fichtem i Herderze i t. p. Czytając książkę p. S. ma się wrażenie, jakby się czytało szereg mów, wypowiedzianych z zacięciem i zapałem lub szereg artykułów dziennikarskich, pisanych w podobny sposób z celem agitacyjnym, aby zainteresować, zagrzać i pozyskać dla popieranых zdań szerokie koła słuchaczy i czytelników i dać pohop do odpowiedniej myślom autora działalności praktycznej.

Ta cecha ogólna publikacyi p. S., która znaczenia jęj bynajmniej nie ujmuje, owszem jęj wpływ zwiększać tylko może, każe z nierównie większą pobłażliwością niż przy innego rodzaju pracach oceniać użycie barw jaskrawszych i położenie nacisku, choćby przesadnego, na te właśnie szczegóły, o które autorowi najbardziej chodzi. Jednakże większa swoboda w traktowaniu przedmiotu ma i w tego rodzaju pracach granice, których, pominąwszy już inne względy, bez szkody dla samejże popieranęj sprawy przekraczać nie można. W każdym razie materyał faktyczny musi być ostatecznie wiarogodnym a wyprowadzane zeń konkluzye nie mogą być takie, do jakich ten materyał nie daje dostatecznej podstawy, lecz muszą wynikać z niego z koniecznością lub przynajmniej ze znacznym prawdopodobieństwem.

Zachowanie wspomnianęj granicy staje się dla prac tego rodzaju o wiele trudniejszém, jeżeli wywody i konkluzye opierają się na materyale statystycznym, lub, co zwyklesze, jeżeli w nim szukają dowodów na poparcie zdań z góry, na podstawie ogólnego wrażenia, jakiego autor doznał, powziętych. Z jednéj strony znowu niedostatki organizacyi statystyki, zwłaszcza na polu ekonomiczném, istniejące w krajach najbardziej rozwiniętych, a w innych oczywiście o wiele znaczniejsze, sprawiają, że zebrany przez nią materyał jest bardzo różnej wartości i zbyt często nie polega na liczeniu, lecz na szacowaniu mniej lub więcej prawdopodobném, skutkiem czego nieraz ta sama data np. produkcji, konsumcyi, przychodu lub wartości majątków, przedstawia się w cyfrach bardzo znacznie różniących się między sobą, z których każdy wybiera najchętniej cyfrę najdogodniejszą

dla jego argumentacji. Z drugiej strony komplikacja objawów życia społecznego i związków przyczynowych między nimi zachodzących, nie pozwala najczęściej przyjąć pewnego poszczególnego objawu samego przez się za wystarczającą miarę pewnych stosunków, czy to pomyślnych czy niepomyślnych, tak jak to sobie wyobrażają i jak nieraz tego żądają szersze koła czytającej publiczności; lecz wymaga równoczesnego uwzględnienia rozlicznych współdziałających wpływów, z których niejedne nie dają się dokładnie zmierzyć i ocenić, a przez to nie może dać podstawy dostatecznej do stanowczych wniosków.

O ile książka p. S. zachowuje wspomniane poprzednio granice i liczy się z wskazanymi trudnościami, zobaczymy poniżej. Przedtem chcę zestawić w krótkości główny tok myśli autora bez względu na materiał cyfrowy, którym autor swoje twierdzenia popiera, a który na razie zupełnie na boku zostawiam.



Galicja, której ludność w bardzo przeważnej części trudni się rolnictwem oraz ubocznymi jego gałęziami, jest krajem w stosunku do innych krajów europejskich nader gęsto zaludnionym. Produkcja rolnicza Galicji jest mimo to stosunkowo mała i to równie w zbożu, jak w mięsie i mleku, zatem wydatność pracy rolników w Galicji mniejsza niż gdzieindziej. Niemniej pozostała Galicja poza innymi krajami co do warunków rozwoju produkcji. Nie umiemy czy też nie chcemy korzystać ze skarbów pracy wytrwałej, do której nasz lud wszędzie po za własnym krajem a nawet wyjątkowo i w Galicji tak wybitną zdolność okazuje. Nagromadzenie kapitałów u nas nader słabe, organizacja finansowa nader późno się wyrobiła i to tłómaczy poniekąd niemożliwość rozwoju nawet tego co mamy. Postęp w tym kierunku jest, lecz w porównaniu z innymi krajami bardzo mały, z wyjątkiem tylko dróg żelaznych, w które jesteśmy stosunkowo nie źle zaopatrzeni; korzyść tę zmniejszają jednak niepomyślne dla nas taryfy kolejowe.

Wyżywienie ludności galicyjskiej jest przeszło dwa razy gorsze niż w zachodniej Europie, jak się okazuje z porównania ludności z produkcją zboża, kartofli i mięsa, po strąceniu ilości, potrzebnych na zasiew, na wyrób piwa i spirytusu oraz po uwzględnieniu dowozu i wywozu. Konsumpcja artykułów koniecznych i zbytkowych, przypadająca w Galicji na głowę ludności, jest bardzo mała i daleko mniejsza niż gdzieindziej z wyjątkiem wódki. Jeżeli mimo to wywozimy przedmioty pożywienia, to przyczyna tego leży nie w nadmiarze produkcji, ale w potrzebie zakupna rozmaitych artykułów i pokrycia ciężarów publicznych i prywatnych.

Obliczenie ciężarów publicznych w podatkach rządowych, krajowych i lokalnych wykazuje, że Galicja w porównaniu z innymi kra-

mi, płaci najmniej podatków w stosunku do ludności. Mimo to w stosunku do swojej minimalnej siły podatkowej, musi być uważaną za kraj najbardziej obciążony podatkami.

Ciężary hipoteczne i długi krajowe z zagranicy tudzież kwoty, potrzebne corocznie na ich oprocentowanie i amortyzacyą, mimoszybkiego ich wzrostu, nie są wielkie w porównaniu z ludnością sześciomilionową a nader małe w stosunku do innych krajów, lecz nadmierne w stosunku do małej wartości majątku naszego i do ubóstwa kraju.

Dowóz produktów do Galicyi również jak wywóz naszych płodów, biorąc miarę z wykazów kolei Karola Ludwika, w r. 1869 i w r. 1883, zatem w latach 14, potroił się, lecz w obecnych stosunków, ten nadmierny rozwój handlu zewnętrznego jest dowodem nie nadmiaru produkcji, ale braku siły konsumcyjnej, t. j. możliwości zakupna, a przeto braku zarobku u licznych warstw naszej ludności. Nie mając własnych przemysłowców, nie mamy domowych konsumentów na nasze płody i musimy je spieniężać zagranicą z uszczerbkiem daleko pewniejszego i zyskowniejszego handlu wewnętrznego.

Bilans gospodarstwa krajowego, jeśli policzymy to, co poza kraj rocznie wyplacamy, a strącimy część pokrytą wywozem płodów naszych, wykazuje roczny niedobór finansowy. Pokrywamy go sprzedażami ziemi, lasów, sprzedają obcym obligacyi indemnizacyjnych, listów zastawnych i akcji kolejowych.

W związku z tem zostaje niedobór życiowy, o którym świadczy niska przeciętna długość życia, i śmiertelność wzrastająca daleko prędzej od cyfry urodzin. Z nędzy ginie u nas około 55000 ludności rocznie.

Najniebezpieczniejszém wreszcie następstwem anemii ekonomicznej, jest niedobór społeczny, t. j. nadzwyczaj mała liczba obywateli kraju wykształconych i niezależnych. Stan ekonomiczny ludności wiejskiej oplakany, czyni utworzenie z niej obywateli wykształconych i niezależnych o wiele trudniejszém niż gdzieindziej. Liczba właścicieli większych posiadłości, po strąceniu cudzoziemców i żydów, jest stosunkowo mała, dochód jej, jak na warstwę najzamożniejszą kraju sześciomilionowego, bardzo szczupły, zwłaszcza jeśli strącimy znaczną część na kilkanaście fortun magnackich. Warstwa ta jest w upadku, gdyż przeważna jej część, żyjąc nad możność, co roku nowe długi zaciąga i żyje z kapitału a przeto nie jest zdolną do doniosłej inicjatywy politycznej. Przyczyną, która wstrzymywała dotąd te następstwa złego gospodarstwa, było ciągle podnoszenie się wartości ziemi, które jednak obecnie zdaje się ustało. Rękodzieła, przemysł i handel zatrudniają ilość ludności krajowej nader szczupłą. Zakłady przemysłowe istniejące wystarczają na to, aby wykazać, że wielki przemysł jest możliwy w Galicyi, stan rzemiosł z wyjątkiem Lwowa i Krakowa oplakany. Stosunkowo najpomyślniej wygląda stan handlowy, pokaźny liczbą, w skutek nadmiernego rozwoju wywozu i dowozu. Natomiast jest jedna warstwa ludności, która od wielu lat

ciągle się rozwija i która góruje nad wszystkimi innymi i organizacją i liczbą i wykształceniem i zbiorowym dochodem. Jest nią biurokracja rządowa i samorządna, wraz z duchowieństwem i stanem nauczycielskim, w obec której inteligencja niezależna (adwokaci, weterynarze, lekarze, architekci i t. d.) dziesięć razy mniej jest liczną.

Przyuszczalne obliczenie dochodu wszystkich warstw społecznych okazuje, że warstwa właścicieli tabularnych, stojąca społecznie na czele, jako czynnik ekonomiczny stoi prawie na ostatnim miejscu. Inteligencja niezależna — i liczbą i ekonomicznie bez znaczenia. Galicya jest przeważnie krajem chłopskim, ale „uobywatelnienie“ ludu wiejskiego zaledwie rozpoczęte nawet co do czytania i pisania. Nie o wiele dalej posunięte uobywatelnienie żydów, stanowiących większość stanu kupieckiego i przemysłowego. Nasze własne mieszczaństwo bez wszelkiej styczności z resztą narodu i rozbite na drobne koterie, z wyjątkiem Lwowa i Krakowa, pozbawione tradycyi historycznej, pod względem ekonomicznym nie dobrze w radach miejskich gospodaruje a pod względem wykształcenia okazuje ogólny zastój nie tylko co do wykształcenia szkolnego, ale co do nieskończone wazniejszych środków wykształcenia obywatelskiego, literatury peryodycznej i książek.

Dla braku organizacji, wykształcenia, charakteru i poglądów szerszych u żywiołów, które powinny tworzyć stan średni: szlachta pozostaje u steru, ale za słaba i liczbą i dochodem, aby stanąć o własnej sile, nie dość przejęta prądem dziejowym: naszymi tradycjami politycznymi, aby przodować w pracy uobywatelnienia ludu wiejskiego, żydów i mieszczaństwa, wybrała drogę stopniowej abdykacji własnej, opierając się o biurokracyą.

W miarę jak się przekonywano, że nadzieje, przywiązywane do samorządu pod względem odrodzenia kraju, nie spełniły się, nie spełniły się zaś, bo nie zdobyto się na ofiary, aby dostarczyć samorządowi potrzebnych na to środków, powstało urojenie, że to samo osiągnie się wygodniej siłami obcemi, przez biurokracyą i przez łaski z budżetu wiedeńskiego.

Punkt ciężkości wszystkich spraw krajowych przeniósł się do Wiednia a jakkolwiek polonizacya służby publicznej przyniosła znaczne korzyści, to skutkiem jednostronnej u nas przewagi karyer urzędniczych, uczyniła mnóstwo rodzin wykształconej warstwy społecznej zależnemi od Wiednia, do którego wszyscy się garną, porzucając ciasne pola działania w kraju.

Jednem z następstw opanowania opinii publicznej przez warstwy nieproduktywne, jest panowanie fałszywych poglądów ekonomicznych, upatrywanie błędne przyczyn złego. Takimi błędami są: narzekanie na emigracyą ludu do Ameryki i na brak ludności; dalej wstręt do podatków, podczas gdy dla produkcji krajowej daleko ważniejszém jest obniżenie taryf kolejowych, niż obniżenie produktów a podwyższenie produkcji, która jest najpilniejszą potrzebą, lecz tylko

przez podwyższenie podatków autonomicznych i przez wkłady za pomocą nich czynione da się osiągnąć. Błędem jest dalej wołanie o ułatwienie kredytu, który dziś jeszcze przeważnie na cele nieproduktywne bywa użyty a równoczesna niechęć do nałożenia podatków lub zaciągnięcia kredytu publicznego na cele produkcyjne. Błędem jest upatrywanie rachunku ekonomicznego w cłach ochronnych na zboże, które dla kraju eksportującego, jak Austro-Węgry, nie mają żadnej doniosłości a okupione są znacznym podrożeniem wyrobów przemysłowych. Błędem socjalizm, ponieważ nie lepszy podział, ale zwiększona produkcja jest lekarstwem na naszą nędzę, a stworzenie kapitalistów i stanu średniego u nas głównym zadaniem społecznym. Błędem antysemityzm, gdyż jak wykazują przypuszczalne obliczenia dochodów ludności chrześcijańskiej i żydowskiej, przewaga żydów tak długo tylko jest rzeczywistą, jak długo trwa nasze niedołęztwo, brak najmniejszego wysilenia na polu ekonomicznym. Ludność żydowska może i powinna być zasymilowaną z społeczeństwem; czego już przykłady mamy.

Konkluzje i program rozwoju ekonomicznego. Okres dwudziestoletni, w którym, przeceniając doniosłość stosunków prawno-politycznych i wpływ maszyneryi administracyjnej, lekceważono lub zaniedbywano stosunki ekonomiczne, i zapomniano rozwijać siły produkcyjne organizmu narodowego, spowodził w realnych skutkach wspomniane trzy niedobory: finansowy, życiowy i społeczny. Potrzeba nam odrodzenia moralnego i oszczędności, potrzeba rozwinąć siły wytwórcze kraju. W tym celu należy nam podwoić detychczasową produkcją krajową w drodze gospodarki nakładowej, zastosowanej jak najenergiczniej i najszybciej do wszystkich gałęzi gospodarstwa krajowego.

Gdyby Galicya mogła uzyskać własną administracją podatków bezpośrednich, toby z drugiej strony mogła przyjąć na siebie cały budżet edukacyjny i wszystkie wydatki na subwencje kolejowe oraz na oprocentowanie kolei transwersalnej. W celu uzyskania tego samorządu, opłaciłoby się nam zwiększyć o 1½ lub nawet o 2 miliony zwykłą dochodu państwowego z Galicyi a byłibyśmy na przyszłość w możliwości nakładowego gospodarstwa na wzór Węgier, z coraz to większym pożytkiem dla nas samych i dla skarbu państwa, którego dochód z Galicyiby się rok-rocznie o kilka milionów podnosił. Wpływ nasz polityczny, oparty na rzetelnych budżetowych podstawach, zwiększyłby się znakomicie.

Jednakże nawet w obecnych granicach autonomii bardzo wiele dokazać można.

Propinacya, w razie wykupna jej przez kraj, mogłaby się stać źródłem znacznego dochodu dla kraju i wykupno to uchyliłoby do reszty rozdział między gminą a dworem.

Przeprowadzenie zniżenia taryf kolejowych, choćby w drodze pokrycia możliwego uszczerbku w dochodach kolei z funduszu krajo-

wego, oraz wykupno sieci kolei galicyjskich byłoby zawsze możliwem z największą dla kraju korzyścią.

Co do rozwinięcia przemysłu, należy pójść za propozycjami dr. Rutowskiego w jego publikacjach.

Co do rolnictwa, to nie zapuszczając się w szczegóły, należy, obok kwestyi taryf, tutaj najdonioślejszej, wskazać na podźwignięcie mleczarstwa i wyrobu masła przez mleczarnie maszynowe, przy pomocy funduszków krajowych, na założenie stacyi doświadczalnych w całym kraju, na uzupełnienie sieci kolejowej taniemi kolejami lokalnemi, na wprowadzenie w małych posiadłościach chłopskich gospodarstwa rydlowego t. j. uprawy ręcznej zamiast koni, które chłopa objadają, na melioracye, które przez obniżenie cen przewozowych i przez ułatwienie zakupna nawozów staną się rentownemi, tam, gdzie dziś się nie opłacają, dalej na parcelacye, mające zarazem wielką doniosłość społeczną, jako tworzące zasobną warstwę albo mniejszych właścicieli albo dzierżawców.

Najważniejszym jednak i najdonioślejszym wynikiem rzeczywistego samorządu, byłoby wyrobienie narodowego systemu wychowania, skuteczniejszego od systemów obecnie w Europie przyjętych a to przez oparcie się o wzory Konarskiego, komisji Edukacyjnej, Ks. Czartoryskiego i Czackiego. Z wszystkich czynników najobficiej jesteśmy zaopatrzeni w ludzi. System dobrego wychowania z ciężaru zamieni ten nadmiar na bogactwo.

* * *

Jak wskazuje powyższe zestawienie głównego toku myśli autora, które starałem się uczynić jak najwierniejszém a zarazem, ile możliwości, zwięzłém, książka p. S. przechodzi w końcowych rozdziałach od rozbioru stosunków ekonomicznych Galicyi, do omówienia stosunków politycznych a mianowicie politycznego znaczenia poszczególnych warstw naszego społeczeństwa i stosunku Galicyi do państwa. Zajmijmy się najprzód poglądami autora na stosunki ekonomiczne.

Jest rzeczą niewątpliwą, że Galicya, jak na kraj przeważnie rolniczy, jest nader gęsto zaludnioną. Również można przyjąć za pewne, że produkcya rolnicza Galicyi jest stosunkowo jeszcze bardzo małą, niemniej, że w obec małej produkcji rolniczej, w obec nierozwiniętego przemysłu i wywozu pewnej części płodów rolniczych poza granice kraju, wyżywienie bardzo przeważnej części ludności jest liche. Wszyscy znający stosunki krajowe, podzielają powyższe zapatrywania, które też przy rozmaitych sposobnościach były wypowiedzane i uzasadniane. W szczególności niech mi tu wolno będzie odwołać się do rocznika VIII Wiadomości statystycznych ¹⁾, w któ-

¹⁾ Wiadomości statystyczne o stosunkach krajowych, wydawano przez krajowe biuro statystyczne pod redakcyą prof. T. Pilata, rocznik VIII, zeszyt I. Lwów 1883.

rym, przedstawwszy szczegółowo stosunki zaludnienia powiatów galicyjskich w porównaniu z okręgami równorzędnymi innych krajów napisałem: „niepodobna znaleźć w Europie kraju lub okręgu większego, któryby, będąc tak wyłącznie rolniczym jak Galicya, miał zarazem w tym stopniu gęstą ludność. Dla tego też cyfry gęstości zaludnienia powinny być dla nas napomnieniem, abyśmy starali się z jednej strony o zwiększenie ile możności naszej produkcji rolniczej, która ma nam starczyć nietylko na utrzymanie, lecz i na wywóz, nie bowiem innego nie możemy dziś ofiarować dla zaopatrzenia się w potrzebne płody obcego przemysłu, a następnie z drugiej strony, abyśmy się starali o podźwignienie przemysłu w kraju, przemysł bowiem jedynie może tak licznej ludności dopomódz do utrzymania się, on też najskuteczniej będzie stronił przed zbytniem rozdrobnieniem własności ziemskiej i towarzyszącem mu zwykle wychodztwem, a dla rolnictwa stworzy stałych miejscowych konsumentów, których nie odbierze żadna polityka cłowa lub taryfowa państw ościennych.”

Podzielając zapatrywania powyżej wskazane, nie mógłbym jednak żadną miarą zgodzić się na cyfrowe ich sformułowanie i uzasadnienie w książce p. S., a w szczególności na obliczanie wydajności pracy rolniczej przez porównanie produkcji rolniczej z ludnością rolniczą, a następnie na podane tam obliczenie konsumpcji na głowę ludności. Rezultaty obu tych obliczeń p. S. po porównaniu z innymi krajami streszcza w twierdzeniu: „każdy galicyjanin pracuje za ćwierć człowieka, a je za pół człowieka.“ Pozwolę sobie wejść tu nieco w szczególności techniczne, ponieważ cyfry, z których autor wyprowadza owo twierdzenie, stanowią podstawę jeszcze dalszych jego wywodów.

Statystyka produkcji ekonomicznej jest niestety tym działem statystyki, w którym zbierane daty powszechnie najwięcej dotąd pozostawiają do życzenia pod względem dokładności. O ile produkcya nie jest poddana kontroli podatkowej lub policyjnej, lub o ile ta kontrola jest niedokładną jak np. przy podatku ryczałtowym, wiadomość o wyprodukowanych ilościach zależeć musi od zeznań samychże producentów, którzy nie mają interesu w podaniu jej rzetelnie, a bardzo często pod wpływem obawy wyższego obciążenia, bądź rzeczywistej, bądź urojonej, nie są skłonni do zeznania prawdy. Zeznania producentów muszą być tedy w najlepszym razie kontrolowane, a zwykle nawet zastępowane przez szacowanie ilości wyprodukowanych na podstawie momentów, których zbadanie możliwe jest osobom trzecim, jak np. ilość morgów zajętych pod uprawę pewnej rośliny, ilość krów dojnych, ilość przyrządów do produkcji przemysłowej i t. p., a które zostają w bliskim związku z rezultatem produkcji. Bardzo często jednak i ta podstawa do oszacowania rezultatu produkcji, nie może być uzyskaną w drodze ścisłego liczenia, lecz znowu tylko w drodze szacowania, skutkiem czego wiadomość o rezultacie produkcji staje się znacznie mniej wiarogodną. Jak dziś rzeczy stoją, to z wyjątkiem stosunkowo nielicznych wypadków ścisłej kon-

troli produkcji ze względów podatkowych lub policyjnych, statystyka produkcji ekonomicznej we wszystkich krajach europejskich, polega przeważnie na danych, pochodzących z szacowania bądź pojedynczego, bądź podwójnego, a nawet nieraz więcej niż podwójnego. Daty te są zatem tylko przybliżone, a stopień ich zbliżenia do prawdy jest bardzo różny i zależy od pewności podstaw szacowania, od uzdolnienia osób, zbierających daty i od współdziałania, a przeto zwykle od oświaty ludności, od ilości gospodarstw lub zakładów, z których mają być zebrane daty względnie od obszaru kraju i t. p. tak dalece, że podczas gdy w jednych krajach i gałęziach produkcji niedokładności trafiać się mogą najwięcej w dziesiątkach lub setkach tysięcy, w innych sięgać mogą i w miliony hektolitrow, centnarów i t. p. W ogólności w Europie wiarogodność dat produkcji ekonomicznej, zmniejsza się od zachodu ku wschodowi. Wynika stąd, że porównania dat produkcji ekonomicznej rozmaitych krajów dają rezultaty wartości przeważnie bardzo wątpliwęj, zbyt wątpliwęj, żeby można na nich opierać określone i stanowcze wnioski. Daty te służyć mogą dzisiaj przeważnie tylko (i to oczywiście, o ile są zbierane a nie układane przy zielonym stoliku) do porównań w obrębie obszaru takiego, w którym zbieranie dat odbywa się w jeden i ten sam sposób i w tych samych warunkach, zatem przypuszczalnie z jednaką dokładnością, a przeto do porównań między okręgami tego samego kraju (prowincyi) lub czasem i państwa, albo téż, i to jeszcze lepiej, do porównań produkcji tego samego okręgu w rozmaitych latach, o ile nie zaszła znaczniejsza zmiana w sposobie zbierania dat. W każdym razie, bez ubliżenia komukolwiek, a przedewszystkiem prawdzie, możemy powiedzieć, że Galicya, Królestwo Polskie, Węgry i Rumunia, z których daty przed innemi służyć autorowi za podstawę do porównań i dalszych wywodów, należą do krajów, o których produkcji rolniczej i przemysłowej nie mamy dosyć dokładnych wiadomości, że przeto porównania dat produkcji każdego z tych krajów z innymi krajami, równie tu wymienionymi, jak z krajami zachodnimi, zbyt łatwo prowadzić mogą do konkluzyi całkiem błędnych, a błędy zwiększające się przez dalsze operacje rachunkowe, sięgać mogą aż w milionowe cyfry ¹⁾.

W obec tego stanu statystyki produkcji ekonomicznej, prawdziwie mrowie przechodzić musi statystyków z powołania, którzy pracując nad ulepszeniem metod badania, walczyć muszą i z niechęcią dla dodatkowego zajęcia u organów, zbierających daty i z brakiem zrozumienia rzeczy lub uprzedzeniami i z trudnościami finanso-

¹⁾ I tak np. stosownie do tego, czy przyjmiemy przeciętny udój dzienny z jednej krowy o $\frac{1}{2}$ litra większy lub mniejszy, otrzymany u obu ilości 1,150,000 krów, jaką spis z r. 1880 wykazał w Galicyi, różnicę o 209,300,000 litrów rocznie, czyli licząc litr po 4 centy, o 8,393,840 złr.

wemi, skoro widzą jak daty przez nich zebrane, które sami uważają nieraz za ledwie za przybliżone i oceniają raczej jako wskazówkowe orientacyjną, jako punkt wyjścia dla badań stopniowo coraz dokładniejszych, używane bywają bez wahania za podstawę do najrozmaitszych kombinacji i najbardziej stanowczych sądów w tém zaufaniu, że chodzi tu tylko o wielkie cyfry i że w tych wielkich cyfrach możliwe niedokładności kompensują się nawzajem. W szczególności tego wrażenia doznają do pewnego stopnia i ja w obec użytku, jaki autor robi z dat produkcji rolniczej, tudzież mlecznej, zbieranych pod mojem kierownictwem, jako referenta statystycznego w komisji galicyjskiego towarzystwa gospodarskiego od r. 1874 ¹⁾.

Autor nie poprzestaje na porównaniu produkcji rolniczej galicyjskiej z takąż produkcją Anglii, Irlandyi, Francyi, Niemiec, Królestwa Polskiego, Węgier i Rumunii, lecz zliczywszy wszystko zboże bez różnicy razem, pomija produkcją mleczną i redukuje kartofle i mięso na zboże, przypuszczając, że kartofle równają się „jednej czwartej ilości zboża, podczas gdy mięso przyjmuje się w siedmiokrotnej wartości zboża“. Otrzymaną w ten sposób ilość płodów, wyrażoną w zbożu, porównywa z ludnością rolniczą i uważa ilość, wypadającą w każdym z powyższych krajów na głowę ludności rolniczej, jako miarę wydajności pracy rolniczej (str. 7).

Pominąwszy, że przy użytém do tego porównania obliczeniu produkcji zbożowej Galicyi, autor opuścił oprócz jarzyn hreczkę (według przecięcia 10-letniego 836,000 cetnarów metrycznych) i proso (271,000 cetn. metryczn.), które to dwa artykuły podnoszą produkcją rolniczą Galicyi o 1,100,000 cetnarów metrycznych, a przypuszczalną jej wartość, według cen targowych, o 7,600,000 zlr., musimy nawet w razie, gdyby użyte za podstawę porównania cyfry produkcji były wszystkie wiarygodnymi, czém jak wiadomo nie są, oświadczyć się przeciwko przyjęciu obliczonego w powyższy sposób szeregu cyfr, za miarę wydajności pracy rolniczej. Autor tutaj zapominał, że nie sama praca, ale i kapitał jest czynnikiem produkcji, chociaż w innych częściach swęj książki podnosi tak słusznie znaczenie kapitału i wkładów kapitałowych dla produkcji rolniczej. Nie można większych rezultatów, które znaczniejsze wkłady kapitałowe

¹⁾ O sposobie zbierania w okręgu tego towarzystwa dat produkcji rolniej, które uważam za wiarygodniejsze od dat produkcji mlecznej, podawanych przez tych samych korespondentów, lecz nie co roku i z mniejszej liczby miejscowości, zawierają szczegółową wiadomość prace moje: „O metodach zbierania dat do statystyki żniw“ Lwów 1871 i „Zbiory w Galicyi“ w r. 1876, w III-im roczniku „Wiadomości statystycznych.“ Od tego czasu jakoś dat polepszyła się raz przez poprawne daty obszaru ról większej i mniejszej posiadłości, a następnie przez zwiększenie ilości korespondentów i znaczniejszą ich wprawę. Cyfry galicyjskie uważam za będące niżej rzeczowości.

sprowadziły, kłaść wyłącznie na karb większej wydajności pracy rolników, której udział mógł być w tych wypadkach taki sam, jak w innych, z niemi porównywanych. Wcale zaś już niedopuszczalnem jest liczyć za rezultat pracy, liczyć na karb wydajności pracy ludzkiej, produkcją mięsa z bydła, tuczonego się na pastwiskach, w szczególności np. w Anglii, która widząc, że jej się nie opłaci współzawodniczyć z innymi krajami w produkcji zbożowej, coraz to znacznie częściej swoich gruntów ornych, zamienia na pastwiska. To samo dzieje się do pewnego stopnia i w Irlandyi. Udział stosunkowy kapitału i pracy ludzkiej w produkcji rolniczej, tak samo jak w innych gałęziach produkcji cyfrowo określić się nie da; jest on jednak niewątpliwie jak w rozmaitych gospodarstwach tak i w rozmaitych krajach bardzo różnym. Skutkiem tego nie można rezultatu produkcji brać za miarę porównawczą samejże pracy i mówić: w tym kraju pracuje rolnik mniej niż w innych. bo tu mniejsza ilość produktów przypada na głowę ludności rolniczej; w szczególności Galicyanin pracuje w porównaniu z innymi za „ćwierć człowieka“. Nie można zaś tego tómu bardziej jeszcze mówić, skoro jak wykazałem powyżej, daty produkcji rolniczej są bardzo nierówniej wiarygodności i powszechnie jeszcze dosyć chwiejne, skoro dalej obliczenie ludności podług zatrudnienia a zatem także obliczenie ludności rolniczej, stanowi dotąd najwięcej ulepszenia potrzebujący dział w spisach ludności, skoro wreszcie stosunek liczby zdolnych do pracy a przeto przypuszczalnie (według statystyki) pracujących do niezdolnych do pracy (dzieci, starcy, kaleki i t. p.) w rozmaitych krajach znacznie jest różnym.

Na cyfrach produkcji rolniczej opiera autor obliczenie konsumpcji, pod względem której porównywa znowu ludność galicyjską z ludnością krajów poprzednio wymienionych. Od cyfry produkcji zboża i to samo od cyfry zebranych kartofli strąca część na zasiew, część na wyrób spirytusu lub piwa; od pozostałych zaś cyfer produkcji tych artykułów, tudzież cyfer produkcji mięsa strąca wywóz, względnie dodaje do nich dowóz i dochodzi w ten sposób do tabliczki rocznej konsumpcji zboża, kartofli i mięsa, wypadającej na jednego mieszkańca w Anglii, Niemczech, Francyi, Belgii, Węgrzech i Galicyi (str. 24).

Między statystykami i ekonomistami przeważa dziś stanowczo zdanie, że wartość obliczonej w ten sposób przeciętnej cyfry konsumpcji na głowę ludności jest bardzo problematyczna. Wystarczy może powołać się w tej mierze na odczyty i rozprawy najznakomitszych reprezentantów tych nauk na posiedzeniach międzynarodowego instytutu statystycznego w Rzymie w r. 1887 ¹⁾ i na zdanie Lexis'a

¹⁾ Por. Bulletin de l'institut intern. de statistique. Tome II 1-er livraison année 1887, zwłaszcza wykład Keleti'ego: „l'alimentation en Hongrie p. 76—91. a następnie sprawozdanie o tej publikacji w wiedeńskiej Statistische Monatschrift r. 1887 p. 648 i nast.

w Schönberga zbiorowym podręczniku Ekonomii politycznej ¹⁾). Przyczyny małej wartości owej cyfry przeciętnej, zwłaszcza jako podstawy do porównań rozmaitych krajów pomiędzy sobą, leżą najpierw w chwiejności podstaw przy obliczeniu ilości płodów, przeznaczonych na spożycie, zatem niedostatecznej i w rozmaitych krajach bardzo różnej wiarogodności dat produkcji tudzież oszacowań potrzeby i na zasiew i na konsumpcją rzeczową. Niewielkie różnice w oszacowaniu potrzeby obsiewu, różnej z resztą przy rozmaitych gatunkach zboża, czego zbyt często obliczenia podobne nie uwzględniają) w oszacowaniu udaju rocznego z jednej krowy lub ilości mięsa z jednej sztuki bydła, przy pomnożeniu przez liczbę hektarów obsianych w całym państwie, przez liczbę krow i owiec, (kóz) dojnych lub bydła rzeźnego (zkaąd wziąć tę datę w Galicyi?) urastają w różnice o miliony ²⁾). Jakże teraz oprzec można wnioski o wyższości lub niższości pewnego kraju w obec innych pod względem wyżywienia ludności a jeszcze bardziej wnioski, określające stopień tej wyższości lub niższości („Galicyanin ję za pół człowieka“) na różnicach, które w tak znacznej części mogą wypływać jedynie z różnic w przyjęciu trochę wyższej lub trochę niższej jednostkowej podstawy szacowania? Dalsza przyczyna małej wartości owej cyfry przeciętnej leży w nieuwzględnieniu znacznych różnic w potrzebie pożywienia mężczyzn dorosłych, kobiet i dzieci, z którychto ostatnich, dzieci niżej 1 roku żywią się przeważnie tylko mlekiem matki (dzieci tych w Galicyi jest blisko 209000). Stosunek ilości dzieci do ogółu ludności jest przytęm w rozmaitych krajach bardzo różny (w Galicyi np. ludność w wieku niżej lat 15 stanowiła 37·89% we Francyi 26·74% całej ludności). Wreszcie pamiętać należy i o tęm, że w rozmaitych krajach ogół przedmiotów pożywienia, będących do dyspozycji, rozdziela się w sposób bardzo rozmaity i często bardzo nierówny między rozmaite okolice i rozmaite warstwy ludności. Wszystkie wskazane tu różnice zupełnie są zatarte przy obliczeniu ogólnej cyfry przeciętnej, konsumpcyi na głowę, która to cyfra, nawet przypuściwszy dokładność zupełną dat produkcji, wywozu i t. p. może mieć tylko taką wartość, jak przeciętna cyfra wzrostu wszystkich mieszkańców pewnego kraju bez różnicy wieku, nie wyłączając nawet dzieci nowonarodzonych.

Autor nasz, przystępując do porównania ilości pokarmu, potrzebnej według fizjologii do wyżywienia człowieka, z ilością, jaka, według jego obliczeń, wypada na głowę ludności w Galicyi, uwzględnił różnice wieku i płci w ten sposób, że przyjmąwszy, iż na rodzinę z 6 głów złożoną przypadać powinno tyle pożywienia, co na czterech dorosłych mężczyzn, zmniejszył racją potrzebną według wymagań

¹⁾ Schönberg: Handbuch der pilitischen Oekonomie, 2 wydanie 1887, I, str. 709.

²⁾ Zob. przykład przypisku na str. 307.

fizyologicznych o $\frac{1}{3}$. Tę zmniejszoną racją porównywa autor dopiero z ilością, wypadającą w Galicyi na głowę ludności. Zawsze jednak pominięte pozostają różnice między rozmaitemi okolicami kraju i między warstwami społecznymi, z których w Galicyi mianowicie liczna ludność żydowska wymaga odrębnego uwzględnienia. Pominięte też pozostają różnice w ilości części pożywnych między rozmaitymi gatunkami zboża. Przedewszystkiem zaś sama już wspomniana chwiejność podstaw, użytych do obliczania przeciętnej sprawia, że porównanie, przez autora przedsięwzięte, nie może starczyć za dowód, że przeciętna konsumpcya ludności galicyjskiej wynosi połowę przeciętnej konsumpcyi, wypadającej w zachodniej Europie na głowę ludności. W obec tego mniejsza już o to, że gdyby autor był uwzględnił opuszczone gatunki zboża, ilość zboża wypadająca na głowę ludności podniosłaby się z 114 kilo na 131 kilo i że dalsza jeszcze podwyżka wypadłaby z należytego uwzględnienia dowozu z Rosyi i Rumunii, który właśnie w r. 1883, (z którego to roku autor bierze cyfry wywozu na podstawie wykazów kolei Karola Ludwika), był wcale znacznym ¹⁾. Wiadomo zaś, że Galicya, przed ostatnimi podwyższeniami ceł w zachodniej Europie a następnie i u nas, wysyłała własne zboże więcej doborowe i lepiej wyczyszczone na Zachód a natomiast na swoją potrzebę sprowadzała tańsze zboże z Rosyi i Rumunii. Wiadomo też, że ludność wiejska i małomiejska w rozmaitych okolicach kraju od dłuższego spożywa już czasu znaczne ilości pospolitego ryżu, który mimo frachtu spada taniej od kaszy.

W przekonaniu, że obliczenia konsumpcyi na podstawie produkcji, wywozu i dowozu prowadzą zawsze do cyfer przeciętnych bardzo niepewnych i bardzo ogólnikowych, które nie są określeniem stosunków rzeczywistych, lecz stosują się do fikcyjnego człowieka przeciętnego, fikcyi bez wartości, bo mającej stanowić wspólny wyraz dla stosunków w rzeczywistości bardzo różnych pomiędzy sobą ²⁾, statystycy i ekonomiści w bardzo przeważnej części zaniechali obecnie zestawień ogólniej konsumpcyi wszystkich artykułów pożywienia

¹⁾ Żałuję bardzo, że w tej chwili dat tych nie mogę mieć pod ręką. Jako wskazówkę ważności dowozu dla ocenienia konsumpcyi wewnętrznej w Galicyi podać mogę tylko, że w r. 1884 przez sam tylko urząd cłowy w Brodach, dowieziono z Rosyi do Galicyi przeszło 574,000 centnarów metrycznych zboża rozmaitego rodzaju (w tém 148,000 owsa) oraz krup hreczanych i jaglanych. Dodawszy dowóz przez inno komory na granicy rosyjskiej tudzież wolny wówczas od cła dowóz z Rumunii, otrzymamy z pewnością cyfrę bardzo poważną.

²⁾ W recenzji Ertl'a l. c. str. 651 spotykamy następującą uwagę: „Und den Werth solcher Durchschnittsspielerei, wie wir sie heute täglich auf allen Gebieten der Statistik geübt sehen, hat ja schon Kolletti in seiner oben genannten Arbeit charakterisirt („ces chiffres ne s'appliquant en réalité nullo part“), in unseren Augen nicht der geringste Vorzug seines scharf durchdachten Vortrages.

na głowę ludności bez różnicy, oraz porównań tychże cyfer z rozmaitych krajów. Podobnych obliczeń nie znajdujemy też obecnie ani w znakomitęj publikacji p. de Foville p. t. „La France économique“ (Paris 1887), ani nawet w używanem przez naszego autora dziele zmarłego właśnie Neumann-Spallart'a, chociaż ten ostatni autor spotyka się już w krytyce z zarzutem zbytniej pobłażliwości dla przypuszczalnych obliczeń, ani w publikacjach biur statystycznych, z wyjątkiem chyba sprawozdań, objaśniających rezultaty cenzusu w Stanach Zjednoczonych, w których to sprawozdaniach podane cyfry przypuszczalne przychodu, majątku i konsumpcji nacechował sam autor ostatniego sprawozdania, mówiąc, że dają rather an impression than an opinion (raczej wrażenie niż przekonanie). Natomiast przeważa coraz bardziej stanowczo zdanie, że konsumpcją badać należy w szczegółach, osobno w każdej okolicy kraju i w każdej warstwie społecznej, z uwzględnieniem pór roku, dni powszednich i świątecznych a przytém płci i wieku, i że w tym celu należy na podstawie rzeczywistych stosunków zestawiać budżety rodzinne dla każdej okolicy i dla każdej warstwy społecznej. Tę drogę badań szczegółowych, bardzo mozolnych i rozległych, ale bezporównania pewnością, wskazał znakomity Le Play we Francji i nią też postępuje jego szkoła a mianowicie towarzystwa „d'économie sociale“, „Unions de la paix sociale“ i liczne publikacje tych towarzystw. W Niemczech oddawna myśl podobną poruszał mianowicie Engel a obecnie można wskazać na cały szereg prac, podających rezultaty tego rodzaju badań z czasów obecnych i dawniejszych. Na ostatniej sesji międzynarodowego instytutu statystycznego w Rzymie r. 1887, Enge w wykładzie swoim o mierzeniu dobrobytu znowu ten przedmiot omawiał, a następnie specjalnie o badaniu żywienia się ludności mówił Keleti, powołując się na wydane już obecnie dzieło swoje o wyżywieniu ludności w Węgrzech i zalecał ten sam kierunek badań szczegółowych, podając bliższe wskazówki co do sposobu przeprowadzenia badań, w które nie mogę tutaj wchodzić. W Galicyi komisya, układająca pytania dla ankiety, w przedmiocie ekonomicznego położenia kraju w r. 1877 przeprowadzonej, złożona, pod przewodnictwem dr. Wereszczyńskiego członka Wydziału krajowego, z pp. Grossa, Hammera i mnie, podobną poszła drogą, stawiając w kwestyjonarzu dla ludności włościańskiej pytanie: „ile potrzebuje w przecięciu rocznie rodzina włościańska, składająca się z pięciu osób (ojca matki 3 dzieci) na mieszkanie (utrzymanie budynku lub czynsz), na opał i oświetlenie, na pożywienie, na odzienie?“ Z czterystu kilkudziesięciu odpowiedzi, zawierających szczegółowe daty, ułożył ówczesny konceptysta krajowego biura statystycznego, prof. dr. Kleczyński pogląd na stosunki żywienia ludności włościańskiej w 72 powiatach Galicyi, zawarty w VII roczniku Wiadomości statystycznych. Mimo niedość szczegółowo postawionego pytania i mimo usterek, pochodzących z braku wprawy i niejednostajnego sposobu obliczania ze strony odpowia-

dających osób, muszę cenną pracę d-ra Kleczyńskiego, o której p. S. wspomina w wstępnej notatce, uważać, o ile chodzi o ilość pożywienia a nie o cenę, za względnie najpewniejszą wiadomość o stosunkach żywienia ludności włościańskiej w Galicyi. Od r. 1877, który był jednym z lat kulminacyjnych przesilenia kredytowego, jakie w latach 1868—1880 przeżyła własność włościańska w Galicyi, stosunki ludności włościańskiej zmieniły się znacznie i to jak sądzę na podstawie oznak, o których w dalszym ciągu niniejszego artykułu bliżej pomówię, bez wątpienia na lepsze a tém samém musiały się też zmienić stosunki żywienia. W szczególności bardzo znaczne rozszerzenie się sieci dróg żelaznych, i rozwój przemysłu naftowego otworzyły, zwłaszcza w najbardziej odległych okolicach podgórskich, nowe źródła zarobku a rozwój towarzystw zaliczkowych, ustawy przeciw lichwie i pijaństwu oraz upadek banku włościańskiego, zmniejszyły do pewnego stopnia ciężary z stosunków kredytowych. Będzie tedy rzeczą stosowną ponowić obecnie badanie szczegółów żywienia i innych wydatków ludności włościańskiej, udając się, ile możności, do tych samych osób, co poprzednio i zamiar przeprowadzenia takiego badania przez krajowe biuro statystyczne istnieje, a tylko z zewnętrznych przyczyn nie mógł być dotąd wprowadzony.

(Dok. nast.).

Tadeusz Piłat.

Wacław Nałkowski „Zarys geografii powszechnej (rozumowej).“ Warszawa, 1887, 8-o, str. VI i 598.

Pocieszające to niezawodnie zjawisko, że nareszcie zaczyna się i na ziemiach polskich rozbudzać interes do geografii i jęj uprawy, a nie mała znów dla Warszawy chluba, że ona właśnie, tak zawsze chojna, gdy chodzi o nakład dla tych czy owych publikacji, znajduje natychmiast gotowe środki do podtrzymania tego interesu i do wydawnictw jego owoców. „Roczniki fizyograficzne,“ „Wisła,“ „Wszechświat“ i „Wędrowiec“ — zbyt wymownem tego świadectwem. A że interes ten nie tylko utrzymuje się ale wyraźnie jeszcze się wzmacnia i rośnie, najlepszym podobno dowodem okoliczność, iż niemal jednocześnie, kiedy rozchodzi się wieść o przygotowywającym się wydawnictwie „Geografii popularnej,“ pojawia się — dzięki nakładowi redakcyi „Przeglądu pedagogicznego“ — „Zarys geografii po-

¹⁾ Por. wstępne uwagi w mojej pracy: „Licytacya sądowa posiadłości włościańskich i małomiejskich w Galicyi w VIII roczniku Wiadomości statystycznych.

wszechną" p. Wacława Nałkowskiego, dziełko, usiłujące w formie podręcznika średnich rozmiarów i w sposób popularny przedstawić mniej więcej całokształt wiedzy o ziemi.

Jemu to pragniemy na tém miejscu przypatrzeć się bliżej.

A najprzód zapytajmy się, co było dla autora bodźcem do pomnożenia swym „Zarysem geografii powszechną” szeregu dawniejszych tego rodzaju opracowań i podręczników? Odpowiada nam na to sam p. Nałkowski w sposób nie pozostawiający najmniejszej wątpliwości a przytém pięknie świadczący o żywem przejęciu się autora znaczeniem i powołaniem dzisiejszej geografii. Oto w wstępném słowie „od autora“ czytamy: jak „kupa luźnie narzuconych cegieł nie jest gmachem, tak również książka, będąca jedynie wiązką faktów, nie jest nauką, mianowicie nie jest ani systematem umiejętności ani utworem pedagogicznym. Książka więc, obejmująca wyliczanie gór, rzek, miast, gubernii i t. d. nie może rościć pretensyi do godności szkolnego podręcznika geografii,“ a tymczasem jeszcze „dotąd w podręcznikach geograficznych pierwiastek pamięciowy gra rolę główną, pierwiastek rozumowy rolę podrzędną albo nawet żadną.“ I w tych to właśnie słowach streszcza się i kulminuje zasadniczy powód, który skłonił autora przeciwstawić dawniejszym podręcznikom — podręcznik geografii całkiem nowy i odmienny, a mianowicie podręcznik, w którymby „na pierwszym planie stał przyczynowy związek między faktami,“ i któryby jako taki miał „na celu nie wpakowanie w głowę ucznia największej możliwej liczby luźnych faktów, lecz nauczania go rozumować, myśleć geograficznie,“ bo tylko „przy takiem traktowaniu rzeczy pamięć faktów powstaje sama z siebie jako produkt uboczny rozumowania.“

Kto bliżej jest obznajmionym z dotychczasowym zastępem podręczników szkolnych geograficznych równie u nas jak i za granicą, komu nie tajemnym, jak wielki w nich jeszcze zachodzi się balast niczem nie popartych i zgoła nie wytlómaczonych a więc tylko na chybił trafił i mechanicznie zseregowanych dat i cyfr, kto wie wreszcie, jak po największej części odbywa się jeszcze w naszych szkołach średnich nauka geografii (rzadko przez ludzi do tego fachowo wykształconych): jaką zbyt często odragę wynoszą uczniowie ze szkół do przedmiotu, który inaczej traktowany powinien raczej pozostawiać w uczniach nie wygasłe do niego zamięłowanie a w ogóle spełniać jedno z najdonioślejszych zadań dydaktyczno-pedagogicznych, — ten nie może, jak tylko z całego serca przyklasnąć pobudkom p. N. i najzupełniejszą jego zapatrywaniom przyznać racją. Zdołałże tylko autor, przejęty tak wyraźnie interesem o dobro nauki geografii w szkołach, problem swój równie szczęśliwie rozwiązać, jak go sobie postawił?

Każdego, choćby najsurowszego krytyka, muszą w dziełku p. N. uderzyć pewne niezaprzeczone zalety: przedewszystkiem znajomość przedmiotu, dalej jego rozkład, zgodny z wymaganiami meto-

dy, staranne unikanie przeciążenia tekstu cyframi a wreszcie chwalebne pomieszczenie w nim różnych mapek, figur i ilustracyj, które za granicą stały się już dziś *conditio sine qua non* zarówno wszelkich podręczników szkolnych geograficznych jak i najpoważniejszych dzieł geograficznych. Lecz tych zalet nie myślimy autorowi poczytać za zbyt wielką i szczególniejszym jakimś trudem zdobytą zasługę. Owszem postarać się o nie było panu N. stosunkowo najłatwiej. Dość mu było bowiem — co też uczynił — roztworzyć jeden i drugi z lepszych niemieckich podręczników szkolnych geograficznych, aby znaleźć je tam wszystkie gotowe.

Co się natomiast tyczy najważniejszej strony w pracy p. N. t. j. tój, w której autor w myśl danej w przedmowie uroczyście zapowiedzi pragnął być właśnie najwięcej oryginalnym i wystąpić jako tyle pożądanym reformator geograficznych podręczników szkolnych w ogóle, to musimy — wbrew naszej woli — oświadczyć bez ogródki, że pozostawia ona właśnie najwięcej jeszcze do życzenia. Wprawdzie tendencyi i usiłowań wprowadzenia pewnego ładu lub znowu uchwycenia przyczynowego związku między poszczególnymi zjawiskami i datami, nie podobna autorowi w wielu ustępach jego książki odmówić. Tu i owdzie nawet, jak np. w ustępie o wpływach przyrody na świat organiczny a w szczególności na człowieka albo znowu przy opisie Australii a jeszcze więcej Rosyi, urzeczywistnia p. N. swoje usiłowania w sposób prawie zupełnie zadawalniający. Mimo to nie zawsze i wszędzie woli autora okazuje się posłusznym jego pióro, nie wszędzie przytoczone daty i fakta układają się w przyczynowy związek i nie wszędzie zjawiska, o których mówi, znajdują swoje wytłomaczenie, tak, że w skutek tego wiele jeszcze szczegółów i ustępów w książce p. N. nosi charakter przypadkowości, a tém samém pozostaje po dawnemu — dla mnemotechniki. I tak np. daremuie szukanoby w książce p. N. odpowiedzi na pytanie, dla czego ziemia posiada kształt sferoidu, dla czego obraca się około osi, dla czego obiega około słońca a w ogóle zkąd się ziemia wzięła. Podobnie nigdzie autor nie tłumaczy ani słówkiem, dla czego „ziemia w początkach istnienia swego była zupełnie inną, niż obecnie” (str. 41), nie wspomina, w jaki sposób nauka doszła do cyfr, któremi autor ilustruje wymiary ziemi, zamilcza zupełnie, dla czego wrzące źródła Islandyi wytryskają (str. 64), dla czego w australskich kopalniach złota pracują Chińczycy (str. 133), dla czego Tasmańczycy wymarli (str. 134). W ten sam sposób nie wyjaśnionym jest umieszczony w nawiasie przy „wysokich górach“ dodatek „alpejskie” (str. 68), nie wyjaśnionym zjawisko orkanów (str. 92), wulkanów błotnych (str. 598), lub znowu zdanie, że „Syberya jest krainą bieguna zimna” (str. 287—288) i wiele tym podobnych zdań i wyrażen. Przyznajemy, że nie jedna z przytoczonych kwestyj domaga się szerszych komentarzy, przekraczających ramy podręcznika szkolnego; ale na to jest jedna rada, o której, niestety, autorzy podręczników szkolnych

z reguły zapominają, t. j. umiejętny wybór i dobór tych tyko zjawisk i faktów, których przyczyny dadzą się krótko i przystępnie przedstawić i wytłómaczyć. Jak dalece zaś w wielu ustępach książki p. N. trudno doszukać się jakiego związku między przytoczonymi zjawiskami i faktami, niechaj przekona n. p. ustęp o Armenii (str. 247—248), gdzie czytamy: „Armenia jest krainą górzystą, gdyż otaczające ją góry skrajne wkraczą we wnętrze i tworzą sieć górską, ograniczającą (powinno być: okalającą) kotliny z jeziorami zamkniętymi; z krainy tej spływają liczne rzeki na wszystkie strony w głębokich dolinach, stanowiących (powinno być: torujących) drogi na wyżynę (jaką?). Mieszkańcy Armeńcyzy stanowią ogniwo łączne między ludami aryjskimi Azji i Europy; utrzymali oni śród mahometan swoją religią chrześcijańską, zajmują się rolnictwem i pasterstwem, ale w skutek ucisku mahometan (powinno być: ze strony mahometan) znaczna część Armeńczyków porzuca swój kraj rodzinny i szuka zarobku w miastach Europy (tylko?), gdzie zajmuje się handlem. Armenia pod względem politycznym należy do różnych państw“ i t. d. A takich przykładów możnaby przytoczyć cały szereg.

Ale w „Zarysie“ p. N. dają się dotkliwie uczuwać innego jeszcze rodzaju braki, jako to, że autor zupełnie pominał kosmografią resp. porównawcze zestawienie ziemi z innymi ciałami niebieskimi; że nie zaznacza nigdzie stanowiska, jakie ziemia zajmuje w rodzinie planet, do której przecież należy, że nie charakteryzuje, choćby pokrótce, budowy systemu planetarnego, że zupełnie ignoruje metody oznaczania szerokości i długości geograficznej jako też sposoby i systemy liczenia czasu; że między ludami wymierającymi, nie wymienia australczyków i ludów północnych, a natomiast błędnie do nich zalicza Indiany Ameryki, którzy (zwłaszcza w Północnej Ameryce) od pewnego czasu właśnie liczebnie się pomnażają; że, jeśli autor uważał za stosowne wspomnieć w Meksyku starożytnym o Astekach, tóćm większym było jego obowiązkiem pamiętać o Toltekach dawniejszych jeszcze i ważniejszych krzewicielach prastarzej cywilizacji w Nowym Świecie; że w Brazylii południowej zamilcza o koloniach polskich; że między systemami religijnymi nie wymienia ani fetysyzmu, ani buddyzmu, ani mazdaizmu, ani nauki Konfuczego, a wspomina o nich tylko okolicznościowo, ale bez wytłómaczenia ich istoty; że zgoła nie uwzględnia choćby najważniejszych tylko linii dróg żelaznych i telegrafów i t. p., i t. p.

Nie wolną prócz tego jest książka p. N. od pewnych rażących błędów i niedokładności, do których zaliczyć należy np. nadzwyczaj najwne wytłómaczenie genezy monoteizmu (str. 112), definicyą pustyni i stepów (str. 55 i 56), które przecież są pojęciem klimatycznym a nie orograficznym, identyfikowanie mielizn z garbami podmorskimi (str. 78), wytłómaczenie prądów morskich (str. 80 i 81), które co najmniej jest zbyt ogólnikowe i mogące ucznia wprawić

w błąd, bo, jeśli autor ogranicza się do téj uwagi tylko, że przyczyną stałych prądów są wiatry, to daje tém samém powód do fałszywego mniemania, że np. prądy antarktyczne są następstwem i dziełem wiatrów, wiejących od bieguna południowego; myli się autor także, jeśli mówi o jarmarkach w Ostrownoje (str. 292), bo odbywają się one w Średnim Kołymsku, Niżnym Kołymsku i — od 40 już lat — w Anjuisku, która to ostatnia miejscowość leży 8 wiorst od dawnego Ostrowucje i t. p.

Wreszcie winien był autor — zwłaszcza w książce pisanéj dla szkół unikać starannie wyrażeń zbyt ogólnikowych i przez to niejasnych, jak np. wyrażenia „lody“, o których raz mówi na oceanach (str. 74), drugi raz na lądzie antarktycznym (str. 75), jak gdyby różdżaj tych lodów i sposób ich wytwarzania się był tu i tam jednakim. Bliższe określenie tych „lodów“ należało więc koniecznie umieścić wcześniej a nie dopiero na str. 77—78. Tém mniej jeszcze można autorowi darować takie niefortunne i w zasadzie błędne porównania, jak np. ruchu obiegowego ziemi z procą (str. 9), albo tak śmieszłą definicyą granic Sahary, jaką pomieścił w słowach: „granica Sahary zaczyna się tam, gdzie się kończy granica pchły“ (str. 210), albo takie dziwolągi językowe, jak „diuny“ (str. 48) zamiast wydmy, „granice umysłowe“ (str. 75) zamiast idealne, domy w Dzidda „zbudowane z koralu“ (str. 238), „krajna fizyczna“ i „krajna polityczna“ (str. 393), „kipią przemysłem“ (str. 481), „kreda pisząca“ (str. 507), „kanion ojcowski“ (str. 510) zamiast wąwóz ojcowski, „bystry rozwój“ (str. 520) i t. p. lub w końcu pewne nazwy, dowolnie przekrecone, jak np. Golfstrem zamiast Golfstrom.

Nie lepszą jest i strona czysto formalna, stylistyczna pracy p. N. Zbyt jednak cenimy sobie czas, abyśmy mieli zajmować się wypisywaniem całej kolekcji gramatycznych i stylistycznych błędów, w jakie „Zarys“ p. N. obfituje.

Ale możeby tych stron ujemnych było znacznie mniej w książce p. N., gdyby nie jedno a bardzo charakterystyczne „gdyby.“ „Na obronę moję — powiada w przedmowie swojej autor — muszę przypomnieć warunki, w jakich książka niniejsza została wydana; jest ona dodatkiem do „Przeglądu pedagogicznego,“ była pisana z numeru na numer: co dwa tygodnie trzeba było koniecznie przygotować arkusz, a w ostatnich czasach dwa arkusze druku; to co było raz wydrukowane, nie dało się już cofnąć; nie mogłem, jak inni, po napisaniu całego dzieła raz jeszcze odczytać go w rękopiśmie i poczynić odpowiednich zmian, dodatków lub przemieszczeń...“ Naszém zdaniem, w słowach tych miasto uniewinnienia siebie wypowiedział autor owszem tylko najsurowszy na siebie werdykt. Widocznie bowiem nie musiał p. Nałkowski przejąć się należycie doniosłością swego zadania t. j. poważną myślą zreformowania szkolnych podręczników geograficznych, kiedy mógł jęj urzeczywistnienie tak dalece sobie lekce ważyć, że przystąpił do pisania swego „Zary-

su“ sposobem najczyściój dziennikarskim, „z numeru na numer.“ Nie wiemy, zaiste, czemu więcej należy nam się dziwić, czy iluzji, ewentualnie zarozumiałości, autora; że dobry podręcznik szkolny geograficzny jest tak błahą rzeczą, iż daje się po prostu „numerami“ wytrząść z rękawa, czy znowu tym arcyosobliwym warunkom, w jakich autor w ogóle podjął swą pracę (wszak rękopis mógł być i winien być wykończonym przed wydrukowaniem pierwszego arkusza), czy też szukaniu w tych warunkach — właśnie usprawiedliwienia, że po ostracyzmach i po anatemach, rzuconych na dawniejsze podręczniki, nie zdołało się samemu od ich tradycyjnych wad co najmniej w $\frac{2}{3}$ częściach książki uwolnić. To też nie umiemy stosowniej rozstać się z książką p. N., jak wyrażając szczerze życzenie, ażeby ją autor czém prędziej poddał gruntownej rewizji i poprawie, uzupełnił jej niedostatki i powykreślał z niej wszystkie szpetności, — bo tylko pod tym warunkiem może autor zbliżyć się do celu, jaki sobie wytknął, — ku nie małej dla szkół korzyści a zasłudze dla siebie.

Dr. Fr. Czerny
prof. geografii w uniw. jagiel.

POLEMIKA

MIEDZY P. J. JENIKE, TŁÓMACZEM „FAUSTA,” A P. R. PLENKIEWICZEM.

I.

Zuany chlubnie na niwie piśmiennictwa naszego pracownik, p. Roman Pleniewicz, poświęcił skromnej pracy mojej obszerną i dodać winienem pracowicie bardzo dokonaną ocenę w „Bibliotece Warszawskiej“ z r. b. (zesz. marcowy i kwietniowy), za co szczerza odemnie należy mu się wdzięczność.

Szanowny krytyk, w przeglądzie mego przekładu arcydzieła Göthowskiego, trzymał się metody dogodniejszej może dla krytykującego i mniej pożytecznej dla czytelników, ale za to wiele mozolnej, a zarazem pożądanej dla tłumacza, który w ogroonie podjętej roboty, mimowoli tu i owdzie zboczył nieraz może od wierności. Pan Pleniewicz niewiele zastanawia się nad całością przekładu; mało baczy na oddanie w nim ducha i charakteru poematu; na łamanie się tłumacza z olbrzymimi trudnościami formy wiersza i dykcji, obejmującej całą dziedzinę poezyi, od najwyższego patosu, aż do rubasznych często scen ludowych i czarodziejskich; na wymagania wreszcie rymu i rytmu, z których ostatni w dawniejszych przekładach całkiem był zaniedbany; słowem na całą stronę artystyczną; ale położywszy przed sobą oryginał, porównywa go z tłumaczeniem ustęp za ustępem, oniemal wiersz za wierszem i tym sposobem na 5000 blisko wierszy znajduje około 80-iu, w których, zdaniem jego, słowa wielkiego wieszczka nie zostały dość wiernie oddane. O ile zdanie to czasem jest nieuzasadnionem, postaram się niżej udowodnić.

Bądź co bądź, metoda owa tę niezaprzeczoną przyniosła mi korzyść, że zwróciła moję uwagę na kilka drobnych niedokładności, które też skwapliwie poprawilem w egzemplarzu przeznaczonym do wydania książkowego, o tyle naturalnie, o ile już przedtém nie były poprawione.

Z tego też powodu chętnie wybaczam p. Pleniewiczowi jego ton zbyt profesorski, w którym posunął się tak daleko, że w jednym miejscu użył nawet epitetu „najnieudolniej“ wyrażone. Adinonicye podobne, w spokojnej dyskusyi między równymi i na łamach „Biblioteki warszawskiej“, mam prawo nazwać co najmniej nieparlamentarnemi. Wolę jednak przypuścić, że wyrażenie to przez nieuwagę tylko wymknęło się z pod pióra p. Pleniewicza, którego znam od lat wielu jako człowieka, nienawykłego do wybiegania po za szran-

ki przyzwoitości literackiej, i w tém przypuszczeniu, taką samą monetą odplacać mu się nie będę.

Przed przystąpieniem jeszcze do szczegółowych zarzutów, szanowny krytyk powiada, że główną moją zaletą jest przedewszystkiem wierność. Pochwałę tę warunkowo tylko przyjąć mogę. Dwa są rodzaje wierności: słowna i myślowa. Myślową starałem się zachować wszędzie jaknajsumienniej; co do słownej zaś, na którą p. Plenkiewicz główny kładzie nacisk, zaznaczyłem w przedmowie, że uważam ją za niepodobną, w utworze zwłaszcza tak kunsztownym co do formy, tak głęboko filozoficznym co do treści i przepelnionym trudnemi nieraz do rozwikłania zawikłościami — zwłaszcza gdy przekład jest rymowany. Kto chce tłumaczyć dosłownie, powinien to uczynić prozą, a i tak jeszcze niejedna subtelność, z powodu samej różnicy ducha języków, zaginać musi. Wierności zatem słownej, w granicach możliwych, przestrzegałem tylko w licznych aforyzmach gnomicznych, gęsto w poemacie całym rozsianych, a przeszłych już niemal w przysłowia, pozwalając sobie za to na większą swobodę w ustępach ludowych, czarodziejskich i w ogóle potocznych.

Celem moim i najtroskliwszém usiłowaniem było uczynić „Fausta“ przystępnym dla polskiego czytelnika, odsłonić przed nim wysokie tego utworu piękności, dotychczas niezupełnie może dla ogółu naszego zrozumiałe, a uczynić to w formie artystycznej. Z licznych też recenzentów mojej pracy, przeważnie wielce na nią łaskawych, najtrafniej intencją moję odgadł krytyk „Prawdy,“ gdy w nr. 17-ym tego pisma z r. z. tak się wyraża: „Jenike użył wiersza jasnego, przezroczystego, który czyta się jak płód czysto swojski, przystępny dla każdego, a jednocześnie wierny poetycznemu ustrojowi oryginału.“ Najwyższa to pochwała, jaka spotkać mnie mogła.

Podobnież p. Kazimierz Kaszewski, w nr. 1159 „Kłosów,“ pisze: „Nie powiemy, żeby tłumacz niewolniczo szedł za rytmem autora w całości przekładu, bo wreszcie i odmienność natury języka na toby nie pozwoliła; ale p. Jenike, z poczuciem artystyczném i zgodnie z duchem języka własnego, wszędzie, gdzie to wskazywał tekst, zmianę rytmu zaznaczył. Co zaś najważniejsza, przelał w całość swęj pracy tę wielką i uroczą poezją, która stanowi duszę utworu niemieckiego wieszczą.“

Umiejętnie także nic przewodnią mojego założenia! pochwylił dr. Ludomił German, w zeszycie sierpniowym zeszłorocznego „Przeglądu polskiego“, wygłaszając zdanie następujące: „Co do samego przekładu należy szczególnie zaznaczyć wyborne zrozumienie zadania tłumacza i uchwycenie stosownej miary wierności, co do treści i formy. Wierność słów nie zawsze jest wiernością myśli, a zwykle jest gwałtem zadanyj językowi. Takiej wierności nie znajdujemy w przekładzie p. Jenikego; ale za to widzimy i podziwiamy wierność w oddaniu myśli, w postaci właściwej polskiemu języ-

kowi i sposobowi wyrażania się. Tak samo nie trzymał się tłumacz niewolniczo poetyckiej formy oryginału, lecz dobierał z bogatych zasobów śpiewności naszego języka takich rodzajów wiersza, które odpowiadają naturalnemu jej tokowi; nie wślaczał polskich wyrażań w jarzmo obcej formy, a gdzie jej użył, tam nagiął ją i zastosował umiejętnie, tak iż nie znać prawie wysiłku.“

Nie przytoczyłem tych ustępów dla tego, że są dla mnie pochlebne, lecz jedynie w celu wykazania, że znaleźli się jednak krytycy, którzy, zrozumiawszy intencją moją, umieli przekład mój ocenić z punktu widzenia ogólniejszego i w sposób mniej drobiazgowy, niż to uczynił p. Pleniewicz.

Nie chcąc też mojej odpowiedzi nadać rozmiarów zbyt dużych, i pragnąc zachować w niej charakter nie polemiczny, lecz przeważnie obronny, rozbierać zamierzam te tylko zarzuty szanownego sprawozdawcy, które, w przekonaniu mojem, są nieuzasadnione.

Słusznie poniekąd wytyka mi p. Pleniewicz, że „najniepotrzebniej pomiędzy naukami, których zbadaniu poświęcił się doktor niemiecki, pomieściłem filologią. W oryginale jej nie ma, gdyż wieki średnie jej nie znały.“ Istotnie, w oryginale filologii niema; ale żeby jej nie znały wieki średnie, powątpiewać wolno. Wprawdzie nauka ta, w teraźniejszym jej kształcie, wtedy nie istniała, przybrawszy charakter przeważnie scholastyczny. Nie bez wyjątku atoli, bo przecież w pierwszej połowie XV wieku i u nas nawet Grzegorz z Sano-ka, największy przeciwnik scholastyizmu, wykładał na uniwersytecie krakowskim „Eklogi“ Wirgiliusza, przy licznym bardzo napływie słuchaczy; a zresztą podanie o Fauście nie należy już właściwie do wieków średnich, akcja bowiem jego rozgrywa się w wieku XVI. Sądzę przeto, że nie popełniłem wielkiego grzechu, jeśli dla zachowania rymu i wielce charakterystycznego w tém miejscu, skocznego rytmu oryginału, wtrąciłem i filologią do rzędu nauk uprawianych przez Fausta. Mniejsza jednak o to, mogę bowiem zapewnić szanownego krytyka, że ustęp o którym mowa, na kilka już miesięcy przed jego oceną, w egzemplarzu przeznaczonym do wydania książkowego, został odpowiednio zmieniony.

Całkiem za to niesprawiedliwym jest zarzut p. Pleniewicza, że w scenie z duchem, wywołanym przez czarodziejskie zaklęcie Fausta, wyrazy oryginału: „Da bin ich!“ oddałem przez omówienie: „Więc ustąpiłem...“ Nie przypuszczam tu złej woli; sądzą owszem, że skutkiem prostego przeoczenia, krytyk nie dostrzegł w przekładzie moim wyrazów: „I oto jestem!“ będących właśnie dosłownem tłumaczeniem owego: „Da bin ich!“

W monologu drugim, po odejściu Wagnera, szanowny recenzent podnosi ustęp „nadzwyczaj—jak powiada—do odtworzenia trudny, ze względu na subtelność myśli poety:“

Die uns das Leben gaben, herrliche Gefühle
Erstarren in dem irdischen Gewühle

i jako jedynie dobry cytuje przekład tych dwóch wierszy:

I jedno dobro, w życiu przez nas osiągnięte,

Zaślepia nas i wyżej dążyć nie pozwala;

co ja oddałem słowami: Wspaniałe uczucia, podnoszące duszę,

Drętwieją w ziemskich pragnień zawierusze.

Który z tych dwóch przekładów jest lepszy, sąd o tém zostawiam czytelnikom, obeznanym dobrze z językiem niemieckim. Nadmieniam tylko jeszcze, że przez rzeczownik *Leben*, jak trafnie objaśnia H. Düntzer w swoich komentarzach „Fausta,” nie można tu dosłownie rozumieć *życia*, lecz raczej podniecenie duchowe, wywołane wspaniałymi, ożywiającymi nas uczuciami.

W tymże samym monologu p. Plenkiewicz czyni uwagę, że w dwuwierszu niemieckim:

Du bebst vor allem was nicht trifft,

Und was du nie verlierst, das mußt du stets beweinen—

słowa „*was nicht trifft*“ znaczą „*co nie spotyka*.“ Otóż szanowny krytyk jest w błędzie, bo słowa te znaczą „*co się nie i s c i, c o c h y b i o n e*“, a więc:

O rzecz chybioną czujesz niepokoję,

A oplakujesz stałe dobro swoje.

Z kolei p. Plenkiewicz utrzymuje, że chór aniołów, zwiastujących zmartwychwstanie Pana, należało „zgodnie z oryginałem“ tak przetłómaczyć:

Chrystus zmartwychwstał!

Radość ludzkości,

Któręj zdrożności,

Dziedziczne złości

I winę stał.

Pominąwszy brak rymu (wstał—stał) zachodzi tu jeszcze pomyłka i co do myśli; bo w oryginale dosłownie powiedziano: „Chrystus z martwych wstał! Radość śmiertelnikowi, którego zgubne, pełzające, dziedziczne zdrożności ogarnęły.“ O żadnym zaś *starciu* w *in* i *z*ł*o*śc*i* niema tam wcale mowy, a tém samém przekład powyższy bynajmniej wzorowym nie jest.

Jak sumiennie szanowny krytyk pojął swoje zadanie i jak pracowicie je spełnił, dowodzi między innymi szczegóły, że w opisie wiwny, na przechadzce Fausta z Wagnerem, dostrzegł nawet braku dwóch wierszy, które, zdaniem jego, „o wieleby podniosły malowniczość téj rodzajowej sceny:“

Und bis zum Sinken überladen,

Entfernt sich dieser letzte Kahn.

Przytacza zaś przekład taki:

Ot już ostatnie odbija czółenko,

Przeładowane, w głąb' się ponurza.

Zostawiam tu na boku kwestyą, o ile dwa te, dosyć obojętne, wiersze, podnieść istotnie mogą malowniczość obrazu, a przyznając

natomiast, że w przepisywaniu zostały one u mnie przypadkowo pominięte. Oto ich brzmienie:

I przeciążone, z biegiem fali

Ostatnie czółno niknie już w oddali—

o ponurzaniu się bowiem w głąb' Göthe nie wspomina; wyraził tylko, że czółno tak przeładowano, iż mogłoby z łatwością zatonać.

Wkraczając już w dziedzinę estetyki, szanowny krytyk twierdzi, że zamiast pstrokate mieszczek stroje, poetyczniej byłoby użyć wyrazu barwiste. Nie wchodzę w rozbiór pytania, który z tych dwóch przymiotników jest tu bardziej na swoim miejscu; zaznaczam tylko, że p. Pleniewicz, tak troskliwy o piękność stylu, nie spostrzegł tym razem, iż o dwa wiersze wyżej Faust powiada: Różnobarwnych czółen... Choćby więc dla niepowtarzania jednoznacznych wyrazów, czego podobno nauka stylu zabrania, musiałem tu użyć przymiotnika pstrokate.

Całkiem bezpodstawnym nazwać muszę zarzut recenzenta, żem mylnie przetłumaczył dwuwiersz Wagnera, gdy mówi o działaniu duchów elementarnych:

Von Morgen zieh'n, vertrocknend sie heran

Und nähren sich von deinen Lungen.

Za wzór postawiono mi tu inny przekład:

Tam Wschód niszczącą wysła gromadę,

Co się chce karcić twemi wnętrznościami.

Przypomina to znany myt o pożerającym wątrobę Prometeusza orle, albo sępy, karmiące się wnętrznościami Tytiosa. Tymczasem poeta niemiecki, wyrażając się metaforycznie, poprostu miał na myśli, że wichry wiejące od wschodu, wysuszają powietrze, przez co stają się niebezpiecznymi dla płuc ludzkich. A więc:

Potężną znów ze wschodu mknąc nawałą,

Posuchę groźną dla płuc twoich szerzą.

Przystępując do słynnej pieśni duchów: „Zwalcie się ciemne, mroczne sklepienia,“ p. Pleniewicz czyni uwagę, że zwalcie się nie odpowiada niemieckiemu schwindet i dodaje, iż „gdyby się owe sklepienia zwały, nastąpiłby istny potop na ziemi.“ Żkąd dziwne to przypuszczenie szanownego krytyka, trudno pojąć, boć mowa tu przecie nie o sklepieniu niebieskiem, tylko o stropie pracowni Fausta.

W rozmowie ucznia z Mefistofelem przebraunym za Fausta, recenzent słusznie mi zarzuca, że użyłem wyrazu retoryka, którego nie ma w oryginale; sam jednak mylnie przełożył ustęp:

Mit Worten lässt sich trefflich stroiten,

Mit Worten ein System bereiten,

An Worte lässt sich trefflich glauben,

Von einem Wort lässt sich kein Jota raubon.

Znaczy to, według niego: „O słowa wybornie można się spierać, na słowach zbudować systemat, na słowo wyśmienicie wierzyć,

ze słowa nie pozwolić jednej joty ująć.“—Gdy Göthe mówi wyraźnie: „Słowami wybornie walczyć można, słowami system przygotować, w słowa wybornie wierzyć można, ze słowa nie wolno ująć i joty...“ co prawie dosłownie oddaje przekład:

Słowami łatwo manewrować,
Słowami system przygotować,
W moc słów uwierzyć bardzo snadnie,
Od słowa jota nie odpadnie.

Utrzymuje dalej p. Plenkiewicz, że w „Złotém weselu Oberona i Tytanii,“ w czterowerszu realisty, zdanie „Das Wesen ist mir recht zur Quaal,“ przetłumaczyłem mylnie: „Strasznie dręczy mnie ten k r a m,“ bo należało powiedzieć: „I s t o t a stanowi moje udręczenie.“ Otóż i tu szanowny krytyk w błędzie. Prawda, że wyraz Wesen znaczy rzeczywiście istota; ale uszło bacności p. Plenkiewicza, że znaczy także zupełnie co innego. Mówi się naprzykład po niemiecku: „er macht davon viel Wesens (robi z tego dużo hałas); das ganze Wesen gefällt mir nicht (cały ten k r a m, ten harmider, ten zamęt nie podoba mi się). W takim też sensie Göthe użył tu rzeczownika Wesen. Dziwna rzecz doprawdy, że ani szanowny krytyk mój, ani żaden z dawniejszych tłumaczy tego nie dostrzegł. Jeden z tych ostatnich woła nawet z emfazą: Istota... o straszna ta myśl o istocie

Nabawia mnie mózgu chorobą!

Jest więc pomyłka dosyć gruba, tylko że nie moja.

W końcu p. Plenkiewicz wymienia jeszcze kilka wierszy, w których, jak powiada, nie zachowałem cezury; na przykład:

Kto wtedy dłoń o | żywezą na nieh kładzie.

Średniówka, która w wierszu 11-zgłoskowym przypada, jak wiadomo po zgłosce 5-tój, przecinałaby tu rzeczywiście wyraz o żywczą, co stanowi pozorną nieprawidłowość. Jednak pozorną tylko; bo wiersze rytmiczne nie mierzą się na zgłoski, lecz na stopy:

Kto wte | dy dłoń | żyw | czą na | nieh kła | dzie—

zatem średniówka nie jest w nich wcale konieczną, przynajmniej w wierszach o stopach dwuzgłoskowych, jak jamby i trocheje. Nie chcąc atoli gorszyć konserwatywnych zwolenników stariej poetyki, skrupułem ten, choć urojony, przez odpowiednie przełożenie wyrazów, usunąłem.

Zamknąwszy na tém uwagi co do mojego przekładu części pierwszej poematu, szanowny krytyk przechodzi do scharakteryzowania części drugiej, którą ocenia pięknie i gruntownie, uważając Fausta nie jako indywiduum, lecz jako „wcielenie ludzkości w jej postępowym rozwoju, w jej dążeniu przez błędy do ideałów prawdy, dobra i piękna.“ Tłumaczy to, zdaniem jego, treść mytologiczną i symboliczną tej części, tak trudnej do zrozumienia, jeżeli nie odnajdzie się

w niej owęj nici przewodnięj. Przytacza tęż w końcu ładny istotnie epizod aktu 5-go części drugięj, gdzie mowa o Filemonie i Baucis, których Mefistofel nietylko ruguje z sielskięj ich zagrody, lecz nawet żywcem pali. Pan Pleniewicz słusznie zwraca tu uwagę, że obrazek ten przypomina obecne rugi w Poznańskim i politykę żelaznego księcia. Na interpretacją taką i wynikające z nięj analogie chętnie się zgadzam, owszem, zaznaczyłem je sam w przypisku do rozmowy ucznia z Mefistofelem. Nie zmienia to jednak mego zdania co do bezużyteczności przekładu części drugięj „Fausta,” która i w Niemczech nawet nigdy nie była popularną, dla naszej zaś publiczności całkiem jest nieprzystępną, a zdanie to opieram nie na własnem tylko rozumieniu, ale na powadze najznakomitszych estetyków niemieckich, jak Du Bois-Reymond i Vischer.

Powiedziałem w przedmowie do mojego przekładu, że część druga „Fausta jest zbiornikiem dziwacznych alegoryi, niezrozumiałych często aluzyj mytologicznych, pstrą mieszanią niezaprzeczo-nych piękności poetycznych. z ciemnym, nakręconym symbolizmem, — dodając, iż z wyjątkiem zaledwo dotkniętęj i mglisto wyrażonęj apo-teozy Fausta i Małgosi w samym końcu części drugięj, część ta nie ma z pierwszą żadnego związku przedmiotowego. Wyrazów tych i teraz nie cofam bynajmnięj. Wprawdzie dwa zakłady, zawiązane w części pierwszej, pozostają w tęj części nierozstrzygnięte. W „prologu w niebie“, na słowa Mefistofela do Pana:

O zakład pójdę, że go (Fausta) utracicie...

Pan odpowiada: To prowadź go swą przepaścistą drogą.

Lecz zawstydzony, uznaj w końcu z trwogą,
Że człowiek dobry, w mętnych dążęch tłumie,
Prawdziwą ścieżkę zawsze obrać umie.

A dalęj znów „w pracowni“ staje pakt między Mefistofelem a Faustem, skutkiem którego ten ostatni mówi:

Gdy rzeknę kiedy do przelotnej chwili:

Trwaj! piękna jesteś

Niech będzie wtedy mój ostatni dzień i t. d.

Oba te zakłady stanowią zatęm pewien węzeł etyczny między częścią pierwszą a drugą, w której Faust oślepiiony, użyzniwszy nadane mu przez cesarza przestrzenie nadmorskie, gdy „na wolnej ziemi z wolnym stanął ludem“ — wynawia do chwili owe słowa paktu: „Trwaj! piękna jesteś...“ poczęm umiera; zakład zaś z Panem wypada na niekorzyść Mefistofela, bo Faust nie wyrzekł się szlachetniejszych aspiracyj, obierając drogę pracy dla dobra ludzkości. Jednakże nie nadaje to jeszcze racyi bytu ca lęj części drugięj, znacznie obszerniészęj od pierwszęj i przeladowanęj mistyczną płataniną.

Już znany Götholog i jeden z najgorętszych czcicieli wielkiego poety, Karol Rosenkranz, w klasycznem dziele swém „Göthe und seine Werke“ (Królewiec, 1856) uczynił słuszną uwagę, że „druga część „Fausta“ stanowi sama w sobie świat całkiem odrębny, luźno tylko

związany z częścią pierwszą, jeżeli weźmiemy pod uwagę żywioł wyłącznie dramatyczny. Zarzewie liryczne tej części pierwszej wybuch płomieniem w końcowém obłąkaniu Małgosi; lecz można sobie doskonale przedstawić część pierwszą i bez drugiej. Na szyderczy wykrzyk Mefistofela: „już potępiona!“ — odpowiada wyroczny głos z góry: „ocalona.“ Pierwiastek więc dobrego zwycięża w dobrowolnej ekspiacji Małgosi. Widzimy Fausta oburzonego przeciw piekielnemu towarzyszowi; możemy sobie wyobrazić, że niedola Małgosi poграży go odtąd zupełnie w głębinach własnego ducha jego, że skłoni go do zerwania z przeszłością, do rozpoczęcia nowego bytu.... Z tego też powodu część druga nie ma żadnej właściwie akcji, lecz jedynie symboliczną dydaktykę, w formie teatralnej.“

W inném miejscu ten sam autor dochodzi do wniosku bardzo racjonalnego, że jeśli już szło koniecznie o rozstrzygnięcie zakładu i rozwiązanie umowy, to dosyć było akt 5-ty części drugiej dołączyć w streszczeniu, jako epilog, do części pierwszej, a z pewnością za poprzedzającymi czterema aktami, z ich ciemną, klasyczo-romantyczną fantasmagoryą, niktby nie zatęsknił.

Na tym więc punkcie różnica zapatrywań pomiędzy mną a szanownym krytykiem moim, pozostać musi nierozstrzygniętą. Uważam tylko jeszcze za właściwe sprostować mniemanie jego, jakoby Małgosi umierała w więzieniu (str. 143); jakkolwiek bowiem sam poemat nie rozwiązuje stanowczo kwestyi, czy ofiara Fausta skończyła na szafocie, przedniejsi jednak komentatorowie, jak Düntzer i Hartung, zgadzają się na to, że śmierć jej pod mieczem karzącej sprawiedliwości, była ekspiacją za winę popełnioną, o czém i ona sama w scenie końcowej wyraźnie napomyka, mówiąc:

Ostatni dla mnie dzień już świta... A dalej:

I niejednym krew już mrozi

Widok ostrza, co mnie grozi.

Kończąc wreszcie tę przydługą może obronę sprawy własnej, dochodzę do przekonania, że można być bardzo zacnym, wytrawnym, nawet uczonym pracownikiem na polu literatury polskiej, a jednak nie znać dokładnie języka niemieckiego. Wyrażam także zadziwienie moje, że p. Plenkwicz nie wspomina nigdzie o przekładzie obu części „Fausta“ przez Józefa Paszkowskiego, drukowanym w krawkowskim „Przeglądzie polskim“ i wydanym w osobnej odblite, chociaż praca ta ze wszech miar na uwzględnienie zasługuje.

Ludwik Jenke.

II.

Odpowiedź p. R. Plenkwicza.

Powyzsza replika p. Jenkego wymaga z naszej strony pewnych uzupełnień i sprostowań. Oceniając jego przekład „Fausta“, mieliśmy na względzie jedynie korzyść, jaką może odnieść nasza literatura, je-

żeli obok stron dodatnich przekładu, wykażemy i usterki, których usunięcie, zresztą do przeprowadzenia łatwe, mogłoby o wiele podnieść wartość tej pracy, gdyby ją w osobnej książce dla użytku szerszego koła czytelników wydano. Czy metoda, jakiej trzymaliśmy się przy jej rozbiórce, jest tak dla krytyka dogodną, jak to mniema sz. tłumacz? wątpimy. Porównać bowiem około 5000 wierszy oryginału z tyluż mniej więcej wierszami przekładu, chyba więcej trudu wymaga, niż po przeczytaniu jednorazowym utworu, zaopiniować, iż przekład jest znakomity, wyborny, przewyższający wszystko, co dotąd w tym zakresie zrobiono, lub przeciwnie. Cokolwiek bądź, metodę, jakiej trzymaliśmy się przy ocenianiu pracy p. Jenikego, uważamy za jedynie krytyce naukowej właściwą i, używając jej, sądziliśmy, iż tym sposobem damy sz. tłumaczowi dowód szczerego z naszej strony dla jego pracy uznania. Ze pojmovaliśmy trudności tłumaczenia „Fausta“, to jasno wypływa z tego, co mówiliśmy o szkopułach, jakie każdy tłumacz spotyka, czy to w uchwyceniu tonu panującego w wielu ustępach tego poematu (str. 136, kwiecień), czy w oddaniu charakteru Gretchen (tamże 137), czy też wyrażając wątpliwość o uzdolnieniu Wł. Wolskiego, co do przekładu tego utworu w całości (tamże 139, w. 1—26). Ale co nas niepomalu zadziwia, to zarzut p. Jenikego, jakobyśmy w ocenianiu jego pracy, wyłącznie na wierność wyrazową, z pominięciem myśli, mieli zwracać uwagę, gdyż naprzód na str. 457 (Bibl. marzec) najwyraźniej powiedzieliśmy, iż w tym jego przekładzie „są sceny, w których pomimo najstaranniejszego porównania z oryginałem, nie znaleźliśmy ani jednego wyrazu, któryby zmieniał istotę myśli (w 28—30), a jeszcze nieco dalej, „że tłumacz albo myśl słowo w słowo oddaje, albo zastępuje ją innem równoważnym wyrażeniem lub zwrotem (marzec, str. 458, w. 12—14). Nadto pomiędzy jednym a drugim z tych orzeczeń, wymieniliśmy cały szereg scen, uznanych przez nas, ze względu na wierność myśli, jako nie podlegających zarzutom. Gdybyśmy się trzymali innej zasady, nie 80-u, ale co najmniej 1000-wi wierszy musielibyśmy brak dosłowności zarzucić. To przecież nawet nam do głowy nie przyszło. Jeżeli zaś wykazywaliśmy ustępy z myślą oryginału niezgodne, to robiliśmy to nie ogólnikowo, lecz faktycznie, przywodząc stronicę, wiersz, tak, by każdy mógł sprawdzić, o ile nasze zarzuty są słuszne, lub nie. Tymczasem p. Jenike, broniąc się od nich, jakże sobie poczyna? Oto powiada, że np. ów ustęp „Mit Wortem“ i t. d. prawie dosłownie jego tłumaczenie oddaje. Tak! Tylko p. Jenike zapomina, żeśmy jego pracę oceniali nie z poprawek, jakie do niej później wprowadził, lecz z odbitki „Ateneum“, w której zupełnie co innego się święci, niż to, co obecnie na swe usprawiedliwienie przytacza. By co do tego usunąć wszelką wątpliwość, zestawiamy obie wersje ze sobą.

Odbitka „Ateneum“:
str. 104, w. 31—34.

Wersya obecna:

Pozorem łatwo manewrować,
Słowami system przygotować,
W retorykę uwierzyć najwygodniej,
I jednej joty nie odłączyć od niej.

Słowami łatwo manewrować,
Słowami system przygotować,
W moc słów uwierzyć bardzo snadnie,
Od słowa jota nie odpadnie.

Tymczasem, jak widzimy, odpadła retoryka, do której głównie się zarzut odnosił (Bibl. kwiecień, str. 132—133). Również nikt w odbitce nie znajdzie następujących wierszy w formie, w jakiej je obecnie p. Jenike przytacza, bo co innego jest:

O rzecz chybioną czujesz niepokoje

A oplakujesz stałe dobro swoje—

a co innego pod względem formy i wysłowienia:

Drżysz o to zawsze, co nietrwałe,

A oplakujesz wszystko, co jest stałe (str. 71, w. 17—18);

jak również: Potężną znów ze wschodu mknąc nawałą,

Posuchę groźną dla płuc twoich szerzą—

a wiersze, wyrażone w formie:

Potężną znów ze wschodu mknąc nawałą (duchy)

Posuchę straszną wszędy szerzą (80, w. 11).

Pan Jenike całkiem bez podstawy w y m! nazywa zarzut, iż wiersz ostatni nie oddaje myśli oryginału i oburza się, iż mu za wzór inny przekład stawiliśmy na oczy. Tymczasem gdzież jest mowa w jego wierszu o płucach? Powiada: wszędy—a więc w okolicy? w przestrzeni? P. Krajewski ustęp ten tłómaczy:

Tam wschód niszczącą wysyła gromadę,

Co się chce twymi karmić wnętrzościami.

Pytanie więc, który z dwóch przekładów bliższy jest owego:

Und nähren sich von deinem Lungen—

boć przecie płuca do wnętrzości chyba należą?

P. Jenike zarzucił nam brak parlamentaryzmu z powodu, iż wyrażenie jego: serce mięknie jak o pu ch, nazwaliśmy najnieudolniejszym. Jeżeli to ma być obrazą, żałujemy bardzo, żeśmy użyli tak nieparlamentarnego wyrazu. Z kolei wszakże musimy zapytać sz. tłómacza, jak to nazwać, jeżeli autor, zbijając stawiane mu zarzuty: powołuje się nie na tekst drukowany, na którym się krytyk opierał, lecz natomiast inny, w zmienionej formie, na jego miejsce podsuwa? Wyznajemy, iż podobnej taktyki nie oczekiwaliśmy ze strony tak poważnego, jak p. Jenike człowieka. P. Jenike obok tego jeszcze inną taktyki się trzyma. Gdy jedni krytycy stawiają mu zarzuty, on się recenzjami łaskawszych nań krytyków zasłania; gdy idzie o rozstrzygnięcie zasadniczej kwestyi, co do pojmowania idei przeprowadzonej w „Fauście“, zachowuje absolutne milczenie. Nam się zdaje, że jeżeli podana interpelacya tego poematu niema naukowej podstawy, to należało jęj bezzasadność wykazać; jeżeli przeciwnie, to, nawet różniąc się w zasadzie, nie wypadało pozostawiać jęj bez odpo-

wiedzi. Wreszcie p. Jenike robi nam zarzut, iż nie rozumiejąc języka, dajemy mu wskazówki, jak należało chór aniołów przełożyć, dowodząc, iż wyrażenie: „I winę starł“ nie zgadza się z myślą oryginału i nadto w swój końcówce nie rymuje z poprzedzającym „wstał.“ Ze tak jest, przyznajemy; ale projektując poprawkę, mieliśmy nietylko oryginał, ale i logikę na względzie. Z przekładu bowiem p. Jenikego w tój formie:

Chrystus zmartwychwstał!
Radość ludzkości,
Którą w zdrożności,
Dziedzicznych złości
Ogarnął szal! (str. 73),

możnaby zrobić wniosek, że ponieważ Chrystus zmartwychwstał przeto ludzkość ogarniętą szaleństwem została. Otóż zmieniając wyrażenia p. Jenikego, mianowicie: wiersz 3-ci na „której zdrożności“, a 5-ty na: „I winę starł“, chcieliśmy wykazać w sposób delikatny całą ryzykowność podobnego przekładu. P. Jenike jednak tego nie chciał zrozumieć; owszem, wolał nam wykazać nieznaną sobie języka niemieckiego, jak i w tych wszystkich przypadkach, gdzieśmy mu wykazali rażącą sprzeczność pomiędzy przekładem a oryginałem. Nie dziwimy się jednak temu, bo mniej zastanawiający się łatwo uwierzyć mogą, że skoro krytyk nie jest zdolny oryginału rozumieć, to tём samém upadają wszystkie jego zarzuty.

Roman Pleniewicz.

Po przeczytaniu odpowiedzi p. Pleniewicza, dodaję kilka tyłko słów jeszcze, dla dokładnego wyjaśnienia stanu kwestyi.

Nie przeczę, że w powyższej odpowiedzi mojej przytoczyłem kilka wierszy, w brzmieniu później przezemnie poprawioném, którego p. Pleniewicz naturalnie znać nie mógł, gdyż opierał się tylko na odbitce z „Ateneum.“ Tak jest, popełniłem ciężki ten grzech, iż 8. w y r a ż n i e o ś m, wierszy zamieściłem w formie nieco różnej od pierwotnej. Czyniąc to jednak, daleki byłem od zarzucanej mi „taktu“ dyplomatycznej czy wojennej, na której nie znam się wcale. Uprzedziłem z góry, że dawno już przed pojawieniem się recenzji w „Bibliotece“, porobiłem pewne zmiany w egzemplarzu do wydania książkowego przeznaczonym. Nie utrzymuję też nigdzie, iż owe ośm wierszy wzięłem d o s ł o w n i e z „Ateneum“, lecz przeciwstawiając je przekładowi przez szanownego krytyka za wzór podanym, a jednak nie oddającym dość ściśle myśli oryginału — po wytłumaczeniu przezemnie tój myśli — poprzedzam cytacją swoją wyrazami: a więc; gdy w innych miejscach, gdzie przytaczam tekst z „Aten“ mówię wprost: o d d a ł e m t o s ł o w y t a k i e m i — lub podobnie. Zdaje się, że to odróżnienie dla każdego nieuprzedzonego powinno być wystarczające. Wprawdzie lepiej.

by może było powiedzieć wyraźnie przy owych wierszach inkryminowanych: cytuję nie z „Ateneum“, tylko z egzemplarza poprawionego, który mam przed sobą; nie zachowałem jednak tej ostrożności i przez to podałem p. Pleniewiczowi broń w rękę, z czego też szanowny krytyk nie omieszkał korzystać, gromiąc mnie nią in plurali majestatico.

Odparcie innych, poczynionych mi zarzutów, pozostać musi w swój mocy.

Ludwik Jenike.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Ogólna sytuacja stosunków europejskich. — Manifestacja przesilenia kanclerskiego w Berlinie. — Groźny stan zdrowia cesarza Fryderyka III-go. — Widmo dyktatury plebiscytowej we Francji. — Kwestya bułgarska. — Upadek gabinetu Bratiana i bunt chłopski w Rumunii. — Kłopoty parlamentarne gabinetu Taafe w Wiedniu. — Konwencya kanału suezkiego. — Grecya i Turcya. — Włochy: trudności w zawarciu traktatu handlowego z Francją; szczęśliwy koniec wyprawy abisyńskiej. — Rossya. — Anglia. — Przesilenie ministeryalne w Serbii. — Spustoszenia, spowodowane wylewami wód w Niemczech, Węgrzech, Galicyi, Królestwie Polskiem i Poznaniu. — Tragiczność dynastyi Hohenzollerów. — Znaczenie polityczne agitatorów bulanżyzmu. — Dzieci polskie w Berlinie. — Sprawozdanie Towarzystwa pomocy naukowej imienia dr. K. Marcinkowskiego w Poznaniu. Towarzystwo Czytelní ludowych w W. Ks. Poznańskiem. — Dwa posiedzenia Wydziału historycznego Akad. w Krakowie. — Prof. Zakrzewski „O stowarzyszeniach naukowych i archiwach siedmiogrodzkich“; St. Smolka „Poszukiwania w archiwum kardynalskim.“ — Posiedzenie Komisji fizyograficznej dnia 23 marca. — Z dziedziny ruchu muzycznego: Świtezianka Zyg. Noskowskiego; Koncert Konserwatorium muzycznego. — Komedya i teatr: konkurs imienia Alojzego Żółtkowskiego; Zyg. Przybylskiego „Państwo Wackowie“; „Ptaki niebieskie.“ — „Propinacya.“ — Michała Bałuckiego „Nowy dziennik.“ — Projekt zjazdu halneologicznego w Krakowie. — Z ekonomiki: Wiadomość z Tow. Kred. Ziemskiego w Królestwie Polskiem o sposobie załatwienia wniosków, które zebrań wyborcze przed dwoma laty Władzom naczelnym przedstawiły. — Spółka chmielarska. — Opis własności chemicznych i fizycznych naszego węgla kamiennego, z uwzględnieniem jego użytku praktycznego.

Z pomiędzy kwestyi, które w miesiącu kwietniu najbardziej zatrudniały publicystykę europejską, zwracały na siebie najszerszą uwagę, obok chwilowej manifestacji przesilenia kanclerskiego w Berlinie, przedewszystkiem dwie sprawy, mianowicie: groźniejszy z każdą chwilą stan zdrowia cesarza Fryderyka III-go, wcale nie obojętny dla przyszłości młodego cesarstwa niemieckiego, oraz podnoszące się coraz śmiej złowieszcze widmo plebiscytowej dyktatury ex-generała Boulanger'a we Francji, mogące narazić na szwank istnienie

samój Rzeczypospolitej. Kwestye te, przeniknione ideami znaczenia uniwersalnego, spychały na drugi plan wszystkie inne sprawy, od których normalnego rozwoju zależy jednak także w znacznej mierze spokój, bezpieczeństwo i dobrobyt ekonomiczny narodów europejskich. Nie można bowiem odmówić donioślejszego znaczenia w życiu polityczném Europy nawet takim kwestyom, które na pierwszy rzut oka zdają się przedstawiać przeważnie interes lokalny, jak o tém świadczy np. kwestya bułgarska, zabagniająca się coraz bardziej pod wpływem przeróżnych prądów konfederackich, bez widoku pożądanego dla pokoju Europy rozwiązania. Zaslugują prócz tego niemniej na uwagę powszechną takie zjawiska, jak upadek gabinetu ks. Bratiana w Bukareszcie i wynikłe w ślad za tém buntury chłopskie w Rumunii, przypisywane nie wiadomo na jakiej zasadzie tajemniczej jakiejś intrydze zagranicznej. Parlamentarne kłopoty gabinetu Taafe-Dunajewski w Wiedniu, wywołane kwestyą szkoły wyznaniowej i zamierzonym podwyższeniem podatku od wyrobu spirytusu, dotyczącém przedewszystkiém żywotnych interesów ekonomicznych Galicyi, spowodowały nawet, wbrew zwyczajom konstytucyjnym, wmixszanie się korony w tę sprawę, z zamiarem ulagodzenia hałaśliwych nadmiarę pogroźek opozycyjnych. Nie milknący oddawna spór w sprawie konwencji kanału suezkiego, nie może się doczekać ostatecznego załatwienia, bo albo niema zgody między Francją i Anglią, albo trudno zjednać W. Portę dla sformułowanego projektu angielsko-francuzkiego. Pomiędzy Grecją a Turcją nie ustaje wymiana wzajemnych żalów i pretensyi, nietylko z powodu kręcących się band rozbójniczych w Macedonii, ale i z powodu wrzenia umysłów na wyspie Krecie. Szczęśliwsze były w tym czasie Włochy, bo jakkolwiek w sprawie traktatu handlowego z Francją nie mają widoków pożądanego porozumienia, to przynajmniej zakończyły swoje kłopoty z wyprawą afrykańską i pokój z Abissynią zdaje się być zapewniony; niektóre oddziały wojska już wróciły do Włoch z wyprawy afrykańskiej, witane z entuzjazmem, bo Włosi utrzymali zdobyte pozycye.

W cesarstwie rosyjskiém widna jest wytrwała działalność naczelných organów państwowych na polu wszystkich gałęzi służby publicznej, a szczególniej ekonomiczno-finansowej i handlowej, tudzież administracyjnej. Publicystyka zajmuje się natomiast z niesłabnącą energią polityką międzynarodową, patrząc łaskawszém niż zwykle okiem na ks. Bismarcka, tudzież ekspektoracyami etnologiczno-politycznymi w dziedzinie sympatyj i antypatyj ludów, albo raczej obozów słowiańskich.

Odrzucenie, w myśl gabinetu Salisburego, przez parlament angielski bilu, przyznającego Irlandyi pewną autonomią, dowodzi słabnącego coraz bardziej wpływu Gladstonistów w kołach decydujących.

Wybuchłe przesilenie ministeryalne w Serbii, ujawniło nowe trudności, z jakimi ta młoda monarchia ma do walczenia: czyby

serbscy mężowie stanu chcieli naśladować republikanów francuzkich, których gabinety nie mogą podążyć z wywieszaniem coraz nowych doktryn i teorii abstrakcyjnych? Korona serbska, poruczywszy się z całym zaufaniem stronnictwu radykalnemu w gabinecie Gruicza, przyszła niebawem do przekonania, że stronnictwo to nie rachuje się dosyć troskliwie z prawami władzy monarchicznej, jak tego dowiodło przy organizaciji stosunków gminnych i wojskowych w Serbii, tak że król Milan widział się zniewolonym powołać do rządu Christicza, który już w r. 1883 im dał się poznać przez swoje rządy absolutystyczne. Na politykę zewnętrzną nie wywrze to jednak żadnego wpływu.

Nie bez pewnego interesu jest także zwycięstwo konserwatystów w rządzie szwedzkim, broniących polityki celnej, protekcyjnej, przeciw polityce wolnego handlu, reprezentowanej przez dawniejszy gabinet liberalny.

Odrywający się z coraz większą zapalczywością antagonizm między zwolennikami idei klerykalnych a liberalnych w Belgii, świadczy o tém, że i na tej neutralnej ziemi nie brakuje pierwiastków nieukontentowania i stronnicych zapędów, w celu osiągnięcia wymarzonej, jednostronnej szczęśliwości.

Ogromne wreszcie klęski materyalne, spowodowane wylewami Dunaju i dopływów jego (w Węgrzech, Serbii i Bułgarii), Wezery, Elby, Odry w Niemczech północnych, Warty w W. Ks. Poznańskim, a mianowicie w straszliwie dotkniętym Poznaniu, — wreszcie i Wisły, szczególnie w najniższym jej korycie i przy jej ujściowej delcie (Elbląg, Gdańsk, w ogóle Prusy zachodnie), nie mówiąc o licznych spustoszeniach dróg żelaznych i bitych, mostów i wałów, poniszczonych przez drobniejsze nawet rzeki i strumyki, o których generacye dzisiejsze prawie zapomniały były. Wszystkie te klęski, odwołujące się do jaknajszerszej pomocy publicznej — wszystkie te wypadki, zdolne w innym czasie pochłonąć całą uwagę publicystyki europejskiej, nie potrafiły zagłuszyć owych kwestyi naczelnych, o których wspomnieliśmy na początku tego przeglądu.

Pobudki manifestacyi przesilenia kanclerskiego, otrąbionego tendencyjnie przez służebnice ks. Bismarcka w Kolonii i w Berlinie, bez najmniejszego względu na konieczne decorum w obec rodziny panującego monarchy, nie zostały dotychczas dokładnie wyjaśnione, bo projektowane małżeństwo ks. Aleksandra Battenberskiego z córką cesarza, księżniczką Wiktoryą, zdaje nam się być tylko wielkim parawanem głębszej jakiejś akcji dyplomatycznej; ale istoty kwestyi dokładnie objaśnić nie zdoła. Ks. Bismarck, patrząc na tragiczną sytuacyą dynastyi Hohenzollerów, przewiduje słusznie ewentalności, w obec których potrzeba mu przyjaźni potężnego sąsiada. Mniejszą zaś wpływ miały na tę sprawę kwestye polityki wewnętrznej i ekonomiczno finansowe. Na razie została sprawa ta ukolysana,

a przebudzenie się jęj zależeć będzie od katastrofy, jaka wisi nad niknącém wątkiem życia dogorywającego cesarza Fryderyka III-go.

Tragiczność sytuacji, w jakiej się nagle ujrziała szczęśliwa nadmiarę w ostatnich latach dynastia Hohenzollerów, budzi w nas mimowoli reminiscencye gasnących dynastyi w dziejach. Jak zapewniają „Mosk. Wied.“ cesarz Fryderyk III-ci dotknięty chorobą raka, następcą tronu cierpi na nieuleczalną i bolesną chorobę ucha, brat jego ks. Henryk ma podobną chorobę w nosie, wreszcie siostra cesarza, W. księżna Badeńska, choruje na oczy i zagrożoną jest utratą wzroku.

Koniec bieżącego stulecia zapowiadać się zdaje wypadki, które mogą nadać zupełnie nową postać nie tylko stosunkom międzynarodowym, ale politycznym i ekonomicznym. Czy po tylu ofiarach i cierpieniach, po tylu upokorzeniach w sferze prawa publicznego, po tylu wysiłkach w dziedzinie pracy umysłowej, po tylu gwałtownych zamachach w zakresie interesów ekonomicznych, pochłanianych bez litości przez nienasycony militarizm i przez samolubną rasowość, wydetę do majestatu narodowości i patriotyzmu, czy po tylu, mówię, gwałtach doczeka się wreszcie uciśniona ludzkość upragnionego spokoju i rozwoju organicznego? czy też wznesione przemocą siły brutalnej gmachy polityczne pogrzebią się jeśli nie w gruzach straszliwej ruiny, to w zawichrzeniach socjalistycznej anarchii?—Któżby się chciał dziś kusić o zadawalniającą na te kwestye odpowiedź? W każdym razie, ks. Bismarck, z całym zastępem wywiczonych przez kilka generacji szkoły niemieckiej, ma o czém myśleć, jeśli nie chce pozostawić ślepe mu losowi stworzonego przez dwie szczęśliwe wojny cesarstwa niemieckiego, obrażającego nie tyle przez swój ustrój państwowy, ile raczej przez swoją arogancją absolutystyczną, interesy i miłość własną reszty narodów europejskich. Dzieje ludzkości uczą, że monarchie z aspiracyami uniwersalnymi, nie potrafią długo utrzymać się na tej wysokości dziejowej, która zagraża innym indywidualnościom narodowym, mającym nie tylko w przeszłości, ale i w stopniu kultury swojej w danęj epoce dostateczne prawo do samodzielnego bytu w teraźniejszości, ale i do swobodnego, organicznego rozwoju w przyszłości. Ks. Bismarck, głoszący niedawno z taką emfazą, że prócz Boga nikogo się nie boi, dotknięty nadspodziewanie prędko tak bolesnym krzyżykiem wśród panującej dynastyi, struchlał, zdaje się, na wspomnienie swego dumnego wyzwania Opatrzności i chwyta skwapliwie nić dawnęj przyjaźni, której Prusy, poczynając od końca wieku XVIII-go, byt i powodzenie swoje zawdzięczają.

Męczeńskie dogorywanie Fryderyka III-go, podtrzymuje w dalszym ciągu trwającą od śmierci cesarza Wilhelma I-go tymczasowość w sferze polityki międzynarodowej. Rząd pruski nawet musi, zdaje się, w tej chwili poprzestawać na załatwianiu interesów bieżących wewnętrznych. Zajmuje się tedy oprócz badania najlegal-

niejszych środków wykonania aktów amnestyi, nową organizacją szkoły ludowej (Volksschule), upiera się ze strejkującymi szwami w Berlinie, stanowi zapomogi dla powodzian i przygotowuje za pomocą komisji kolonizacyjnej z niesłabnącą energią dalszą akcją tępienia narodu polskiego w W. K-owie Poznańskim i w Prusach zachodnich, ciesząc się nową ofertą 24-ech właścicieli ziemskich oraz gospodarzy włościan, gotowych do sprzedania Niemcom swoich ojcowizn.

Poważny pogląd na stosunki polityczne Europy nie może i nie powinien lekceważyć ogromnych trudności położenia, w jakim się znajduje Francya; bo trudności te zostały wprawdzie zaostrzone przez samolubnych, fakcyjnych doktrynerów, dzierżących w tej chwili berło rządu w swoim ręku, ale źródło ich leży głębiej i dla tego publiczność tak łatwo popada równie w fatalistyczny pesymizm jak i w fatalistyczny optymizm. Społeczeństwo francuzkie przechodzi od r. 1871 fazę przekształcenia politycznego, jakiego dotąd w historii nie było. Lud francuzki, ludzony obietnicami restauracyi to monarchicznej, to imperatorskiej, drażniony teoriami demokratycznymi, w których się nie wychował i których nie dorósł, nie pojmuje jeszcze zadania swego, któreby go uwolniło od zbyt troskliwej opieki posłanników opatrnościowych. Żaden zresztą naród nie postępował w rozwoju swoich dziejów bez zawodów, bez błędów, bez chwilowych rozczarowań i groźnych nawet niebezpieczeństw. Chwilę też obecną uważać trzeba za fazę przykrą, ale przejściową, zagrażającą swobodnemu rozwojowi instytucji republikańskich, które w dzisiejszej swój formie nie zadawalniają aspiracyi narodu francuzkiego. Z takiego stanu umysłów korzysta fakcyjny duch sfer przewodzących i pod chorągwią balanżyzmu narzuca się despotycznie jako zbawca Francyi. Rzeczpospolita, wystawiona na zamachy balanżyzmu, który w postaci plebiscytowego dyktatora, obiecuje ją uszczęśliwić nową konstytucją, czuje się równocześnie zagrożoną przez chęci restauracyi imperatorskiej i monarchicznej. Gabinet Floqueta widzi to niebezpieczeństwo i podejmuje śmiało walkę z nieprzyjacielem „wewnętrznym i zewnętrznym,” ale tymczasem ze smutkiem patrzmy się na to, że ta Francya, której normalny rozwój najważniejszym jest czynnikiem równowagi europejskiej, w obec arogancyi Niemiec, staje się coraz ruchliwszym, coraz niepewniejszym, coraz więcej nie dającym się obliczyć żywiołem polityki nie tylko wewnętrznej, ale i zewnętrznej.

Z polecenia ministra wyznań i oświecenia publ. w Prusach, spisano we wszystkich szkołach miejskich i ludowych w Berlinie uczniów według wyznania i języka, jakim mówią w kole rodzinnym. Spis ten wykazał, że w 2,678 klasach 159-ciu szkół miejskich, było na 149,100 dzieci tylko 8,114 wyznania katolickiego, zaś w 633 prywatnych zakładach na 19,697 dzieci 1,067 katolików. W szkołach

niejskich naliczono zaledwie 91 dzieci, posługujących się w domu wyłącznie językiem polskim, a 412 rozmawiających według okoliczności, po polsku i po niemiecku. W szkołach prywatnych zaś 13 dzieci, rozmawiających w domu wyłącznie po polsku, i tyleż używających języka polskiego i niemieckiego. Ze względu na to, iż w Berlinie przebywa stale przeszło 30,000 polaków, szczupła liczba dzieci szkolnych, władających językiem rodzinnym, budzi myśli wcale nie podnoszące otuchy usiłowań obywatelskich przeciw germanizacji! I tu abdykujemy!

Zasłużone w sprawie niesienia pomocy ubogięj młodzieży, „Towarzystwo pomocy naukowej imienia Marcinkowskiego,“ w Poznaniu, ogłosiło sprawozdanie ze swęj działalności za rok ubiegły. Towarzystwo udzieliło stypendyów 258 w sumie 47,766 marek. Dochód wynosił 66,000, rozchód zaś około 50,000 marek. Dyrekcyja udzielała pomoc przeważnie młodzieży, poświęcającej się zawodom praktycznym.

Równie pomyślnym stanem cieszy się „Towarzystwo czytelników ludowych“ w W. Ks. Poznańskim. Liczba znajdujących się pod jego kierownictwem bibliotek powiększyła się r. z. o 113, przybyło zaś książek 39,000. Członków liczyło Towarzystwo 418, dochody wynosiły 21,000 marek, rozchody prawie tyleż. Ostatnie rozporządzenia szkolne znacznie wpłynęły na rozwój działalności Towarzystwa.

W połowie miesiąca marca r. b. odbyły się dwa posiedzenia wydz. histor. Akademii umiejętności w Krakowie, o których wiadomość, jakkolwiek późno otrzymaną, czytelnikom podajemy, ponieważ sprawa zasługuje na uwagę powszechną wszystkich, których przeszłość kraju naszego obchodzi. Na pierwszym z tych posiedzeń prof. Zakrzewski mówił o stowarzyszeniach naukowych i archiwach siedmiogrodzkich, które poznał, uczestnicząc w imieniu Akademii umiejętności w zjeździe węgierskiego Towarzystwa historycznego w Derze. Towarzystw takich jest w Siedmiogrodzie cztery, z tych jedno niemieckie, a trzy węgierskie. Muzeum siedmiogrodzkie, założone około 1850 r., ma sporą bibliotekę i zbiory naukowe. W Derze jest Towarzystwo archeologiczno-historyczne. W archiwach pszteńskich znajdują listy kanclerza Zamoyskiego i pisane do niego przez innych. Dla nas najważniejszym z rękopismów jest noszący napis „Cancelaria Polonica,“ będący jednym z tomów „Acta Tomiciana.“ Pisany ręką znaną z Tomicyanów oryginalnych, zawiera akta i listy z lat 1539—1547; dopisano na ostatnich kartach „Wotum na sejmiku powiatowym w Opatowie Prokopa Pękosławskiego“ z roku 1582, jak treść pokazuje, a następnie ciekawy opis: „Zjazd imci panów ewangelików pro die 23 Septembris zebrany w Radomiu.“

Na drugim posiedzeniu prof. Smolka zdawał sprawę ze swych

poszukiwań w archiwum kardynalskiem, składającym się z protokółów zebrań konsystorza, z procesów kanonicznych, aktów podkanclerskich z XV i XVI wieku, które zbadane zostały przez zeszlorną pracę naukową.

Dnia 23 Marca w Akademii umiejętności odbyło się posiedzenie naukowe komisyi fizyograficznej pod przewodnictwem prof. dra Rostafińskiego. P. G. Ossowski pokazywał minerały i skały, zebrane w ubiegłym roku około Zytomierza i w innych okolicach gub. Wołyńskiej, mianowicie granaty, lignit, skałę turmalinową, rudę bobkową, zwracając uwagę na to, iż przedstawione granaty pochodzą z miejscowości nad brzegami rzek Kamionki i Teterewa, w których dotychczas granatów nie znaleziono, minerał ten, o którym dotąd było wiadomo, iż pojawia się tam w granitach, znajduje się tamże w gnejsach azoicznych w wielu miejscach w obfitości. W dyskusyi zabierali głos: prof. Rostafiński, p. F. Bieniasz i prof. dr. Wierzejski.

Na niwie muzycznej, powitaliśmy z wiosną świeży kwiat, który będzie miał nad innemi to pierwszeństwo, iż nie uwiednie; mówiąc bez przerośni, artystycznemu światu przybyło nowe piękne dzieło Zygmunta Noskowskiego: „Świtezianka,“ osnuta na tekście Mickiewiczowskiej ballady. Czynnikiem jakich użył kompozytor, są: orkiestra, chóry mieszane, chóry męskie i głosy solowe, z całą swą mistrzowską umiejętnością, starając się każdej frazie poezyi nadać odpowiedni wyraz w muzyce,—z tąd całość dzieła, nosi na sobie przeważnie piętno refleksyi, wyrozumowania. Są jednak liczne a szczęśliwe momenta, które z natchnienia płynąc, górują po nad fakturą i unoszą słuchacza nie formą, lecz treścią w dziedzinę poetycznej idei. Wstęp, Arya strzelca, Przysięga, Arya Świtezianki z chórem świtezianek, same przez się byłyby dostatecznymi, by dzieło Noskowskiego postawić w rzędzie znakomych. Szkoda, że na pierwszym jego wykonaniu, na koncercie kompozytorskim, słuchacze nie zgromadzili się dość licznie,—byłoby to równie oznaką prawdziwego entuzjazmu dla sztuki, jak spełnieniem obywatelskiej powinności.

Szczęśliwszym pod tym względem był wielki koncert Konserwatorium, bo się odbył w obec przepelnionej sali, a szczerze oklaski zaświadczyły, że się odbył dobrze; bacząc bowiem na krótkość czasu, w jakim się ten koncert przysposobił, nawet prawdziwi znawcy, nie mogą czynić zarzutów co do stron ujemnych, które możeby się znalazły. Interesujący i piękny koncert Czajkowskiego, usłyszano w dzielnej interpretacji pana Schlözera z akompaniamentem orkiestry,—pani Rebiczek, artystka władająca umiejętnie pięknym, świeżym głosem, doskonale odśpiewała oprócz kilku drobniejszych utworów, wielką aryę z op. Oberon, Webera,—chóry Instytutu, przypominały publice i artystom, że mamy nieoszacowane spu-

ścizny po mistrzu naszym Moniuszce, i że byłyby w stanie z karno-
ścią i młodzieńczym zapałem, wykonywać wielkie dzieła, które lata
całe pozostają zamknięte w tece, nie mogąc się w Warszawie docze-
kać wystawienia. Barcewicz, objąwszy dyrekcyą nad całym koncer-
tem, wykonał solo jeden tylko numer: „Elegią“ Ernesta—przedziwnie
jak zawsze, to dość powiedzieć.

Od ostatniej na tém miejscu wzmianki kronikarskiej o przed-
stawieniu komedyi pp. Kotarbińskiego i Wołowskiego p. t. „Nie wy-
pada“, repertuar oryginalny naszych teatrów skąpy dla sprawozda-
wcy przedstawia materiały. Komedypisarze polacy milczą jakoś
a musi być głębsza, ogólniejsza tego milczenia przyczyna, skoro na-
wet ogłoszony przed rokiem przez „Gazetę Polską“ konkurs imie-
nia Żółkowskiego nie wydał nic zgoła i sędziowie, nie przyznawszy
żadnemu utworowi pierwszej a według programu jedynę nagrody,
rozdzielili takową i drugą mniejszą przyznali sztuce ludowej.
To względne zwycięstwo utworu oryginalnego z motywów ludo-
wych w obec słabego odzywania się innych tematów społecznych,
dostarczy może wstępu do bardzo interesujących wniosków z chwilą
ogłoszenia sprawozdania komitetu konkursowego; obecnie nie nale-
ży być zbyt pohopnym w ogólnych wywodach i poprzestać na nastre-
czających się bardzo łatwo dwóch przyczynach takiego stanu rzeczy,
które w ten mniej więcej sposób sformułować można: w ogólnym na-
stroju naszym śmiech komedypisarza nie znajduje zachęty, a nor-
malność stosunków tak na niego oddziaływa, że najodważniejszy może
być przy poruszaniu pewnych kwestyi i założeń życiowych, skrupowa-
nym nieubłaganą wewnętrzną polityką swego społeczeństwa. Mil-
czą więc ci nawet autorowie, którzy przedtém głośno i często się od-
zywali; nowe siły nie wytwarzają się, a teatr, który dość odpornie
trzymał się względem laureatów poprzedniego konkursu, okazuje się
wspaniałomyślniejszym dla „odznaczonych.“

Istna klątwa te odznaczenia! Coś o kimś powiedziano w spra-
wozdaniu, na przykład, że napisał zupełnie słabą sztukę, w której
znajdują się dwie żwawe figury, i to już autorowi nadaje prawo wy-
drukowania napisu „odznaczony na konkursie NN.“ i rekomenduje
uwadze publiczności. Jeżeli mu się uda, ubolewają nad nim, że nie
dostał nagrody, jeżeli zrobi *fiasco*, idzie ono na rachunek sędziów,
bo tego, co oni w sprawozdaniu powiedzieli, nikt nie czytał a wzmian-
kę na afiszu czytają wszyscy! Rozsądnie też postąpił komitet kon-
kursu Żółkowskiego, zniósłszy „odznaczenia;“ ale tymczasem dawniej-
sza jego hojność daje się we znaki repertuarowi. Kto był „odna-
czonym“ czuje się w obowiązku pisać dalej i dopiero pokazuje się,
że to, co zdziałał niekiedy przypadek, nie powtarza się więcej. Do
rzędu takich biorących się na seryo „odznaczonych“ należy p. Zyg-
munt Przybylski autor „Wicka i Wacka.“ Z małą zdolnością chwytania
bardzo powierzchownych objawów życia w ograniczonym za-

kresie obserwacji, bez głębszej znajomości ludzi, bez formy literackiej, p. Przybylski napisał komedią, zawdzięczającą żywotność swoje jedynie pewnej zamasztyści grubego rysunku tytułowych bohaterów i jakiemś bezmyślnemu sentymentalizmowi szlacheckiemu, którego oddźwięki wywierają jeszcze tu i owdzie na naiwnego widza wrażenie. Nic poważniejszego, gruntowniejszego za tą sztuką nie przemawiało: ani osobliwsza tendencja uznania radykalnej, wspartej na dobrem sercu głupoty, za kwifikacją obywatelską, ani śmieszne postawienie stosunku szlachcica do Niemca, w świetle, które wbrew intencji autora, najkorzystniejszym jest dla Niemca, ani charakterystyka postaci otaczających dwie główne figury, ani dowcip lub styl w dyalogu. A jednak, dzięki spopularyzowaniu sztuki przez ogródek, którego atmosfera była dawniej najwłaściwszą; dzięki potrochu krakowskiej reklamie, przyznającej dziecięciu podwawelskiego grodu, latorośli możnego stronnictwa, talent nieledwie Molierowski, — „Wicek i Wacek“ zdobyli swemi pocałunkami i uściskami publiczność teatru Rozmaitości. Po autorze komedii tak popularnej zaczęto naturalnie spodziewać się wiele; tymczasem nadzieje zawodziły raz po raz w sposób bardzo zastanawiający. To od czego zaczął p. Przybylski: „Gałązka jaśminu“ padło bez śladu, to, co później napisał „Panna“ również pogrzebano w pyłach bibliotecznych; powiedział więc sobie zapewne autor „Wicka i Wacka“ trzeba eksploatować dalej żyłę, która publiczności złotą się wydaje. I napisał „Państwa Wacków.“

Wiemy co wogóle trzymać o wszelkich „dalszych ciągach;“ nie udają się one i rzeczywistym talentom z bardzo prostej przyczyny, że prawdziwie artystyczne zużytkowanie pewnego pomysłu wyczerpuje go od razu do głębi i daje dzieło zupełnie w sobie skończone, które nie zostawia żadnych resztek ani odpadków przydatnych na materyał do powtórnego obrobienia. Pan Przybylski tem bardziej nie mógł tu być wyjątkiem. Jego „Państwo Wackowie,“ są bladą, zupełnie bezbarwną kopią utworu, który żył jedynie pewną jaskrawością kolorytu, nakładanego na karykaturalne częstokroć kontury. Jestto obraz miodowych miesięcy pary zaręczonych w ostatniej scenie poprzedniej sztuki; idylla małżeńska w atmosferze knajpiarskiej, sielanka Wacka, którą przerywa wybryk Wicka, uciekającego przed narzuconem sobie małżeństwem i pociągającego za sobą brata... gdzieżby jeżeli nie na jarmark. Gniew pani Wackowej, przeprosiny z mężem, i znów przy końcu zaręczyny Wicka z panną, w której się zakochał w Łowiczu (ci panowie ze wszystkim załatwiają się na jarmarkach): oto akcja sztuki, w której zresztą, śmieją się, całują, ściskają i powtarzają te same koncepta ci sami ludzie, wywołując ten sam śmiech w tej samej publiczności. Trzeba jednak przyznać, że ów śmiech osłabł już trochę i najgorętsi przyjaciele rodziny „Wacków i Wicków“ zaczynają już uczuwać przesyt w tém towarzystwie. Co prawda, czas był wielki ku temu, czuł to widać p. Przy-

bylski, bo wziął się do komedyi z tematem społecznym p. t. „Ptaki niebieskie.“ Sztuka jest podobno złożoną dyrekcyi tutejszj—czy będzie graną, wobec dochodzących z Galicyi wieści o kompletnem jej niepowodzeniu—nie wiadomo. To tylko pewna, że p. Przybylski zdaje się być skazanym na wieczną kompanią „Wicka i Wacka,“ której ma widocznie także dosyć, bo nie dowierzając już sobie samemu, uciekł się do współpracownictwa p. Abrahamowicza i razem z nim napisał farsę p. t. „Propinacya.“ Sprawa wódczana w Galicyi nadaje podobno tój farsie ponętę satyrycznej actualité, cóż kiedy niewiele jest nadziei, żebyśmy ją na scenie zobaczyli, wytworzyli się bowiem między współką autorską, w ciągu tworzenia dzieła, tak zasadnicze rozdźwięki, że, *risum teneatis!* wdać się w to musiały aż władze autonomiczne Galicyi. Jeśli wierzyć nadchodzącym ze Lwowa wiadomościom, p. Przybylski wycofowywał pokryjonom p. Abrahamowiczowi rękopism, lękając się, jako stańczyk, wycieczek demokratycznych swego towarzysza, na odwrót p. Abrahamowicz uciekał się do tego samego środka i wykreślał stańczykowskie apostrofy przeciw demokratom. Ostatecznie, gdy inné rady nie było postarano się, żeby sztuka została zaniechaną.

Kiedy we Lwowie namiestnictwo zajmuje się tak ważną sprawą, u nas tymczasem w Warszawie cieszy się powodzeniem sztuka ulubionego galicyjskiego pisarza, Michała Bałuckiego, p. t.: „Nowy dziennik.“ Komedya upadła w Krakowie i we Lwowie, a śledzienicy utrzymują, że jestto jedyny może powód sukcesów jej w Warszawie, która ma zupełnie odrębne niż w Galicyi gusta. Zdaje się jednak że rzecz się ma inaczej. Historia tych upadków i tego powodzenia tém się prawdopodobnie tłómaczy, że Galicya dostrzegala w satyrycznych dziennikarskich sylwetkach jakieś portrety, których rzekome podobieństwa dla nas zgoła nie istnieją, a że owa próbka satyry na dziennikarstwo, gdyby w niej nawet nie było fotograficznych podobizn, odwzorowywa jednak galicyjskie stosunki nasze więc miejscowe drażliwości jeżeli istnieją, nie są bynajmniej dotknięte. Co najwyżej z tutejszego stanowiska możnaby, głębiéj w rzeczy patrząc, zauważyć, że sztuka ośmieszająca dziennikarstwo jest w tój chwili nie na czasie, ale taki zarzut inniéj ściągać się może do Bałuckiego, który komedya swoje w innych pisał warunkach, aniżeli są naszej reżyseryi, która wiedziała dobrze, w jakich ją wystawia. Rościć jednak z tego powodu pretensye do reżyseryi, byłoby idealną naiwnością. Wydrwienie dziennikarza publicznie, wobec tłómów, to tak ponęta gradka dla aktorów, że nie żądamy od nich bohaterstwa, owszem zaznaczymy, że niemało przyczynili się do zapewnienia długiego życia „Nowemu dziennikowi.“

Zresztą oprócz trzech postaci gazeciarzy: napuszonego blagiera, bezczelnego reportera i reprezentanta ciężkiej artyleryi dziennikarskiej, w osobie starego historyka-archeologa, najbardziej może zabawnym światkiem jest ów partykularz męczeńsko-szlachecki, do

kórego Bałucki, jako komedyopisarz ma szczególne, rzechy można wyjątkowe upodobanie. Wprowadza go wszędzie, lekko tylko urozmaicając gatunkowe typy, nie może się rozłączyć krzykliwym łykiem, z głupim szlachcicem i poczciwą, miluchną jego córeczką, z mizdrzącą się ciotką, starą panną, z nicponiem, bilardowym bohaterem, który się nawraca pod wpływem miłości, z postępowym inżynierem ratującym społeczeństwo za pomocą demokratycznych ideałów od niedołęztwa i kretynizmu hrabiów etc. A że Bałucki jest komedyopisarzem z bożej łaski, ze krwi i z temperamentu, więc nawet temi dość jednostajnymi motywami trafia zawsze do gustu publiczności i działając nieprzerpniętą siłą krynicznego humoru, nie pozwała jej nawet dostrzedz, że śmieje się ciągle z tego samego. W „Nowym dzienniku“ znajduje się ostatecznie odmienna tylko nieco kombinacja znanych motywów, komizm wytryska w starciu się dwóch tak różnych światów, jak wiejsko-szlacheckiego z miejsko-dziennikarskim, a sprężyną do kolizji jest niedorzeczna chęć spokojnego dotąd obywatela rolnika do zabawienia się w gazeciarsstwo. Szlachcic przyjeżdża do miasta w celu założenia dziennika, w którym mógłby „babrać powagi powiatowe za to, że go nie wybrano delegatem drogowym.“ Zetknięcie z kandydatem na redaktora i z współpracownikami daje powód do przepysznych scen, prowadzących przy pomocy wplecionego romansiku dwóch córek hreczkosieja z nieuniknionym inżynierem i z nieuniknionym lampartem, do zabawnego rozczarowania szlagona, który, dowiedziawszy się, że go wybrano nie tylko delegatem drogowym, ale marszałkiem powiatu, rzuca niewdzięczną publicystykę i wraca do domu bogatszy o dwóch zięciów. Więcej niema nic — ale między tym przyjazdem i wyjazdem ileż w tych trzech aktach wybornych szczegółów, prostych a szczerze komicznych sytuacji, ile dowcipu rodzimego, niekiedy nieco rubasznego niemniej przeto budzącego śmiech zdrowy, serdeczny! ile istotnej znajomości obserwowanych żywiołów towarzyskich. I tu ukazuje się najdowodniej różnica między pisarzem a robotnikami. Bałucki i p. Zygmunt Przybylski ten sam świat obrali sobie za pole obserwacji, tylko że jeden ma talent, drugi tylko wiele pretensyi; więc też jeden jest twórcą całego repertuaru, drugi prawdopodobnie prócz „Wicka i Wacka“ nic nigdy nie napisze.

Komisya balneologiczna Towarzystwa lekarskiego krakowskiego, pod przewodnictwem prof. J. Kopernickiego, postanowiła urządzić w r. b. Zjazd balneologiczny w Krakowie, którego zadanie określa w sposób następujący: Zdrojowiska polskie, dźwignięte niegdyś gorliwieni o dobro kraju i społeczeństwa zabiegami ś. p. prof. dra Dietla, pod jego mądrym kierunkiem i pod dalszą opieką Komisji balneologicznej, tudzież przy odpowiednich usiłowaniach swych właścicieli i lekarzy zdrojowych, stanęły już na pewnym stopniu pożądanego rozwoju. Od niejakiemu wszakże czasu rozwój ich stał się

zbyt powolnym. Stało się to z powodu braku odwagi do wstąpienia na nowe drogi, które naszym zdrojowiskom, jako zakładom humanitarno-ekonomicznym, są wskazane nie tylko przez względy na dobro chorych i pożytek kraju, ale przez dobrze zrozumiany interes własnego dobrobytu i wzrostu, któremu obok konkurencyi zdrojowisk zagranicznych, stoją na przeszkodzie wielce nieprzyjemne stosunki miejscowe. Ażeby zaś zdrojowiska nasze, wraz ze swoim przemysłem zdrojowo-leczniczym, dźwignięte i wzrosłe na podstawie dotychczasowych stosunków, mogły należycie zakwitnąć i pod względem administracyjnym, leczniczym i ekonomicznym stanąć w obec konkurencyi zagranicznej na stanowisku dość mocnym i dla kraju pożytecznym, potrzebuja dwojakięj dźwigni. Pierwszą i najbardziej naglącą jest dokonanie niezbędnych ulepszeń w samych zdrojowiskach, opartych na należytej znajomości balneologii i balneotechniki nowoczesnej, oraz na uwzględnieniu obecnych potrzeb społecznych i stosunków ekonomiczno-handlowych; a to wszystko w tym celu, ażeby przez usunięcie istniejących wad i braków, zdrojowiskom naszym zjednać pożądaną wziętość. Wszelkie jednak usiłowania, podjęte i wszelkie prace, dokonane w tym celu przez zarządy zdrojowisk naszych, nie wystarczą do trwałego ich podniesienia, jeżeli im w pomoc nie przyjdzie nowa i do dzisiejszych potrzeb zastosowana, a skuteczniejsza niż dotąd opieka ze strony władz rządzących oraz ciał naukowych lekarskich i ogółu lekarzy krajowych. Oddawna tedy pożądanem jest nie tylko odpowiednie ustawodawstwo dla zdrojowisk naszych, któreby uregulowało i prawnie zabezpieczyło ich byt i rozwój pod względem administracyjnym i przemysłowo-ekonomicznym; ale i żywsze zajęcie się lekarzy naszych zdrojowiskami i uzdrowiskami własnymi i pozyskanie ich wpływu przeciw zbyt uprzedzonym i niesłusznym częstokroć sądom publiczności. Ponieważ wykazanie tych ulepszeń w zdrojowiskach, równie jak uzyskanie prawnej opieki i publicznego poparcia z zewnątrz może być najskutecznięj osiągnięciem przez połączone w tym celu usiłowania i przez wspólne porozumienie się wszystkich, których to najbliżej obchodzi; przeto Komisyja balneologiczna Towarzystwa lekarskiego krakowskiego zamierza zajmując się urządzeniem Zjazdu balneologicznego w Krakowie w miesiącu grudniu roku bieżącego lub w styczniu roku przyszłego. Zjazd ten, na wzór odbywających się z wielkim pożytkiem corocznie we Francyi i Niemczech, oraz za przykładem naszych przemysłowców naftowych, którzy na dorocznych zjazdach swoich tyle dobrego uzyskali, miałby za zadanie zajęcie się roztrząsaniem wszelkich kwestyj główniejszych, dotyczących się dobra naszych zdrojowisk i uzdrowisk. Za najważniejsze zaś Komisyja balneologiczna na teraz uznaje następujące przedmioty:

- 1) Utworzenie sekcyi balneologicznych w polskich towarzystwach lekarskich.
- 2) Stosunek lekarzy, wysyłających chorych, do lekarzy zdrojowych.

- 3) Pomieszkanie, żywność i inne potrzeby oraz wygody chorych, przybywających dla swojego leczenia.
- 4) Urządzenia higieniczne w zdrojowiskach.
- 5) Rozszerzenie sezonu zdrojowego i zasobu środków leczniczych.
- 6) Ochrona prawna i uregulowanie stosunków prawno-administracyjnych w zdrojowiskach polskich.
- 7) Sprawa przemysłu i handlu zdrojowego.

Komisya balneologiczna w razie dostatecznie objawionego poparcia niniejszej propozycji, ułoży szczegółowy program przyszłego Zjazdu balneologicznego wraz z szeregiem tematów i wniosków, które mają być przedmiotem jego obrad i przesła je wszystkiemu zgłaszającym się wraz z zawiadomieniem o stanowczym terminie Zjazdu.

W dniu 25-ym Kwietnia rozpoczęły się zebrania wyborcze do władz Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego w Królestwie Polskiem, na których w myśl art. 4-o Instrukcyi dla prezesów, przewodniczących zebraniom w miastach urzędowania Dyrekcyi Szczegółowych — Dyrekcyja Główna przedstawia zwykle sprawozdanie, objaśniające postąpienie Władz naczelnych z wnioskami, które Stowarzyszeni przy poprzednich wyborach objawili byli. Ponieważ działalność Tow. Kred. Ziem., tej najważniejszej instytucyi kredytowej w kraju bywa czysto przedmiotem jak najniewłaściwszych roztrząsań publicystów, nie rachujących się w wymaganiach swoich z przepisami, które postępowanie Władz naczelnych Towarzystwa zgodnie z Ustawą Tow. przez Rząd zatwierdzoną, regulować muszą, przeto uważamy za rzecz pożyteczną dla urobienia gruntowniejszej opinii tej sprawie — zaznajomić Czytelników Bibl. z treścią wnoszącego poglądu Dyrekcyi Głównej na objawione podczas wyborów w r. 1886-ym wnioski.

1. Wniosek, żądający obniżenia taksy dla geometrów uwzględniono już na odbytym w 1886 r. ogólnym zebraniu władz Towarzystwa, bo taksa za czynności dokonywane przez geometrów odpowiedniej uległa zmianie.

2. Co do wniosku, żądającego „wyjednania decyzji rządu, kasującej przepis o pobieraniu raty z góry, oraz przepis o wystawieniu dóbr na sprzedaż co trzy miesiące po dopuszczeniu zaległości“ — władze Towarzystwa są zdania, iż powołane przepisy, stanowiąc podstawę zobowiązań stowarzyszonych, są przez to samo prawem nabytym wierzycieli Towarzystwa. W obec tego żądanie zmiany zasad co do raty z góry, byłoby niezgodnym z nabytymi prawami właścicieli Listów Zastawnych, byłoby — bez radykalnej konwersyi całości zobowiązań obecnych — niedopuszczalnym. Koszta podobnej zmiany i niebezpieczeństwo narażenia kredytu Listów Zastawnych Tow. Kred. Ziem., nie dają się porównać z jednorazową ulgą, jaka byłaby jedynym następstwem tego rodzaju reformy. Zresztą przepisy egzekucyjne o tyło, o ile ulgi w nich daly się zaprowadzić, bez narażenia żywotnych podstaw instytucyi, już zmodyfikowano przez odłożenie zapisywania ostrzeżeń do 31-go maja i 30-go listopada.

3. Na wniosek, domagający się więcej ścisłego stosowania przepisów z r. 1884 przy udzielaniu pożyczek na mocy tych przepisów, oraz na wniosek, żądający „motywowania decyzji celem odjęcia im cech dowolności“, władze Towarzystwa oświadczają, iż uznawały same instrukcją z r. 1884, jako następczącą pole do interpretacji luźnych. Z tego powodu instrukcją tę na swém ogólném zebraniu w r. 1886 zmieniły, określając w sposób jaśniejszy okoliczności, wpływające na podniesienie lub obniżenie wartości dóbr ziemskich.

4. Co do wniosku, „aby procenta od raty z góry, dopóki by nie była dołączona do rezerwy, i kapitalizacja ich, stanowiły osobny tytuł jako fundusz należący do stowarzyszonych, nie mogący mieć innego przeznaczenia, tylko zmniejszanie przypadających rat płatniczych, czy to przez umorzenie co lat 14 jednej raty, czy też przez ulgi co pół roku w ratach czynione“, —wniosek ten nie zasługuje na uwzględnienie, jako wprost przeciwny przepisom prawa obowiązującego. Zresztą wykonanie tego wniosku miałyby tylko wpływ ujemny na interesu stowarzyszonych; ponieważ chociaż rata z góry nie wchodzi do funduszu rezerwowego, nie spoczywa jednak bezużytecznie, przynosi dochód, który jest obracany w ten lub ów sposób na rzecz Towarzystwa i Stowarzyszonych. Gdyby dochodowi temu dać specjalne przeznaczenie, jak to projektowali wnioskodawcy, należałoby zapelnic z innych źródeł braki, wytworzone przez usunięcie ze współdziału raty z góry, odwołując się do grosza administracyjnego, celem uzupełnienia dochodów Towarzystwa. Rezultat liczebny dla stowarzyszonych byłby więc raczej ujemny, niż dodatni, bo na urzeczywistnienie propozycji umarzania co lat 14 jednej raty składałyby się musieli sami, w formie zwiększonego grosza administracyjnego i to przy warunkach 5% odsetnego procentowania, tyle bowiem tylko liczyć można procentowanie kapitalizować się mającej według wniosku raty z góry.

5. Wniosek, wykazujący potrzebę zabezpieczenia się przeciwko dewastacji majątków, wystawionych na przymusową sprzedaż, znalazł należytą odpowiedź w dotychczasowej praktyce władz, nie zaniedbujących żadnej sposobności przedsięwzięcia właściwych i zgodnych z przepisami środków, w celu zapobieżenia złemu i grożącemu ztąd dla interesów Towarzystwa Kred. niebezpieczeństwu.

Władze Towarzystwa starały się przez specjalne przepisy, zastrzeżenia i odezwę do władz administracyjnych, wytworzyć sobie środki jak najskuteczniejszego działania. Obecnie władze Towarzystwa z przyjemnością zaznaczyć mogą, iż cała tak niowłaściwie rozgłaszana sprawa o dewastacji majątków, redukuje się do nielicznych wyjątków, które nie usprawiedliwiałyby osobnych w tym względzie postanowień. Rezultaty sprzedaży w drodze egzekucji są zupełnie zadawalniające, a dążenie w imieniu naszej instytucji do opieki nad majątkami dla strzeżenia nietylko interesów Towarzystwa, lecz i pozostałych wierzycieli hipotecznych, wpłynąćby mogło na wytworzenie obaw co do pewności zabezpieczenia pożyczek Towarzystwa, oddziałując ujemnie na kurs listów zastawnych.

6. W przedmiocie wniosków, aby władze Towarzystwa zechciały wystąpić do p. ministra skarbu o utworzenie instytucji Banków Ziemskich, mogących udzielać pożyczki długoterminowe po Towarzystwie Kredytowém, jako też wniosek, aby władze Towarzystwa wystąpiły do ministra skarbu o modyfikację lub usunięcie notwój ustawy stempłowej, albo też o zamianę obecnego stempla szacunkowego na podatek, nie tak wyłącznic i bezpośrednio dla rolnictwa i własności ziemskiej szkodliwy—

to zadanie to wkracza do sfery, w której początkowanie jest bezwarunkowo dla Towarzystwa Kredytowego niemożliwem i z jego zadaniami niezgodnem ¹⁾.

7. Wniosek domagający się podniesienia płac urzędników wybieralnych i etatowych Towarzystwa, znalazł swe urzeczywistnienie w szczegółowych projektach obecnie przez władze Towarzystwa rozbieganych, a odnoszących się do polepszenia bytu urzędników etatowych. Projekta te należy gruntownie rozebrać; lecz ich urzeczywistnieniu stoją na przeszkodzie względy na czasowo niekorzystny stan funduszu rezerwowego i na wynikającą ztąd konieczność liczenia się z wielkością opłat, ponoszonych na administracją przez stowarzyszonych. Mimo to, władze Towarzystwa są przejęte ważnością zadania i nie zaniedbają uczynić zadość tego rodzaju dążeniom, skoro się noralny stan budżetu Towarzystwa ustali.

8. Po przeprowadzeniu nowej kodyfikacji, wnioszek o zmniejszenie kar z 12⁰/₀ na 6⁰/₀ znajdzie swe uwzględnienie. Teraz jednak, w obec wysokości stopy procentowej w ogóle, reforma tego rodzaju spowodowałyby mogła wzrost zaległości, przechodzący możność środków płatniczych rezerwy i sprowadzić konieczność wymiany funduszu rezerwowego na gotowiznę. Zresztą nagły wzrost zaległości i obniżenie kar do 6⁰/₀ musiałyby pociągnąć za sobą zwiększenie poboru grosza administracyjnego, a zarazem wpłynąć szkodliwie na kurs Listów Zastawnych.

9. Wniosek, domagający się rozszerzenia kredytu dla mniejszej własności w myśl art. 2 prawa z roku 1869 i modyfikacji art. 2 przepisów roku 1884, ograniczającej dawanie pożyczek na rozdrobione własności, w tej chwili urzeczywistnić się nie da i w obec rozpoczętego i trwać jeszcze mogącego lat kilka przystępowania do pożyczek, na mocy przepisów z roku 1884, zmianę tak ważną odłożyć trzeba na później.

W końcu władze Towarzystwa uznały za właściwe dać słowo objaśnienia

¹⁾ Podzielając ten pogląd co do stempla, ośmielamy się co do kwestyi wyjednania u Władzy pozwolenia na otworzenie przy Dyrekcyach Szczegółowych kas pożyczkowych, udzielających po Tow. długoterminowych nisko oprocentowanych pożyczek dobrom stowarzyszonym, objawić zdanie przeciwnie, zwłaszcza, że takie ułatwienie pozyskania funduszu obrotowego byłoby dla niejednych dóbr deską ratunku. Skoro projektowana kodyfikacja zatwierdzoną zostanie, to nie tylko w tej sprawie; ale i w sprawie ubezpieczenia ogniowego wypadnie Władzom Tow. wystąpić do Ministra z odpowiedniami przedstawieniami. Dla sprawy tak pożądaných niskoprocentowych pożyczek z pomocą Tow. Kred. Ziemińskiego, mamy gotowy nawet wzór w Towarzystwie Kred. Szlązkim, na którym się opiera nasza Ustawa Tow. z roku 1825 tak, że nie potrzebaby się obawiać skutków niewypróbowanej instytucji kredytowej. Nie lekceważymy przy tej sprawie trudności hypotecznych, znamy trudności chwili co do wytworzenia odpowiedniego w tym celu funduszu, przy potrzebach zaspakajanych za pomocą procentów od raty z góry; ale nie sądzimy, żeby Tow. nie mogło w tym kierunku żadnego kroku do Władzy wyższej przedsięwziąć. Okres pożyczek tego rodzaju możnaby dla większego bezpieczeństwa funduszy Tow., zamknąć w każdych dobrach dłużnych w granicach okresu, dającego prawo do odnowionej pożyczki w List. Zast. Sprawę tę uważamy tedy za pożyteczną.

w przedmiocie podniesionej w roku bieżącym opłaty na rzecz administracji Towarzystwa. Poczynając od roku 1884, stowarzyszeni pociągnięci zostali do wnoszenia grosza administracyjnego w stosunku $\frac{1}{3}\%$ od zahypotekowanych pożyczek. Oprócz tego, przy racie czerwcowej i grudniowej roku bieżącego będzie pobierana dodatkowa opłata na ten cel, w stosunku rocznym $0,08\%$, czyli $0,04\%$ przy każdej racie. Nieznaczny ten dodatek, bo nie wynoszący więcej niż 4 rub. od każdych 10,000 rub. zahypotekowanej pożyczki, wypełni brak, który okazał się przy układaniu budżetu Towarzystwa na rok bieżący. Ten pozornie niekorzystny stan dochodów Towarzystwa powodowany jest koniecznością ciągłego przelewu dochodów z procentu funduszu rezerwowego, celem utrzymania przepisanej prawem rezerwy w stosunku 6% ogółu wydanych pożyczek. Wyplacone z mocy prawa z dnia 10-go kwietnia 1884 roku pożyczki 5-ej serji doszły do dnia 1 (13) listopada 1887 roku summy 37,000,000 rub., a t \acute{e} m sam \acute{e} m spowodowały konieczność wzmocnienia funduszu rezerwowego o 2,220,000 rub., jak za \acute{s} wykazuje sprawozdanie po 1 (13) listopada 1887 roku, brak w tym funduszu wynosił tylko do przepisanej normy 42,965 rub., czyli i \acute{z} fundusz rezerwowy zwiększył si \acute{e} w epoce od roku 1884, do ko \acute{n} ca roku zeszłego przeszło o 2,177,000 rub. W tym \acute{z} e 3-letnim peryodzie Towarzystwo dopłaciło za stowarzyszonych kosztów taksy przeszło 200,000 rub., oraz umorzyło kar i procentów oko \acute{l} o 15,000 rub., czyli obróciło w ostatnich 3-ach latach na rzecz ogólnej w \acute{l} asności Towarzystwa przeszło 2,392,000 rub. Rezultat taki usprawiedliwia dostatecznie dzia $\acute{l$ anie w \acute{l} adz na t \acute{e} m polu. Aby go jednak osiągnąć, nie wkładając całego ci \acute{e} żaru opłat administracyjnych na stowarzyszonych, w \acute{l} adze Towarzystwa zmuszone by \acute{l} y wyczerpać wszystkie oszczędności, które zrobione by \acute{l} y na r $\acute{o$ żnych rachunkach z lat dawnych, w dodatku za \acute{s} zaczerpnąć z funduszu raty z g $\acute{o$ ry oko \acute{l} o 300,000 rub. W chwili obecnej dalsze pokrywanie niedoboru budżetowego na t \acute{e} j drodze stało si \acute{e} bezwarunkowo niemożliw \acute{e} m, szczególnie \acute{j} za \acute{s} w obec prawdopodobnej jeszcze do \acute{s} ć znacznej emisyi pożyczek serji 5-ej, oraz nowo przybyłych pozycji rozchodowych jak pensya prezesa Dyrekcyi Główn \acute{e} j, prezesa Komitetu Właścicieli Listów zastawnych, opłaty gildyjne, podatek 3-procentowy, stanowiących razem poważną cyfrę kilkudziesięciu tysięcy rubli. Dla tego te \acute{z} należało zwrócić si \acute{e} do stowarzyszonych, celem w \acute{l} ożenia na nich ci \acute{e} żaru uzupełnienia braków w funduszu na administracy \acute{a} . W ka \acute{z} dym razie dzi \acute{s} ju \acute{z} przewidzieć si \acute{e} daje, i \acute{z} stan ten, czysto przejściowy, wkr $\acute{o$ tce zakończyć si \acute{e} winien, a t \acute{e} m sam \acute{e} m nastąpi przelew procentów od funduszu rezerwowego i wpływów z kar na wyłączone cele wskazane art. 65 prawa z 1869 roku.

Jedn \acute{e} m z najwa $\acute{z$ niejszych zada \acute{n} chwili w dziedzinie ekonomicznej, jest podniesienie produkcji rolniczej i uporządkowanie handlu temi produktami pod \acute{l} ug wymaga \acute{n} i potrzeb wsp $\acute{o$ łczesnych. Kraj nasz, rolniczy zdawien dawna, nie przestał nim by \acute{c} i dzisiaj w gruncie rzeczy, mimo powstania i bujnego rozrostu przemysłu fabrycznego; ziemia nasza, którą niegdy \acute{s} \acute{s} piżarni \acute{a} Europy nazywano, nie straciła sw \acute{e} j płodności, tylko sposoby produkowania i warunki handlu zmieniły si \acute{e} do niepoznania, a my w wielu dziedzinach niestety, wcale jeszcze nie dostroili \acute{s} my si \acute{e} do nowego stanu rzeczy, w innych za \acute{s} zaledwie pierwsze kroki na drodze t \acute{e} j stawiać pocyna-

my. A czas już po temu wielki. Ubiegani na rynkach zagranicznych i wyzyskiwani przez obcych na swęj własnej niwie, doszliśmy już prawie nad brzeg owęj przepaści, w której z poza ruiny ekonomicznej wygląda widmo upadku moralnego i społecznego. To też każdy krok, zmierzający do skupienia i zorganizowania w pewną całość zbiorową poszczególnych wysiłków, które w rozstrzeleniu i przy braku środków w ręku pojedynczych osobistości, mogłyby pójść na marne, uważać należy w położeniu naszym, za czyn nie tylko roztropny, lecz zgoła obywatelski, a do osiągnięcia celu takiego, każdy czem może przyłożyć się powinien.

Ważny krok tego rodzaju, zrobili producenci chmielu, którzy w połowie m. kwietnia, naradzali się wraz z piwowarami miejscowymi, nad sposobami podniesienia chmielarstwa krajowego. Narady te powtarzają się co pewien czas od dwóch lat, aż wreszcie obecnie osiągnęły pewien rezultat pozytywny. Mówimy o projekcie i pomyślnych początkach zawiązania spółki chmielarskiej pod nazwą „Nadwiślańskiego akcyjnego Towarzystwa chmielarskiego.” Powód do rozpraw nad tym przedmiotem dał referat, opracowany przez p. Stankiewicza. Pierwotnie był zamiar utworzenia spółki, z kapitałem od sześciu do dziesięciu tysięcy rubli, która, opierając się na zasadzie wzajemności uczestników, zajmowałaby się głównie przeróbką chmielu, będącego własnością tych ostatnich, a tylko za pewną opłatą przyjmowałaby do przeróbki produkt od osób do stowarzyszenia nienależących. Przeciwno tak szczupłemu zakresowi działania spółki wystąpiono z opozycją. Wskazywano przede wszystkim, że przedsiębiorstwo tak drobne, nie będzie w możności wytrzymania konkurencji wielkich sortowni, założonych w kraju naszym przez cudzoziemców, że w skutek tego, przyszłość jego byłaby bardzo niepewną, a w żadnym razie nie byłoby ono w możności oddziaływać skutecznie na produkcję chmielu i na handel tym ostatnim u nas. Zgromadzeni uznali słusność tych wywodów i ostatecznie postanowiono, że Spółka przybierze formę towarzystwa akcyjnego, że kapitał jego wyrównywać będzie od 100 do 300 tysięcy rubli, że czynności swoje towarzystwo rozpocznie wówczas, gdy kapitał wpłacony przez uczestników, wynosić będzie minimum rs. 100,000, że wreszcie celem równego uwzględnienia i pogodzenia interesu producentów chmielu i używających go do fabrykacji przemysłowców, na czele przedsiębiorstwa stanie jeden plantator chmielu i jeden piwowar. O ile wiemy, producenci i piwowarzy, do których się na razie zwrócono, złożyli już rs. 600. Dość to już na początek, idzie jednak o to, aby zwykłą u nas niestety kolejną rzeczą, zapal nie ostygła z postępem czasu i aby projekt ten, mogący krajowi przynieść pożytek, nie pozostał na zawsze w sferze pobożnych życzeń. Akcje wynoszą po rs. 500 każda, a zapisy na nie, przyjmuje codziennie Kancelaryja Towarzystwa popierania przemysłu i handlu.

Z innych przedmiotów nad jakimi toczyły się obrady, zazna-

czyć również należy, ostateczne załatwienie kwestyi jarmarku do-
rocznego na chmiel w Warszawie. Prezes tutejszego oddziału Ban-
ku państwa oznajmił delegatom, którzy udawali się do niego w imie-
niu producentów, że na cel ten Bank oddaje dolną część magazynów
swoich, położonych przy ulicy Nowogrodzkiej. Pierwszy jarmark
odbędzie się w roku bieżącym i trwać będzie od 20 września do 1-go
października. Mniej za to pomyślnym skutkiem uwieńczone zostały
starania o uzyskanie kredytu w Banku państwa pod zastaw chmielu.
Odpowiedź wypadła odmowna, a to ze względu na łatwość psucia się
chmielu. Zgromadzeni postanowili przedsięwziąć w tej sprawie raz
jeszcze zabiegi w Ministerystwie skarbu, za pośrednictwem Warszaw-
skiego oddziału Towarzystwa popierania handlu i przemysłu, niezale-
żnie zaś od tego, starać się o uzyskanie kredytu w tutejszych pry-
watnych instytucjach bankowych.

Oprócz tego zgromadzeni zaprotestowali przeciwko podaniu
plantatorów wołyńskich, którzy wychodząc z tego motywu, iż chmiel
krajowy bywa wywożony za granicę i dopiero powróciwszy do kraju,
jako produkt zagraniczny znajduje w kraju nabywców, wystąpili do
Ministerystwa skarbu z żądaniem wzbronienia wywozu chmielu za
granicę. Producenci nasi twierdzą z zupełną słusnością, że eksport
chmielu, leży właśnie w interesach produkcji krajowej i nie zakaz
wywozu, lecz dobre obrobienie chmielu i odpowiednie zorganizowanie
handlu tym produktem, mogą najsilniej oddziaływać na zniweczenie
przesądów i uprzedzeń, jaki żywią pod tym względem piwowarzy
miejscowi. Sądzą, że racjonalne poprowadzenie interesów Spółki,
o jakiej mówiliśmy wyżej, pod względem technicznym i kupieckim,
najskuteczniej do osiągnięcia celu tego posłuży.

Pierwszym krokiem, skierowanym do wprowadzenia eksploata-
cji bogactw naszych krajowych, na drogę rozwoju racjonalnego
i mogącego przynieść społeczeństwu miejscowemu rzetelny pożytek,
jest dokładne poznanie zasobów rodzimych, na podstawie danych
naukowych, oraz zorientowanie się w położeniu rzeczy pod wzglę-
dem handlowym. Te zadania miał na widoku pan Maciej Paszkow-
ski, inżynier, przewodniczący w Sekcyi 3-jej Towarzystwa popierania
przemysłu i handlu, opracowując memoriał swój, dotyczący kopal-
nictwa opałowego w Królestwie Polskiem. Kilka miesięcy temu,
zdając na tém miejscu sprawę z broszury pana Brusnicyna, o tym
samym przedmiocie, podkreśliliśmy brak dotychczasowy wiadomości
co do własności i rozkładu bogactw kopalnych w kraju naszym.
Konstatując potrzebę zapelnienia tego braku, pan Paszkowski pro-
ponuje, aby komisya, wybrana z grona osób kompetentnych i pozo-
stająca pod egidą Warszawskiego oddziału Towarzystwa popierania
przemysłu i handlu, przedsięwzięła studia specjalne, celem zbadania
i opisu własności chemicznych i fizycznych naszego wę-
gla kamiennego, z uwzględnieniem przedewszystkiem użytku je-

go praktycznego w przemyśle, aby nadto też komisya zajęła się zebraniem danych, co do ilości kopalni w kraju naszym, położenia ich geograficznego, środków komunikacyi, bogactwa i gatunku zasobów etc. W Prusach asygnuje rząd na te cele dość znaczne sumy. U nas były wprawdzie robione analizy, lecz tylko w poszczególnych przypadkach, przez tę lub ową firmę poważniejszą, jako to np. przez Towarzystwo Francuzko-Włoskie; ogólniejszych jednakże studyów, któreby nam dały obraz o ile możności kompletny, nie przedsiębrano wcale. O ile z danych owych niezupełnych sądzić można, istnieje obecnie w Królestwie 28 kopalni węgla kamiennego, dostarczających rocznie około 117,935,190 pudów produktu rzeczzonego. Machin parowych, użytych jest w ogóle w kopalniach 136, o sile 7,824 koni; robotników pracuje tu około 9,572 ch. Wszystkie te kopalnie położone są w zagłębiu Dąbrowskiem nad granicą Szlązką. O bogactwie kopalń tych powziąć można niejaki wyobrażenie z danych istniejących dla kopalni pomienionego Towarzystwa francuzko-włoskiego. Grubość pokładu, wyrównywa tu, od 7 do 8 sażenów, co podług ścisłych pod tym względem obliczeń, przedstawia 3,500,000,000 pudów węgla.

Zebranie danych, projektowanych przez pana Paszkowskiego, wymagać będzie znacznego nakładu, przechodzącego środki, jakimi Towarzystwo popierania przemysłu i handlu rozporządzać może. W obec jednak ważności, jaką sprawa ta przedstawia dla świata naszego przemysłowego, powinnyby ci, których to najwięcej obchodzi, postarać się o wynalezienie funduszów na cel tak żywotny. Jakoż, o ile słyszeliśmy, sprawa ta obudziła żywe zainteresowanie się w sferach odnośnych; podobno są osobistości, które ofiarują fundusze, inne zaś, dają bezpłatnie pracę swą i umiejętność specjalną, byle tylko sprawę tę, tyle ogół interesującą, pchnąć na drogę do urzeczywistnienia.

WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

W Krakowie wyszło dzieło p. n. „Sprawozdanie z poszukiwań w archiwach i bibliotekach rzymskich, a szczególnie w archiwum watykańskiem. O materyałach do dziejów Polskich w wiekach średnich.“ Przez Władysława A b r a h a m a. Krak. 1888. Studium p. Abr. zawiera nader pożądaný przegląd materyału archiwalnego, kryjącego wiele nieznaných wiadomości dla historii polskiej w wiekach średnich.

Album studiosorum Universitatis Cracoviensis. Tomus I (ab anno 1400 ad annum 1489) Cracoviae, 1887. Obok „Liber diligentiarum” p. Wł. Wisłockiego stanowi „Album studios.” obfity materyał nie tylko dla historii uniwersytetu Jagiellońskiego, ale i dla dziejów cywilizacji i oświaty w Polsce.

Kronika uniwersytetu Jagiellońskiego od r. 1864 do r. 1887 i obraz jego stanu dzisiejszego wraz z rzeczą o rektorach od czasów najdawniejszych. Wydanie senatu akademickiego na pamiątkę otwarcia Collegium Novum. Kraków 1887.— W obec zarzutów i napaści, których nie tylko ze strony centralistów niemieckich ale i w naszej prasie nie szczędzono wszechnicy krakowskiej w celu obniżenia jej rozwoju po zaprowadzeniu wykładów w języku polskim, dostarcza dzieło niniejsze dostateczną ilość dowodów faktycznych, mogących przekonać każdego nieuprzedzonego o złej woli napastników na usilną pracę tej naukowej instytucji polskiej.

Zasłużony na polu badań historii prawa polskiego prof. dr. Oswald Balzer wydał nowe studyum z tej dziedziny p. n. „Słowo o przekładach polskich statutów średniowiecznych, zwłaszcza o kodeksie dzikowskim, przekład taki zawierającym.“ Lwów, 1888.

Ulanowski Bolesław wydał w ostatnich czasach trzy studia, nader ważne dla badaczy dziejów i historii prawa w Polsce, mianowicie: a) Zjazdy piotrkowskie z r. 1406—1407 i ich uchwały. Krak. 1887. b) „O pracach przygotowawczych do historii prawa kanonicznego w Polsce.” Krak. 1887, str. 99. c) „Kilka uwag o statutach synodów dyecezyalnych krakowskich z XIV-go i XV-go stulecia.” Kraków, 1888.

Znany od dawna na polu badań archeologicznych, zasłużony

w literaturze historycznej p. Kazimierz Stronczyński, wydał wielkiej wartości naukowej dzieło p. n. „Pomniki książęce Piastów, lenników dawniej Polski, w pieczęciach, budowlach, grobowcach i innych starożytnościach zebrane i objaśnione.” Piotrków 1888, str. 287. Wiadomo każdemu jak szczerze posiadamy wiadomości o książęcych rodach rozgałęzionej familii Piastów i jak z tego powodu utrudnionem jest badanie dziejów naszych w wiekach średnich. P. Stronczyński, zamierzwszy sobie zebrać skrętnie wszystko, co się odnosi do genealogii i historii książęcego rodu Piastów, zgromadził jak najbogatszy zbiór odpowiednich dokumentów, jakimi są: dyplomata, pieczęcie, monety, wizerunki, grobowce i starożytne budowle wznoszone przez książąt z rodu Piastów podczas trzech pierwszych stuleci politycznego bytu Polski.

Zabiegliva „Spółka nakładowa“ w Warszawie, która już kilku poważnemi dziełami z bogaciła naszą literaturę naukową, wydała świeżo dzieło prof. uniwers. w Gracu dr. Ludwika Gumpłowicza p. t. „System Socyologii.” Warsz. 1888. Dzieło to, znane i cenione wysoko zagranicą z oryginału niemieckiego, przetłómaczył uczony profesor na język polski, a uzupełniwszy i rozszerzywszy je znacznie w tém polskiem wydaniu, ogłosił drukiem ku pożytkowi społeczeństwa polskiego. Nie brak tu poglądów oryginalnych i śmiałych, które gruntowniejszego i wszechstronniejszego rozbioru wymagają; ale w każdym razie dzieło, z wyraźną tendencją postępową pisane, pobudza do myślenia i rozświeśla nie jedną zawilgą kwestyą.

P. Tadeusz Chrzanowski wydał książkę p. t. „Badania historyozofii.” Część I. Prawo rządzące dziejami ludzkości. Z dwoma tablicami rysunków. Warsz. 1888, str. 197. Sz. autor nie zdał sobie dokładnie sprawy z trudności zadania, do którego przystąpił, bez dostatecznego filozoficznego i historycznego przysposobienia. Z tego powodu czytamy też w książce jego luźne, powierzchowne spostrzeżenia, jakich mu dostarczyły dzieła Schlossera lub Cantu bez najmniejszego śladu wpływu naukowego nowszych badaczów socyologii w literaturze angielskiej, niemieckiej i francuzkiej. Książka p. Chr. jest też nie tylko anachronizmem w dziedzinie badań naukowych, ale i dokumentem dyletantyzmu w literaturze naszej.

Nie większej wartości naukowej jest także książka prof. Ignacego Karpińskiego p. t. „Krótki rys ustroju dawniej Polski i poglądy na przeszłość.” Warszawa 1888. 2 tomy.—Przy uczciwej tendencji tej książki, żalować trzeba, że sz. autor nie potrafił korzystać z najnowszych badań historycznych i zamiast napisać studyum metodologiczne, poprzestał na gawędzie o publicznych instytucjach dawniej Polski.

Dr. Franciszek Kasparek wydał: „Podręcznik prawa politycznego.“ Kraków 1888. T. I.

Belza Stanisław: „O reformie prawodawstwa upadłościowego.“ Warszawa 1888.

Dr. L. Dargun: „O źródłach prawa miast polskich w wieku szesnastym. I. O źródłach przepisów karnych w dziełach Groickiego.“ Kraków 1887.

Prof. R. Jurkiewicz i Al. M. Weinberg: „Badania nad papierami krajowymi ze względu na ich własności fizyczne i skład chemiczny. I. Papiery dokumentowe.“ Warszawa 1888.

Niemieckie Tow. historyczne w W. Ks. Poznańskiem, wydało 3-ci zeszyt trzeciego rocznika „Zeitschrift d. histor. Gesellsch. f. d. Prowinz. Posen.“ Poznań 1888, w którym znajdujemy poważne studjum prof. K. Wersche „O prawno państwowym stosunku Polski do państwa niemieckiego w wiekach średnich“ (Das staatsrechtliche Verhaeltniss Polens zum deutschen Reich während des Mittelalters). W rozprawie tej rozbiera prof. Wersche poruszaną już od czasów najdawniejszych, a mianowicie od czasów Naruszewicza, kwestyą sporną: Czy Polska za pierwszych Piastów była hołdowniczką cesarzów niemieckich lub nie? Czy z wszystkich ziem hołdowała cesarstwu niemieckiemu, czy tylko na zachód rzeki Warty położonych. Prof. Roepell przyjmował tylko zależność osobistą książąt polskich od cesarzów; polscy historycy odrzucali zwykle te pretensye imperatorów niemiecko-rzymskich. K. Wersche, korzystając nietylko z całego dostępnego dzisiaj materiału źródłowego; ale postępując według ściślej metody naukowej, rozbiera tę sprawę porządkiem chronologicznym, poczynając od Mieczysława I-go. Rezultatem dociekań jego jest: 1) udowodnienie faktycznej zależności słabszych książąt od potężniejszych cesarzów; lecz węzła tej zależności nie było czuć, gdy za panowania dzielniejszego w Polsce Piasta na tronie niemieckim zasiadał słaby cesarz i gdy stosunki wewnętrzne Niemiec obezwładniały akcyą na zewnątrz. 2) Ten stosunek hołdowniczy nie ograniczał się do samej osoby księcia, ale wpływał i na wewnętrzne sprawy państwa; 3) objawiał się przez płacenie trybutu 300 marek rocznie lub przez dostarczanie 300 żołnierzy na wyprawę rzymską; 4) przez uczestniczenie księcia w wyprawach rzymskich, podejmowanych przez cesarzów; 5) branie udziału w sejmujących zjazdach panów niemieckich, na każde wezwanie cesarza. Autor przechodzi systematycznie wszystkie panowania królów polskich i cesarzów niemieckich aż do r. 1184, t. j. do przewagi ces. Fryderyka I Barbarosy, za którego panowania ta supremacya cesarska w Polsce najdobitniej się ujawniła. W następnej epoce nie masz już śladu tej zależności; stosunki Polski do Niemiec ułożyły się zupełnie inaczej. — Autor

też zamknął z tą chwilą pracę swoją, wolną od uprzedzeń arogancy niemieckiej, a podającą tylko to, co w wiarogodnych źródłach znaleźć potrafił.

Wiadomości statystyczne o stosunkach krajowych, wydane przez krajowe biuro statystyczne pod redakcją Prof. dra Tadeusza Pilata. Lwów. 1888. T. X. Zesz. 1 i 2.

W znanym Zbiorze wydawnictwa historycznego Heerena i Uker-ta w Gotha u Perthesa wyszły świeżo 2 tomy (49-y i 50-y), każdy w 2-cóm częściach, z których T. 49-y obejmuje dalszy ciąg historii Polski przez Jakóba Caro pod tyt., Geschichte Polens. Von J. Caro 5 Th. 2-te Haelfte: 1481—1506. — Oprócz tego czytamy w 1-jej części tego tomu: Geschichte Oesterreichs. Von Huber. T. 3. — Tom 50 zawiera: I: Neuere Geschichte des preussischen Staates vom Hubertsburger Frieden bis zum Wiener Kongress. Von E. Reimann. 2. Bd. — II. Deutsche Geschichte. 1. Bd. Geschichte der deutschen Urzeit v. F. Dahn. 2. Haelfte. (do r. 814).

Również w Gotha u Perthes'a wyszedł Tom 6-y ważnego nader dzieła pod tyt. „Deutsche Reichstagsakten unter Koenig Ruprecht. 3. Abtheilung 1406 — 1410. Hrsg. v. J. Weizsaecker.

Francuzki wydawca Alcan w Paryżu ogłasza w Zbiorze, znany pod tyt. „Instructions données aux ambassadeurs et ministres de France“ dzieło p. Ludwika Farges, zawierające zbiór instrukcyi udzielanych posłom francuzkim w Polsce. Instrukcyje te, stanowią pierwszorzędnę źródło dla poznania gruntowego dziejów stosunków dyplomatycznych w w. XVI-ym XVII-ym i n.

Nakładem H. Olawskiego w Warszawie wychodzi zeszytami: „Geografia popularna czyli ziemia w malowniczych obrazach. Opracował dr. Wł. Wicherkiewicz, Warsz. 1888. Dotychczas wyszło 5 zeszytów. Wydawnictwo to nie zaspakaja wprawdzie wymagań naukowych; ale przy pomocy dobrego nauczyciela może być przydatne przy nauce początkowej.

Zeszyt setny „Słownika geograficznego“ wyszedł z druku i zawiera następujące obszerniejsze opracowania: Psary, Pszczyna, Ptycz, Puck, Puliny, Pułwy, Puławy, Pułtusk, Punie. Następny zeszyt obejmie koniec litery P. i początek R.

Prof. A. Penck wydał w Wiedniu 2-gi tom studyów z dziedziny geografii pod tyt. „Geographische Abhandlungen“. Wien 1888. T. 2-gi w 2-óch zeszytach, z których I zawiera: „Die Pamir-Gebiete. Eine geographische Monographie v. W. Geiger. — II-gi: „Die Vertheilung des Luftdruckes über Mittel—u. Süd-Europa v. J. Hann.

Nakładem Gebethnera i Wolffa w Warszawie wyszła z druku bardzo pożyteczna i praktyczna książka, pod tyt. „Ogrodnik wiejski“—

Warsz. 1888, będąca w dobrem tego wyrazu znaczeniu nietylko popularnym przewodnikiem przy zakładaniu i pielęgnowaniu ogrodów; ale i podręcznikiem do nauki ogrodnictwa — przez Franciszka Goeschke. Jestto praca konkursowa, przełożona z niemieckiego na język polski, podług trzeciego wydania niemieckiego.

Księgarnia Delagrave w Paryżu, wydała ciekawe dzieło pod tyt. „Histoire générale de la philosophie“ (les problèmes et les écoles) p. M. M. Paul Janet et Gabriel Séailles. Paris. 1888.

Nakładem Gebethnera i Wolffa wyszedł utwór poetycki pod tyt. „Hanka“, powieść podolska, przez J. S. Wierzbickiego. Warszawa 1888. str. 190. Jest to poemat rymowany, przypominający „Pana Tadeusza“ — długością; ma bowiem wierszy przeszło sześć tysięcy, ale przez to porównanie nie zamierzamy uwłaczać arcydziełu Mickiewicza, ani też nie chcemy obniżyć wartości samego utworu, bo nie brak tu i poezyi i pięknej formy. „Hanka“ zasługuje na uwagę zarówno krytyki, jak miłujących poezją czytelników.

Drugim piewą chwili bieżącej w dziedzinie „Poezyj“, jest p. Alfred Nossig który ogłosił drukiem we Lwowie swoje wiersze i prozę. Spis rzeczy zawiera: Wiersze ulotne, „Pamiętnik daniela“, tragedję w 5-ciu aktach p. t.: „Król Syonu“, „Poemat o człowieku“ „rymy“ i „monologi“. W tych ostatnich, osobistościami monologującemi są: Napoleon, opuszczający Elbę; Goethe obok sennój Krystyny; Michał anioł, rozbijający nieskończoną rzeźbę — Chrystus na krzyżu.

N e k r o l o g i a .

Dnia 14-go kwietnia 1888 roku, zmarł nagle w Krakowie wskutek ataku sercowego **Emil Czyrniański**, prof. chemii w uniwersytecie Jagiellońskim, oraz członek Akademii Umiejętności. Ś. p. Emil urodził się 20-go stycznia 1824 roku, we wsi Florynce w obwodzie sądeckim. Po ukończeniu nauk gimnazjalnych w Nowym Sączu i Przemysłu (1844 r.), wstąpił w r. 1845 na wydział teologiczny w uniwersytecie lwowskim; lecz niebawem przeniósłszy się na pole nauk matematyczno-przyrodniczych, wstąpił do Akademii technicznój we Lwowie, gdzie téż, po złożeniu odpowiednich egzaminów i po napisaniu rozprawy p. n. „Ueber die nicht flüchtigen Saeuren der Wurzel v. Valeriana officinalis“ (1849), został mianowany asystentem przy profesorze chemii Rochlederze (1849). Wkrótce atoli, w celu dalszego kształcenia się w chemii, udał się do Wiednia i pracował w laboratorium chemiczném przy uniwersytecie w Pradze, przycém posiadał już pewien rozgłos w sferach naukowych, tak, że chociaż nie posiadał stopnia naukowego, powołany został na profesora nadzwyczajnego chemii ogólnój w uniwersytecie Jagiellońskim (1851 r.). Posiadłszy w roku 1859 stopień naukowy w uniwersytecie Jagiellońskim, postąpił na prof. zwyczajnego i urząd ten sprawował aż do zgonu, z wielką korzyścią dla młodzieży. W roku 1873-im krakowska Akademia Umiejętności powołała go na członka wydziału matematyczno-przyrodniczego. Jako profesor położył Czyrniański nie małą zasługę dla chemii, przez rozwinięcie teoryi związków chemicznych, opartych na ruchach molekularnych i w kwestyi tej przeprowadził poważną dyskusyą polemiczną z prof. Kuczyńskim i Radziszewskim. Ś. p. Czyrniański pracował wiele na polu naukowym i pozostawił liczne dzieła w zakresie swojej nauki w języku polskim i niemieckim. Oprócz wzmiankowanego już wyżej studyum, napisał ś. p. Czyrniański i ogłosił drukiem: 2) „Słownictwo polskie chemiczne“. Kraków 1853. 3) „Wykład chemii nieorganicznój, zastosowanėj do rolnictwa, przemysłu i medycyny.“ Warszawa 1857. Wydanie 2-gie poprawne

i według własnej teorii przerobione. Część I. Kraków 1866. 4) „Chemia organiczna, zastosowana do przemysłu, rolnictwa i lekarstwa.“ Kraków. 1867. T. II-gi. 5) „Teorya tworzenia się połączeń chemicznych na podstawie ruchu wirowego atomów...“ Kraków 1862. (Odbitka z XXX tomu Roczn. Tow. Nauk.). 6) Rozwinięcie (dalsze) teorii tworzenia się połączeń chemicznych na podstawie ruchu wirowego atomów.“ Kraków 1862. 7) Toż samo po niemiecku p. n. „Theorie d. chemischen Verbindungen auf d. rotirenden Bewegung d. Atome etc.“ Wien. Krakau. 1863. 8) Teorya chemiczna, oparta na ruchach wirowych niedziałek.“ Kraków 1864. 9) „Neue chemische Theorie durchgeföhrt durch alle unorganische Verbindugen in allgemeinen Formeln. Wien 1864. 10) „Rozwinięcie krytyczne teorii chemicznej, opartej na ruchach niedziałek wirowych etc.“ Kraków. 1868. 11) Po niemiecku: „Theorie (chemische) auf d. rotirenden Bewegung d. Atome basirt.“ Krakau 1868. Oprócz tego pisywał artykuły do pism specjalnych („Przyroda i Przemysł“), ogłaszał rozbiory chemiczne wód naszych mineralnych, jak: krynickiej, siarczaných lubieńskiej i proszowickiej. W nielicznym szeregu uczonych polskich na tém polu, stanowi śmierć zasłużonego profesora bardzo dotkliwy wyłóm. Społeczeństwo polskie obowiązane jest do szczerzej wdzięczności zmarłemu, za jego 40-letnią niezmordowaną pracę około wykształcenia naszej młodzieży. Cześć jego pamięci!

Dnia 16-go kwietnia r. b. zmarł w Krakowie **Zygmunt Wróblewski**, znakomity profesor fizyki Uniwersytetu Jagiellońskiego, po nieszczęśliwym wypadku poparzenia się naftą, podczas doświadczeń w laboratorium, gdzie powinno być światło gazowe, ale nie naftowe. Ś. p. Wróblewski urodził się 28-go października 1845 roku w Grodnie, ukończył tamże gimnazyum w roku 1862 z medalem srebrnym. Po krótkim pobycie na uniwersytecie kijowskim, ujrzał się niebawem na dalekim wschodzie, a po powrocie ztamąd był na uniwersytetach w Berlinie, Heidelbergu i Monachium, gdzie w roku 1874-tym otrzymał doktorat filozofii ze stopniem *summa cum laude*. Zostawszy wówczas asystentem katedry fizyki w Monachium, przeniósł się w roku 1875-ym w tym samym charakterze do Strasburga, gdzie też przez lat 5 pełnił swoje obowiązki i gdzie się w r. 1876 habilitował. Otrzymawszy od Akademii Umiejętności w Krakowie stypendyum imienia Seweryna Gałęzowskiego, przez rok kształcił się wyłącznie w fizyce: w Paryżu, Londynie, Oxfordzie i Cambridge, a przez następny rok w pracowni Sainte-Claire, Derille'a w Ecole Normale Superieur w Paryżu. Ztąd został w roku 1882 powołany przez uniwersytet Jagielloński na profesora zwyczajnego fizyki. W roku 1883-im był członkiem komisji, urządzającej wystawę elektryczną powszechną w Wiedniu, a zarazem członkiem jury

tęj wystawy. W roku 1886 otrzymał od Akademii Umiejętności w Wiedniu nagrodę Baumgartnera (1,000 zlr.) za pracę nad skropleniem gazów, jako za pracę, która w ciągu ostatnich trzech lat najbardziej posunęła naprzód fizykę. W tym czasie pracował ś. p. Wróblewski nad skropleniem t. zw. nieściśliwych gazów i doszedł do świetnych rezultatów, albowiem powiodło mu się za pomocą nadzwyczaj niskiej temperatury i wysokiego ciśnienia osiągnąć skroplony tlenek azotu, co dotychczas było dla chemików nieuchwytnym mazurem. Imię ś. p. Wróblewskiego zasłynęło też szeroko w świecie uczonych. Od r. 1879-go był członkiem Towarzystwa imienia Kopernika we Lwowie, od r. 1882-go członkiem „Société française de physique“ w Paryżu, od r. 1883 członkiem korespondentem Akademii Umiejętności w Krakowie, od 1884-go roku członkiem honorowym „Société de physique et d'histoire naturelle“ w Genewie, a także członkiem honorowym poznańskiego Towarzystwa przyjaciół nauk, od r. 1855-go członkiem komisji egzaminacyjnej krakowskiej kandydatów stanu nauczycielskiego. W ubiegłym roku pełnił obowiązki dziekana wydziału filozoficznego. Przedwczesny zgon zacnego człowieka, dobrego obywatela kraju i pierwszorzędnego uczonego, który pracą zdobył sobie poważne imię nie tylko wśród naszego społeczeństwa, lecz w całym świecie naukowym, wywołał żal powszechny i szczery. Uniwersytet krakowski ponosi skutek równoczesnego zgonu dwóch swoich członków dotkliwą stratę; — wszakże gdy ś. p. Czyrniański był już człowiekiem podeszłego wieku, ś. p. Wróblewski w pełni sił męzkich rokował nadzieje, iż długo jeszcze z pożytkiem i chlubą pełnił swoje obowiązki i pracować dla rozwoju nauki. Śmierć jego tém też jest dotkliwszą i na razie niepowetowaną, bo uczonego tej miary nie łatwo zastąpić. Cześć jego pamięci!

„PRZEGLĄD KATOLICKI.”

Nr. 17-ty z dnia 26 kwietnia zawiera treść następującą: Rosmini Serbati i potępienie jego błędów. — Początki cywilizacji chrześcijańskiej. Cesarstwo Rzymskie (dok.). — Żywot Leona XIII. Koronacja Leona XIII i pierwsze dzieła jego pontyfikatu. — *Kronika kościelna krajowa*. Zmiany zasze djecezyi Lubelskiej i Płockiej. — Ś: p. ks. Andrzej Zawadzki. — *Kronika kościelna zagraniczna*. Austria 1, Jubileusz kapłański ks. Biskupa Józefa Strossmayera. — 2. Najbogatszy dar galicyjski. — 3. Dar galicyjskich Tercjarzy dla Ojca św. — Rzym. Na rzecz Kongregacji św. Propagandy. — *Bibliografia*. Katechizm Rzymsko-Katolicki, przez ks. Gracjana Rzewuskiego.

„K R A J.”

NNr. 15 i 16 „Kraju“ z d. 20 i 27 kwietnia r. b. zawierają oprócz artykułów wstępnych o kwestjach bieżących (Obecna sytuacja w Niemczech; Normowanie taryf kolejowych przez państwo) zwykle działy zagraniczny, polityczny, bieżący, listy z prowincyi, kurjer prawny, kościelny, szkolny, ekonomista oraz „Przegląd literacki“ z artykułami: „Krytyka historyczna w szkole wychowawczej, p. J. K. Plebańskiego. (dok.). „Biskup Strossmayer“, p. Emila de Laveleye. „Z teki obrońcy“ p. Lechitę. „Ustrój polityczny państw spółczesnych“, Dr. Antoniego Okolskiego p. Sn. „Zadowolenie i cierpienie“, p. Adama Mahrburga (dok.). „Wystawa sztuki polskiej nad Dunajem“, p. K. S. „Pomnik Mickiewicza“ p. Stanisława Witkiewicza. „Egoizm“ (wiersz) K. Rossowskiego. „Otto von Bismarck“ p. J. Tokarzewicza. „Dzieje moich książek“ p. Alfonsa Daudet'a. — „Słówko o starym Zaslawiu“ p. Aleksandra Jelskiego. — Pref. Kariejew: „O szlachcie polskiej“ p. S... ckiego. „Świat“ dwutygodnik ilustrowany p. Z—ła. — Kronika literacka i artystyczna. Nowe książki otrzymane w redakcyi „Kraju“. Treść pism. Bibliografia tygodniowa.

ENCYKLOPEDIA WYCHOWAWCZA.

Pod redakcją J. T. Lubomirskiego, E. Stawiskiego i J. K. Plebańskiego, wychodzi w zeszytach 5-arkuszowych. Prenumerata wynosi kop. 40, z przesyłką kop. 50 za zeszyt. Można także wnosić przedpłatę po rs. 3 kop. 20 za tom, złożony z ośmiu zeszytów, z przesyłką rs. 4.

Skład główny i ekspedycja „Encyklopedyi Wychowawczej” znajduje się w Warszawie w księgarni Gebethuera i Wolffa, Krakowskie-Przedmieście, Nr. 415.
